



Zigman Laura

Skazane na sukces

Kiedy ma się 36 lat, uroczego trzyletniego synka Leo, świetnie zarabiającego męża Petera, sympatycznych, choć nadopiekuńczych rodziców, bywa, że pragnie się pewnych zmian.

Bywa, że zmiany przychodzą same, w chwili gdy mąż... zostaje zwolniony z pracy.

Bywa, że obowiązek utrzymania rodziny przejmuje żona, trafia do agencji public relations i podejmuje współpracę z niegdysiejszą sławą, Mary Ford, która chciałaby znów zabłysnąć na hollywoodzkim firmamencie.

Bywa, że gwiazdy są ekscentryczne, rozpieszczone, zakochane w sobie.

Bywa jeszcze gorzej, i wtedy specjalistce od PR opadają ręce. No, chyba że nazywa się Einstein. Julia Einstein.

Julia Einstein, specjalistka public relations, otrzymuje nie lada zadanie: ma wypromować Mary Ford - niedgysiejszą gwiazdę kina, dziś zgorzkniałą, złośliwą, odrażającą osobę. Zabawna, błyskotliwa i wciągająca powieść z życia show-biznesu. Inteligentna, ciepła, pełna humoru książka, która przywraca poczucie własnej wartości i wiarę w to, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. To balsam na duszę wszystkich kobiet, którym nieobce są zmagania z tym, co wydaje się niemożliwe do pogodzenia - macierzyństwem, rodziną i karierą.

Powszechny pogląd, że sukces sprawia, iż ludzie stają się próżni, samolubni, zbyt pewni siebie, jest mylny. Wręcz przeciwnie, na ogół sukces uczy pokory, tolerancji, życzliwości. To niepowodzenia czynią nas zgorzkniałymi i okrutnymi.

Somerset Maugham, *The Summing Up*

Zgodnie z zaleceniami American Humane żadne zwierzę zatrudniane przy pracy w filmie nie powinno harować jak wół. Jeśli na przykład małpa ma być wykorzystywana dłużej niż przez trzy kolejne dni, producent musi zapewnić jej wydzielony teren do zabawy i odpoczynku. Jeżeli w filmie zatrudniany jest niedźwiedź, należy usunąć z planu wszelkie substancje, które w jakikolwiek sposób mogłyby mu zaszkodzić, np. tanie perfumy, mocny alkohol, pączki. W filmach o kotach i psach można obsadzać wyłącznie koty, które lubią psy. Żadne ujęcie z rybą nie może być powtarzane więcej niż trzy razy w ciągu jednego dnia. Pod żadnym pozorem nie wolno też zgniatać nikogo z obsady, kto nie jest człowiekiem. Ta zasada ma zastosowanie do wszystkich istot, łącznie z karaluchami.

Susan Orlean, „The New Yorker”

1.

Jak co dzień o tej porze Julia Einstein — niegdyś rozchwytywana specjalistka od reklamy, obecnie mama na pełnym etacie — stała w kuchni, zastanawiając się, co by tu zrobić na obiad możliwie najmniejszym nakładem czasu i energii. Gotowanie było najtrudniejszą, najbardziej nieprzyjemną częścią jej „pracy”, wymagało bowiem ciągłego rozważania, co powinni jeść, a czego nie powinni, jakie kupić półprodukty, żeby mogły uchodzić za domowe jedzenie, i jaką przygotować wymówkę dla Petera, że o wpół do siódmej wieczorem obiad znowu nie jest gotowy. Już od prawie czterech lat robiła, co tylko mogła, by wymigiwać się od tego obowiązku.

Był słoneczny kwietniowy ranek, około wpół do jedenastej, i Julia jak zwykle pozwalała trzyletniemu malcowi sobą dyrygować. Wmawiała sobie, że to jej własny wybór, bo w ten sposób mogła zachować resztki godności w sytuacjach, w których czuła się upokorzona czy uległa. Ktoś kiedyś przy niej powiedział, że dzieci są jak wielcy dyktatorzy malutkich państweczek. Trudno o lepsze porównanie, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę sposób, w jaki Leo nią rządził. Leo nie był nawet w połowie tak okropny jak większość znanych jej trzylatków — małych potworków, żywcem wyjętych z książek Maurice'a Sendaka. A nawet gdyby był, i tak by jej to nie przeszkadzało. Kochała go nad życie i do gło-

wy by jej nie przyszło, aby po dziesięciu latach poniewierania przez sławne osobistości mogła robić coś innego, niż spełniać wszystkie zachcianki synka. Wymagający, zawsze w potrzebie i myślący tylko o sobie — i tak był najlepszym szefem, jakiego kiedykolwiek miała.

Właśnie gdy była zajęta spełnianiem kilku jego zachcianek naraz (w prawdziwych „miejscach pracy” podobno nazywa się to teraz „wielozadaniowo-ścią”) — wsypywała do miseczki chrupki serowe, przełączała pilotem kanały w poszukiwaniu *Małego Misia*, *Artura* czy czegoś innego poza tym przesłodzonym *Caillou* w publicznej telewizji, którą odbierali w ramach rozszerzonego pakietu kablowego za sto dolarów miesięcznie, i rozglądała się za kiedyś białym, a teraz już szarym i postrzępionym kocykiem — nagle, jak spod ziemi, wyrósł w salonie Peter. W nieskazitelnie czystym granatowym garniturze, świeżej białej koszuli i nudnym czerwonym krawacie. Jego blond fryzura była nienaganna. W rękę trzymał prawie już pustą butelkę heinekena. Na jego widok Julii przyszło do głowy jedno:

— Ktoś zmarł? — zapytała z pilotem w ręce i kilkoma chrupkami w ustach. Jak każda normalna Żydówka zakładała, że niespodziewane zdarzenia i nietypowe zachowanie to oznaka śmierci lub katastrofy.

— Nikt nie zmarł — Peter bezskutecznie próbował się roześmiać.

— No to co tu robisz?

— Mieszkam tu — uśmiechnął się z wysiłkiem i pociągnął łyk piwa.

— Wiem, ale zwykle nie mieszkaś tu przed obiadem (o którym, nawiasem mówiąc, kompletnie zapomniała), że nie wspomnę o picciu.

— Ale dzisiejszy dzień jest szczególny — znowu wymuszony uśmiech, znowu łyk.

Julia przełknęła chrupki, odłożyła pilota i poprowadziła Petera za rękę do kuchni. Po czym wbiła w niego wzrok, czekając na wyjaśnienia. Modliła się w duchu, żeby jej nie obwieścił, że chce odejść do innej, która ma i dziecko, i pracę, a przy tym nie musi nosić ściągającej bielizny.

— A co w nim takiego szczególnego?

Dopił piwo, odstawił butelkę i oparty obiema dłońmi o kuchenny blat, znieruchomiał. Popatrzył jej w oczy i przywołał na twarz najszerszy uśmiech, na jaki było go stać.

— Wylali mnie z pracy.

Zabrzmiało to tak niedorzecznie, że w pierwszej chwili Julia nie zrozumiała, o czym Peter mówi.

Odkąd go znała, nigdy w niczym nie zawiódł.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. Mówili coś o restrukturyzacji w moim dziale, ale słuchałem jednym uchem, póki nie doszło do konkretów. W ramach odprawy: wynagrodzenie za dwa miesiące, rok ubezpieczenia zdrowotnego plus możliwość korzystania z usług biura pośrednictwa w poszukiwaniu nowej pracy.

Pokiwiała głową.

— Kogo jeszcze zwolnili?

— Nikogo.

— Tylko ciebie?

— Tylko mnie — podniósł butelkę po heinekenie i zaczął zdrapywać etykietkę. — Chyba jestem wyjątkowy.

— Jesteś wyjątkowy — powiedziała, obejmując go.

— Jesteś naprawdę niepowtarzalny.

Jeszcze chwilę żartowali, chociaż Julia wyrzucała sobie w duchu, że zwróciła uwagę na fakt, iż jako jedyny dostał wymówienie. Peter położył podbródek na jej ramieniu i tak przytuleni jakiś czas trwali w milczeniu. A i potem, odsunawszy się już od siebie, nie rozmawiali jeszcze chwilę.

— No i jak się teraz czujesz? — zapytała wreszcie Julia. Wiedziała, że to głupie pytanie, z gatunku tych zawsze zadawanych przez dziennikarzy osobom, których dom z całym dobytkiem właśnie trawia płomień, ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

Wzruszył ramionami i westchnął:

— Właściwie nieźle.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Czuję się... — spojrzał w sufit, jakby słowo idealnie nadające się do opisanego jego stanu ducha wisiało tam w górze na niewidzialnej nitce — wolny.

Wiedziała, że osoby doświadczające poczucia straty przechodzą przez kilka etapów — protest, bunt i depresja to trzy, które przyszły jej na myśl. Zaczęła się zastanawiać, czy kolejnym z nich nie jest urojony optymizm. Miała przy tym świadomość, że na jakimkolwiek etapie Peter się znajduje, będzie musiała wspierać go bez zastrzeżeń.

— To świetnie.

— Bo tak sobie myślę, że może dobrze się stało. Może to się obróci na dobre i znajdę coś lepszego.

Julia jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Peter mógł znaleźć coś lepszego niż to, co miał do tej pory — był konsultantem do spraw zarządzania w jednej z najbardziej znanych na świecie firm consultingowych, miał wysoką pensję i dodatkowe świadczenia. Ale chociaż filozofia tego złego, co wychodzi na dobre, była jej obca, ucieszyła się, że on umiał spojrzeć na sytuację w ten sposób.

— A co ty na to? Jak tam twoje samopoczucie? — zapytał Peter.

Była zbyt zaskoczona, by móc opisać to, co czuje, ale dobrze wiedziała, jak się nie czuje: nie czuje się wolna. Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś pełnego nadziei, optymistycznego i zupełnie nieprawdziwego, za kuchennymi drzwiami zobaczyła twarze swoich rodziców. — Tylko tego nam brakowało! — jęknęła. Peter myślał, że tak właśnie oceniła nową sytuację (zwrócony tyłem do drzwi, nie widział teściów), więc podszedł do Julii i objął ją ramieniem.

— Nie martw się. Będzie dobrze. Potrząsnęła głową i wysunęła się z jego objęć, nie chcąc przedłużać nieporozumienia.

Podeszła do drzwi. Wtorek był dla jej rodziców dniem zakupów w Costco. Len i Phyllis Einsteinowie — którzy mieszkali w sąsiednim miasteczku New Rochelle i posiadali niezwykły dar zjawiania się nie w porę — często w drodze powrotnej zatrzymywali się przed domem Julii i Petera w Larch-

mont, aby podzielić się zdobyczą: papierem toaletowym, orzechami nerkowca, czy też filedami łososia wielkimi jak buty klauna. Mieszkanie w odległości dziesięciu minut jazdy od nich miało swoje plusy — bezpłatna opieka nad dzieckiem, możliwość wspólnego obchodzenia świąt, miłość dziadków do wnuczka, która zakwitła, jak tylko Leo pojawił się na świecie — ale czasami Julia wolałaby obejść się bez tych nagłych dostaw żywności.

Pierwsza weszła matka, niosąc olbrzymiego kurczaka z rożna w przezroczystym plastikowym pojemniku, a za nią ojciec z pękiem bananów, który — Julia była tego pewna — mieli zamiar za chwilę podzielić, bo przecież „kto by dał radę zjeść dwa kilo bananów, zanim się zepsują?”. Najwyraźniej zauważyli Petera już wcześniej, bo na ich twarzach widać było zdumienie; ani słowem nie wspomnieli o zakupach.

— Co się stało? — zapytała matka, wciąż ściskając kurczaka.

— Nic — odparli równocześnie Julia i Peter.

— Ktoś jest chory? — odezwał się ojciec, patrząc na Petera. —
Twoi rodzice w porządku?

— Tak, wszystko u nich w porządku — przytaknął Peter.

— Swoją drogą, powinniśmy im wysłać kartkę na Wielkanoc —
tym razem ojciec zwrócił się do matki.

— Już posłaliśmy.

— Nie pamiętam, żebym się podpisywał.

— Podpisałam za ciebie.

Nastąpiła niezręczna cisza. Julia w tym czasie uwolniła matkę od kurczaka, a ojca od bananów.

— No więc co robisz w domu o tej porze? — w końcu zapytała matka, nie mogąc dłużej powstrzymać ciekawości podszytej niepokojem.

Julia spojrzała na Petera i przez ułamek sekundy czuła, że myślą o tym samym: powinni coś zrobić, by zaoszczędzić sobie szczegółowego przesłuchania. Jednak sekundę później wiedziała, że znowu myślą o tym samym: Trzeba to wreszcie mieć za sobą. — Peter stracił pracę — powiedziała, instynktownie biorąc na siebie rolę rzecznika prasowego i tak formułując zdanie, by podkreślić, że nieszczęście przydarzyło się Peterowi, a on w żaden sposób się do tego nie przyczynił.

Pijarowiec zawsze będzie pijarowcem.

Matka Julii, która nigdy nie wykazywała się zbyt subtelną, gwałtownie dotknęła dłońmi policzków i westchnęła:

-Ojej!

— Nic takiego się nie stało — odparła Julia, dając tym przykład wytrawnej manipulacji faktami. — Damy sobie radę.

— Jak to nic się nie stało? Ma już nową pracę?

— Nie, ale będzie miał — Julia mówiła powoli, marszcząc brwi w taki sposób, jakby dawała do zrozumienia małemu, nieświadomemu niczego dziecku, żeby przestało się wpatrywać w kogoś, na kogo patrzeć nie wypada.

— Dużo było zwolnień? — zapytał ojciec.

— Tak — odpowiedziała Julia, zanim Peter zdążył się odezwać i pogorszyć sprawę. — Dużo.

— Ile?

— Ile? — wzruszyła ramionami. — Całe biuro. Peter wpatrywał się w nią zdumiony.

— Julia...

— Jak to całe biuro? — dociekał ojciec.

— Zamknęli całe biuro w Nowym Jorku — odpowiedziała. — No wiesz, redukcja etatów.

— Hmm, Julia... — ponownie spróbował Peter. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Co za firma zamyka biuro w Nowym Jorku? — ciągnął ojciec.

— Przecież najpierw zamyka się mniejsze, regionalne oddziały.

Czy twoja firma ma oddział w Chicago? — usiłował spojrzeć ponad głową córki wprost na Petera, ale Julia zasłoniła sobą męża.

— Już nie nazywają ich oddziałami — wtrąciła matka.

— Nie? To jak je teraz nazywają?

— Biura satelickie.

Ojciec wzruszył ramionami i machnął ręką, by pokazać, że zdanie żony zupełnie go nie obchodzi, chociaż wszyscy wiedzieli, jak bardzo się z nim liczy.

— A skąd niby tak się znasz na pracy Petera? — zapytała matka.

— Nigdy nie mówiłem, że się znam. Ale myślę, że orientuję się trochę w interesach.

— Az jakiej racji miałbyś się znać na interesach? Przecież byłeś księgowym.

— Księgowy ma do czynienia z interesami.

— Księgowy ma do czynienia z pieniędzmi.

— Pieniądze to interesy.

Julia zauważyła, że sytuacja wymyka się spod kontroli, jak podczas konferencji prasowej, kiedy pojawiają się krytyczne uwagi. Wiedziała, że jeśli natychmiast tego nie przerwie, za chwilę jej rodzice żywcem pożrą ją i Petera, a potem siebie nawzajem.

— W każdym razie — powiedziała, nie dopuszczając do kolejnego starcia — damy sobie radę.

— No cóż, to dość niefrasobliwe podejście — zauważyła matka z grymasem na twarzy.

— Nie jestem niefrasobliwa. Próbuję być optymistką.

— Optymizm na tak wczesnym etapie wygląda na niefrasobliwość — odparła matka, znowu kręcąc głową. — Ale może to ze mną jest coś nie tak.

Zawsze kiedy matka mówiła: „Może to ze mną jest coś nie tak”, tak naprawdę chciała powiedzieć: „Może z tobą jest coś nie tak”. Julię zwykle wyprowadzało to z równowagi.

— Nie mogłabyś chociaż udawać pozytywnego nastawienia? — powiedziała, próbując uchwycić spojrzenie matki ponad głową ojca, który stał między nimi.

— Ależ, Julio, nic się nie stało, naprawdę — odezwał się Peter.

— Nie widzisz — ciągnęła Julia, wskazując Petera — że on jest bliski załamania nerwowego?

— Nie jestem bliski załamania — wtrącił Peter.

— Właśnie, że jesteś — powiedziała Julia, klepiąc go po policzku.

— Nieprawda.

— Jesteś, jesteś — powtórzyła, coraz bardziej podnosząc głos. — Nie żeby to było coś złego. To znaczy, ja też bym się załamała, gdybym była jedyną osobą w całym biurze, którą wywalono! Rodzice zamarli. Peter również. Julia ugryzła się w język i zapragnęła, żeby czym prędzej pojawił się Leo i skupił na sobie ich uwagę.

— Słuchajcie. Wiem, że to trudny czas dla nas wszystkich — odezwał się Peter, rozkładając szeroko ręce i kładąc dłonie na barkach teściów — ale sobie z tym poradzimy.

Rodzice Julii skinęli głowami, a ona spojrzała na kurczaka i banany leżące na kuchennym blacie. Pomyślała, że może już zawsze te dwa produkty będą jej przypominać chwilę, w której dotychczasowe życie z Peterem legło w gruzach. Natychmiast jednak wytłumaczyła sobie, że już przecież zdarzały się w jej rodzinie tego typu podbramkowe sytuacje, a mimo to żadnej potrawy nie wykluczyli z jadłospisu.

Dotknęła palcem pojemnika z kurczakiem — jak zawsze, kiedy traciła cierpliwość do matki, poczuła się jak dziecko. Rodzice dorastali w okresie Wielkiego Kryzysu i przeżyli utratę syna. Nie można ich winić za to, że najlepiej im znane uczucia to troska o bliskich i lęk o ich przyszłość.

— Zostaniecie na obiad? — zapytała, szczerze pragnąc im wszystko wynagrodzić i licząc na to, że się zgodzą.

— Obiad? — odparła matka. — Przecież jeszcze nie ma nawet dwunastej. Przywitamy się z Leo i znikamy.

— Ostatnią rzeczą, jaką powinniście się teraz martwić, jesteście my — dodał ojciec, poklepując Petera po ramieniu, a potem ucałował Julię w czoło.

* * *

Było jeszcze jasno, kiedy Julia, Peter i Leo kładli się spać. Zaledwie tydzień wcześniej przesuwali zegarki do przodu, a dni były już znacznie dłuższe. A może tak się im tylko zdawało, gdyż niemal całe popołudnie spędzili w salonie w stanie szoku...

— Wyobrażasz sobie życie latem w Norwegii, Szwecji albo na Alasce? — powiedziała Julia, wpatrzona w sufit, gdy wreszcie zrobiło się ciemno. — Jak można zasnąć, kiedy się nie ściemnia?

— A wyobrażasz sobie życie tam zimą? — odparł Peter. — Jak wstać, jeśli nie robi się jasno?

Leżeli na pościeli — Leo między nimi — i Julia zastanawiała się na głos, jak to będzie następnego dnia, kiedy się obudzą i Peter nie pójdzie do pracy.

— Fajnie będzie — powiedział Peter. — Wybierzemy się na naleśniki. Potem możemy cały dzień być razem i trochę się zabawić.

Odkąd się poznali, Peter zawsze mówił o zabawie — o rzeczach i miejscach, które mogłyby dostarczyć im rozrywki — i chociaż na samym początku ich związku poza wzajemnym odwiedzaniem się w swoich mieszkaniach prawie nigdzie nie chodzili, to Julia nigdy w życiu nie bawiła się lepiej. Zamknęła oczy i wróciła myślami do dnia, w którym się poznali. Kiedy mu powiedziała, czym się zajmuje, Peter stwierdził, że chciałby zobaczyć jej miejsce pracy.

— To może być zabawne — powiedział.

Nie wiedziała, czy naprawdę interesuje go ta branża, czy też wproszenie się do jej biura miało być sposobem na nieoficjalną randkę — nawet nie miała pewności, czy w ogóle uważał to za randkę — ale zupełnie jej to nie obchodziło. Był wysoki, z mocno zarysowaną szczęką, gęstą czupryną prostych jasnych włosów przyciętych w tradycyjny sposób, tak bardzo różniącą się od wszystkich fryzur, jakie przez lata widywała w hebrajskiej szkole. Tego dnia, ujrawszy go w olbrzymim holu recepcji zarządu Creative Talent na dwudziestym ósmym piętrze, gdzie wzbudził zainteresowanie nie tylko rozplływającej się na jego widok recepcjonistki, ale też dwóch asystentów przy windzie, wpadła w panikę. Wyglądał o niebo lepiej, niż zapamiętała, i o niebo lepiej niż wszyscy jej poprzedni adoratorzy razem wzięci.

— Ale mi gorąco — powiedział wówczas, rozpinając płaszcz i granatową marynarkę. — Aż mnie szwie * oblał. Biegłem z zebrania na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Szóstej. Nie chciałem się spóźnić na pierwszą randkę. — Po tych słowach wręczył jej białą reklamówkę. — Przyniosłem siekaną wątróbkę i peklowaną wołowinę. Pomyślałem, że zjemy razem. Julia również poczuła „szwie” na ciele, nie wiedziała tylko, czy dlatego, że użył słowa z języka jidysz, wymówił je poprawnie i ze swobodą kogoś, szwie (jid.) — pot (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

kto wyniósł je z rodzinnego domu — co przecież nie mogło być prawdą — czy też dlatego, że przyniósł dla nich lunch: dwie wielkie kanapki z Carnegie Deli. Nie tylko zapłacił za nią, do czego większość mężczyzn poniżej pięćdziesiątki wydaje się genetycznie niezdolna, ale też wybrał coś dobrego. Przypomniała sobie, jak próbowała wyjaśnić facetowi, z którym spotykała się rok wcześniej, czemu kanapek z koreańskich sklepów i supermarketów nie powinno się jeść, tylko wyrzucać.

Tamtego dnia rozmawiali ponad trzy godziny, siedem lat później rozmawiali nadal. Tematy rozmów były teraz inne — co Leo powiedział, co Leo zrobił, co Leo już potrafi, a czego nie umiał dzień wcześniej — i Julia wiedziała, że znowu się zmieniają: będą dotyczyć kredytów hipotecznych, rat za samochód, rachunków oszczędnościowych, kart kredytowych, rodzinnego budżetu i wszystkich tych spraw, które porusza się w rodzinie, gdy przyszłość nagle wydaje się niepewna. W ciemnościach Peter ścisnął jej dłoń.

— Wszystko się ułoży — powiedział cicho, niemal szeptem, po którym poznała, że jest tak samo przerażony jak ona. — Zobaczysz, wszystko się ułoży. Oboje nie mogli zasnąć. Julia przesunęła Leo w „nogi” łóżka i delikatnie szturchnęła Petera w ramię.

— Pamiętasz, jak się poznaliśmy i powiedziałaś, że chcesz zobaczyć, gdzie pracuję? — zapytała. —

Naprawdę chciałeś zobaczyć biuro, czy to był pretekst, żeby się ze mną spotkać?

— A jak myślisz?

— Nie wiem. Dlatego pytam.

— Pewnie, że pretekst.

— Czemu potrzebowałeś pretekstu? Peter obrócił się w jej stronę.

— Bo byłaś taka... sexy. I bałem się, że jeśli cię gdzieś zaproszę, a ty odmówisz, to mnie dobije.

Julia też obróciła się na bok.

— Naprawdę byłam taka sexy? Podobałam ci się?

— Byłaś sexy. Wciąż jesteś sexy — musnął ją po biodrze i delikatnie pocałował w usta. — Sexy, sexy, sexy.

— Ale ty też byłeś sexy — odpowiedziała. — Czemu więc nie pomyślałeś, że się zgodzę?

Peter pogładził ją po podbródku i pokiwał głową.

— Niczego nie można zakładać, kiedy się poluje na grubego zwierza.

— Więc to było polowanie? Na mnie?

— Tak. To było polowanie na ciebie. Polowanie na coś wielkiego.

2.

Była pierwsza sobota września, weekend przed — o, ironio! — Świętem Pracy. Julia gorączkowo przygotowywała się do spotkania z przyjaciółką, Patricią Fallon, z którą była umówiona na kolację w centrum. Niemal było już pewne, że się spóźni, a tu co rusz natykała się na jakieś przeszkody: walające się po podłodze w salonie i na schodach zabawki albo rozrzucone na łóżku nie poskładane pranie. Już wybór stroju na ten wieczór był wystarczająco trudny — Patricia chciała ją zabrać do jakiejś modnej ostatnio restauracji o bliżej nieokreślonym charakterze — a frustrację Julii pogłębiało lawirowanie po torze przeszkód, który rozrósł się w sposób niekontrolowany przez te sześć miesięcy, od kiedy Peter pozostawał w domu.

Oczywiście, to nie tylko jego wina. Nawet zanim stracił pracę, utrzymanie porządku było dla Julii sporym wyzwaniem i nie potrafiła znaleźć recepty na opanowanie bałaganu, który stopniowo rozszerzał swój zasięg, tak że w końcu z salonu dotarł do jadalni. Na jej „biurko” w kuchni składały się wąski blat w pobliżu drzwi kuchennych i pod nim dwie szuflady — tak wąskie i płytkie, że ledwie dało się w nich upchnąć plastry, zepsute zabawki, które chowała przed Leo do czasu naprawy, i wszystkie te broszury reklamowe przedszkoli, nad którymi ślęczała cały ubiegły rok, nim zdecydowała się na wybór przedszkola o nazwie Pre-

school Experience w centrum Larchmont. Teraz jednak, gdy wokół zaczęły się też panoszyć szpargały Petera — jego buty, książki, gazety, czasopisma — czuła się jak królik w coraz ciaśniejszej klatce.

Kiedy stracił pracę, Julia naiwnie miała nadzieję, że Peter — profesjonalny organizator, który zarabiał na życie, reorganizując zdeorganizowane firmy — wykorzysta wolny czas, by pomóc jej zapanować nad tym bałaganem. Po tym, jak pięć czy sześć razy zastanawiał się, czemu w domu jest tylko jedna para nożyczek, której w dodatku nigdy nie ma w kuchennej szufladzie razem ze spinaczami, klejem i taśmą klejącą, za to często leży w łazience na górze, Julia miała nadzieję, że Peter albo kupi drugą parę, albo opatrzy tę jedyną etykietką „Kuchnia”. Czas jednak mijał, tygodnie zamieniały się w miesiące, wizyty Petera w biurze pośrednictwa i obiady ze znajomymi nie przynosiły żadnych rezultatów, więc Julia doszła do wniosku, że nie ma co liczyć na pomoc męża. Mało tego, zamiast starać się o utrzymanie porządku w domu, musiała się skupić na podtrzymywaniu go na duchu. Przede wszystkim pozwoliła mu Robić Swoje.

O ile wcześniej Robić Swoje znaczyło wstawać i wychodzić do pracy, gdy ona i Leo jeszcze spali, a wracać do domu na chwilę przed położeniem małego do łóżka, to teraz Robić Swoje oznaczało wstawać wraz z nią i Leo, jeść z nimi śniadanie, a potem — czasami — iść do biura pośrednictwa na Manhattanie. Niewiele jej mówił o swoich poszukiwaniach, a Julia nie pytała, wychodząc z założenia, że gdyby miał coś do powiedzenia, pewnie

by to zrobić. W dni, w które Peter nie wychodził do centrum, co z upływem czasu stało się niemal regułą, sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego, że jest w domu i ma tyle wolnego czasu. Po śniadaniu chodził na siłownię, a po obiedzie zabierał Leo na spacer. Miał także różne pomysły, które z zapałem zaczynał realizować, ale nigdy ich nie kończył, jak choćby zbudowanie karmnika dla ptaków, czy też toru kolejki elektrycznej w piwnicy. Nie chcąc urazić wrażliwego Ego męża, Julia nie śmiała zwracać się do niego o pomoc w pracach domowych, a nawet poprosiła, żeby przestał pomagać w kuchni, bo ile razy odgrzewał w mikrofalówce paluszki rybne czy makaron z serem, używał niemal wszystkich naczyń, jakie posiadali, i robił straszny bałagan, czuła się więc zobowiązana sprzątać, skoro on był tak „pomocny”.

Wkrótce jednak zaczęło się jej wydawać, że celem każdego dnia jest dla Petera zaciągnięcie jej do łóżka. Z początku uważała, że to całkiem miłe. Było w tym coś nowego, świeżego — tyle czasu nie spędzali z sobą od narodzin Leo — a jednocześnie było to coś konkretnego, namacalnego, co mogła robić, by nie podupadł na duchu. Jednak po kilku tygodniach przeraziła się, bo gdziekolwiek się ruszyła, czuła na sobie jego pożądliwe spojrzenie.

— Chyba powinniśmy ustalić parę zasad — stwierdziła po jednym ze szczególnie szybkich „numerków” przed powrotem Leo do domu z jej rodzicami, gdy poczuła wrzynający się jej w udo ostry

metalowy przedmiot — pomarańczową corvette firmy Matchbox.

— Jakich zasad? — spytał, poruszając brwiami w taki sposób, jakby się spodziewał, że ona za chwilę użyje jakichś nieprzyzwoitych słów. Zachowywał się tak coraz częściej i Julia zaczynała się martwić, że Peter stopniowo upodabnia się do tych facetów, którzy nawet nie wiedzą, kiedy zachowują się beznadziejnie. Zaczęła się od niego odsuwać — w tej chwili nie było mowy o kolejnym „numerku”.

— Musimy ustalić granice — powiedziała. — Nie będziemy tego robić codziennie.

— Przecież to dobra zabawa.

— Ale ja jestem zmęczona.

— Akurat mam środki i możliwości.

— Ale ja się z niczym nie wyrabiam.

— A co takiego masz do roboty?

— Cały dom na głowie — nie miała zamiaru wyliczać tych wszystkich nudnych zajęć, ale poczuła się tak przyparta do muru, że jakoś samo się jej wymknęło — pranie, zmywanie, sprzątanie, zakupy, Leo.

— Przecież ci pomagam.

— No tak, pomagasz... — skłamała. Poza godzinnym spacerem z Leo popołudniami, nie robił nic, w czym by jej naprawdę pomógł.

— No to o co chodzi? — zapytał.

— Chodzi o to, że póki nie masz pracy, nie możesz domagać się ode mnie seksu w ciągu dnia. Nie mogę cały dzień liczyć się z tym, że w każdej chwi-

li może cię najść ochota na miłosne igraszki. Tak się nie da, bo zwariuję.

Podniósł się do pozycji siedzącej. Wyglądał na zaskoczonego.

— Mów jaśniej. Zastanowiła się.

— Będziemy to robić dwa razy na tydzień.

— Ale to nie w porządku!

— Jak to? Wcześniej miałeś szczęście, gdy ci się udało dwa razy w miesiącu — odpowiedziała, sięgając po ubranie. — Dwa razy w tygodniu to dużo. Nie bądź zachłanny.

— Nie jestem zachłanny. Po prostu... mam tyle kłopotów... — opuścił wzrok. — No wiesz... pieniądze i w ogóle.

Zawahała się. Raz w miesiącu spędzał wieczór nad rachunkami, których stertę wraz z książeczką czekową trzymał na stole w jadalni, co im naocznie uświadamiało, że staczają się po równi pochyłej bankowego debetu. Liczby nie kłamią i Julia wiedziała, że nie jest mu łatwo co *miesiąc samotnie* spoglądać prawdzie w oczy.

— No dobra. W dni płacenia rachunków będziesz miał premię. Bałagan nie zniknął — podobnie zresztą jak libido Petera i rachunki— więc w Święto Pracy Julia wybrała się do Scarsdale na wielkie otwarcie sklepu z pojemnikami o nazwie Container Store. Przepisnęła się przez tłum klientów, wypełniła formularz uczestnictwa w loterii i wreszcie uważnie wy-

brała jednobarwny pojemnik na pocztę i rachunki, dwa przezroczyste pod łóżko i kilka półek, które wyglądały na wystarczająco proste do zamontowania, by Peter mógł to zrobić. Kiedy jednak dotarła do kasy i wręczyła rozplływającej się w uśmiechach ekspedientce kartę Visa, spotkała ją niespodzianka: karta została odrzucona.

Julia mogła spróbować użyć którejś z innych posiadanych kart — wiedziała, że nie wszystkie konta są wyczerpane — ale nie zwracała sobie tym głowy. Otrzymała jasną informację: nie mamy dochodów! — która brzmiała nie tylko żenująco, ale też alarmująco. Odłożyła koszyk, którego opróżnieniem zajęła się inna ekspedientka, i w drodze do samochodu postanowiła zadzwonić do Patricii, żeby umówić się z nią na kolację w przyszłym tygodniu. Patricia założyła własną agencję reklamową o nazwie Puls w rok po odejściu z branży Julii, która postanowiła rozwijać „inne zainteresowania” (chodziło o wieczny urlop wychowawczy). Teraz Julia pomyślała, że mogłaby zacząć brać od niej zlecenia do domu.

— No to masz szczęście — Patricia była w biurze i zamykała lokal na resztę weekendu. — Akurat zmieniły mi się plany, bo ktoś odwołał dzisiejsze spotkanie. Masz czas wieczorem?

Julia wsunęła się za kierownicę i zapięła pas. Omal nie odparła, że jej też coś anulowano — kartę kredytową — ale przecież nie mogła dopuścić, by przyjaciółka przejrzała podtrzymywaną przez Julię i Petera grę pozorów: że u nich wszystko w porządku, że znalezienie przez niego nowej pracy to tylko

kwestia czasu, a gdy już ją znajdzie, wszystko wróci do normy.

Prawda wyglądała zupełnie inaczej. Znalezienie pracy spełniającej jego oczekiwania, i to w tym momencie — szukał już prawie pięć miesięcy — nie było łatwe i żadne z nich nie wiedziało, jak długo jeszcze przyjdzie im czekać na pierwszą wypłatę Petera.

Po powrocie do domu Julia zastała męża w salonie. Leżał na kanapie i oglądał mecz.

— Gdzie Leo? — spytała, omiatając wzrokiem sportowe strony gazety i adidasy, które zdążył porzucić wokół siebie podczas jej półtoragodzinnej nieobecności.

— U twoich rodziców.

— Znowu? — miała nadzieję zobaczyć synka, zanim wyjdzie na kolację.

— Przyszli po niego, bo stwierdzili, że już za nim tęsknią. Ostatnio widzieli go prawie trzy dni temu — niechętnie odwrócił wzrok od telewizora (zawsze słyszała, że baseball to niezwykle wciągający sport) i robił, co mógł, żeby nie zwracać uwagi na mecz. — I co, nic nie znalazłaś w Container Store?

— Znalazłam, ale jak przyszło do płacenia, nie przyjęli mi karty.

— Cholera! Przepraszam — burknął i potrząsnął głową.

— To nie twoja wina. Nie powinnam jechać na zakupy.

Przekroczyła parę wielkich zamszowych adidasów i usiadła na skraju kanapy.

— No a co z tą pracą? Peter wzruszył ramionami.

— Jeszcze mi niczego nie zaproponowali. Ciagle rozmawiamy.

— A to chociaż brzmi ciekawie?

— Nie bardzo.

— Ale gdyby ci zaproponowali, zgodziłbyś się?

— No, chyba tak.

— Chyba?

— To niedokładnie to, o co mi chodzi. Julia starała się być wyrozumiała, ale za każdym razem, gdy Peter spotykał się z jakąś nawet niepewną, jeszcze nie skrystalizowaną ofertą, zdawał się ją sobie obrzydzać, i oto robił tak znowu!

— Może jednak powinieneś to przyjąć.

— Kiedy jeszcze nawet nie złożyli mi żadnej oferty.

— Ale jeśli ci zaproponują, to czy fakt, że nie masz żadnej pracy, nie powinien być ważniejszy od tego, że to nie jest oferta twoich marzeń? — odparła bez owijania w bawełnę.

Wyłączył telewizor i usiadł.

— To bardzo krótkowzroczne podejście.

— Tak? A jakie jest dalekowzroczne?

— Chcę, żeby mój następny ruch był właściwy. Nie chcę podejmować decyzji pod przymusem, w akcie desperacji.

Kiwała głową, usiłując wsłuchać się w ów głos rozsądku, ale wszystko jej mówiło, że właśnie znajdują się w sytuacji przymusowej. Dwumiesięczny

okres pobierania przez Petera „odprawy” już dawno minął i teraz każdy następny miesiąc bez dochodów oznaczał korzystanie z oszczędności. Im dłużej jej mąż czekał na idealną propozycję spadającą z nieba, tym bardziej oddalała się od niego możliwość powrotu do pracy.

Wzruszyła ramionami i wykrzywiła usta w grymasie niezadowolenia.

— Chyba zachowujesz się dość niefrasobliwie.

— Tak myśli twoja matka? — wywrócił oczami.

— Nie rozmawiam z nią o tym.

To była prawda. Fakt, że matka próbowała rozmawiać z Julią o bezrobociu Petera, nie oznaczał jeszcze, że Julia podtrzymywała rozmowę.

— Ty się po prostu boisz — stwierdziła Julia, usiłując znaleźć wytłumaczenie dla jego ciągłych wymówek.

— Niby czego? — burknął Peter. Najwyraźniej trafiła w jego czuły punkt.

— Kolejnej porażki. Utrata pracy zawsze ma wpływ na własne poczucie wartości, zwłaszcza u mężczyzn. Może teraz dmuchasz na zimne, bo brak ci odwagi, żeby po upadku znowu wsiąść na grzbiet tego samego konia? — Miała na końcu języka jeszcze mnóstwo innych porównań i maksym o podobnym znaczeniu, ale nim zdążyła ich użyć, Peter wybiegł z pokoju.

— Wielkie dzięki, że wytknęłaś mi porażkę! — krzyknął, wchodząc po schodach na górę.

— Nie to chciałam powiedzieć! — odkrzyknęła.

Podbiegła do schodów i zadarła głowę, ale zobaczyła tylko jak trzasnąwszy drzwiami znika w sy-

pialni, której nie opuścił całe popołudnie. Julia miała więc sporo czasu, by pojąć niepojęte: *Stawała się taka jak jej matka.*

Gdy wieczorem Julia weszła do sypialni, Peter zaczął ją przeproszać. Zawsze przeproszał pierwszy. Była to jedna z jego pozytywnych cech, sprawiających, że Julia uważała go za osobę dużo lepszą od siebie, bo jej samej przeprosiny zwykle przychodziły z trudem, nawet gdy naprawdę było jej przykro. Miała nadzieję, że tę cechę — podobnie jak zdolności matematyczne oraz tak nieżydowski Brak Strachu Przed Śmiercią w wodzie i podczas uprawiania sportów zimowych — odziedziczy po nim Leo.

— Nie, to moja wina — powiedziała, czując wyrzuty sumienia z powodu własnej reakcji i tego, że nie przeprosiła wcześniej.

— Moja też. To ja nas w to wplątałem. I wyciągnę nas z tego. Skinęła głową, uśmiechnęła się i niemal zapytała: „Jak?”. Nie chciała jednak, by to znowu zabrzmiało, jakby na niego naciskała.

— Masz rację. Następnym razem, jeśli jakaś propozycja będzie choćby zbliżona do tego, czego szukam, nawet gdyby to było zupełnie nie to, o co mi chodzi... nawet gdybym nie chciał tej pracy, przyjmę ją. Bo przecież bezrobotni tak właśnie robią, prawda?

Jeszcze raz skinęła głową i uśmiechnęła się, ale bez przekonania. Nie była zachwycona wizją tego, że Peter przyjmie pierwszą lepszą pracę i będzie

cierpiał w milczeniu, żeby zarobić na chleb, ale w tym momencie nie miała ochoty na spory. Nie powiedziała mu też, że umówiła się z Patricią między innymi po to, żeby z nią porozmawiać o ewentualnej pracy — obawiała się, że odebrałyby to jako kolejne upokorzenie. Pocałowała go więc i ponieważ zrobiło się już późno, narzuciła na siebie to, co wpadło jej w ręce: śliwkowy sweter Eileen Fisher i trochę przykuse śliwkowe lniane spodnie z tej samej kolekcji.

Nim zdążyła rzucić ostatnie spojrzenie w lustro i ocenić kolorystyczne walory swojego wyjątkowo nie czarnego zestawu, niczym z kolekcji dziecięcej, zadzwonił telefon. Pewna, że to Patricia, Julia chwyciła za słuchawkę, nie patrząc na wyświetlacz z numerem rozmówcy.

To jednak nie była Patricia.

Był to Bob z Container Store. Dzwonił, żeby pogratulować wygranej.

— Wygranej? Jakiej wygranej?

— Naszego zestawu podróznego w loterii urządzonej z okazji wielkiego otwarcia: talonu i ponad dwudziestu artykułów ze sklepu, zaprojektowanych z myślą o dobrze zorganizowanych podróżnych!

Julia niemal zupełnie przestała już odbywać podróże, ale po wyjściu z domu nie mogła się wprost doczekać, by znaleźć się w posiadaniu wielkiej wygranej i wykorzystać talon. Wsiadła do samochodu i skierowała się w stronę centrum. Pomyślała, żeby zamiast samochodem pojechać pociągiem, ale gdy

wszystko obliczyła, okazało się, że bilety i taksówki kosztują właściwie tyle samo, co opłaty za autostradę i parkingi. Dopiero gdy już wyjechała z Dziewięćdziesiątej Piątej Południowej i pędziła Bruckner Expressway w stronę mostu Triborough, dotarło do niej, że nie uwzględniła w obliczeniach kosztów benzyny, a to znaczyło, że choćby nie wiadomo jak starała się oszczędzać, i tak zawsze wyda więcej, niż planowała.

Chociaż czuła ulgę, że pogodzili się z Peterem, przeszkadzała jej świadomość, iż cała odpowiedzialność za utrzymanie rodziny spoczywa na jego barkach. Zwłaszcza że przed urodzeniem Leo jej dochody stanowiły znaczną część domowego budżetu. Jadąc FDR Drive i później zjeżdżając z niej przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, Julia jeszcze nie wiedziała, co powie Patricii, ale była pewna jednego: czas zacząć zarabiać.

Kiedy weszła do restauracji „Pod Świerkiem”, zobaczyła Patricię czekającą na nią przy barze. Przyjaciółka miała na sobie czarne spodnie i czarny kaszmirowy sweterek bez rękawów. Jej blond włosy były ciasno związane w koński ogon, a ramiona pokrywała wspaniała opalenizna, od której Julia nie mogła oderwać wzroku. — Nie jest prawdziwa — szepnęła jej do ucha Patricia, kiedy ścisnęły się na powitanie.

— Co?

— Opalenizna. Nakładam spray raz na tydzień — zrobiła krok do tyłu, żeby Julia mogła lepiej oce-

nić efekt jej kosmetycznych zabiegów — ale wygląda naturalnie, prawda?

— Bardzo naturalnie.

— To prawdziwy koszmar... musisz tam stać w bikini, a oni cię spryskują. Do tego kosztuje masę forsy, ale warto. Zobacz... żadnych smug... żadnych zmarszczek.

Do Julii z trudem docierało nawet to, że znajduje się „Pod Świerkiem” — lokalu, w którym wzdłuż wszystkich ścian stoją rzędy świerków w doniczkach — ubrana bynajmniej nie w czarne rzeczy.

Wyobrazenie sobie siebie stojącej w bikini w jakimś salonie piękności, gdzie nakładają na nią opaleniznę w sprayu, przerastało jej możliwości. Całą drogę do stolika, idąc za Patricia i kelnerką, Julia czuła potrzebę wytłumaczenia się: — Tak się spieszyłam...

— Wyglądasz świetnie — powiedziała Patricia, taksując wzrokiem sweter i spodnie Julii, nim przyjaciółka usiadła. — Wyglądasz tak... fioletowo.

— No wiesz, to nie jest naturalny kolor — stwierdziła Julia żartobliwym tonem. — Popryśkałam się sprayem przed wyjściem z domu.

— Zabawne — skwitowała żart Patricia.

Julia i Patricia pracowały razem przez cztery lata w Creative Talent Management. Obie długo były niezamężne. Patricia zresztą nadal była sama. Zawsze gdy się gdzieś razem wybierały, stanowiły niezwykłą parę — czarnooka Julia z długimi brązowymi włosami i Patricia, krótkowłosa blondynka o zielonych oczach. Na wspomnienie tamtych dni Julia poczuła tęsknotę za starymi dobrymi czasami,

kiedy to chodziły na randki z najróżniejszymi dziwakami i całymi godzinami rozmawiały o facetach i o klientach.

— Wiem, że według ciebie na przedmieściach nic się nie dzieje — odezwała się Julia, kładąc białą serwetkę na kolanach i zakrywając nią spory fragment fioletowych spodni — ale dzisiaj naprawdę przydarzyło mi się coś niezwykłego.

— Czyżby Seksowny Rzeźnik zaprosił cię na randkę?

— Patricia wyglądała na zainteresowaną.

Julia roześmiała się.

— Seksowny Rzeźnik jest żonaty! — odparła, mając na myśli właściciela włoskiej masarni w White Plains New Rochelle, którego wszyscy jej znajomi tak właśnie nazywali. — Ja zresztą też nie jestem wolna.

— I co z tego? — śmiała się Patricia.

— Wystarczy mi, że nie mogę się opędzić od zalotów Petera.

— Znam większe problemy.

Puszczając tę uwagę mimo uszu, Julia pochyliła się do przodu, by oznajmić przyjaciółce wielką nowinę:

— Wygrałam na loterii fantowej!

— Wygrałaś na loterii fantowej? — powtórzyła Patricia tonem wyższym o całą oktawę. — Takiej jak w kościele?

— Nie... w sklepie. Specjalny zestaw podróżny — wyjaśniła i przedstawiła zawartość czekającej na nią dużej torby, którą dokładnie opisał jej Bob: ze specjalnymi kieszonkami, zasuwanymi na zamek schowkami, pojemnikami na szampon i szczotecz-

ki do zębów, ze składanymi parasolkami i taliami kart. Właśnie gdy dochodziła do najlepszego, czyli talonu na 100 \$ wsuniętego do torby, zauważyła, że mina Patricii wyraźnie zrzędała i jedna brew uniosła się ostrzegawczo.

— Złotko — powiedziała Patricia, piorunując ją wzrokiem — naprawdę musisz częściej wychodzić z domu.

Julia poczuła, że się czerwieni. Opuściła wzrok na serwetkę leżącą na kolanach, jakby musiała wykonać przy niej jakieś niecierpiące zwłoki zabiegi: prasowanie, obrębianie czy choćby strzepnięcie okruszków. Zapragnęła znaleźć się w domu, z dala od Patricii, która wbijała w nią to okropne spojrzenie, mówiące: „Popatrz, co się z tobą stało!”.

Teraz już nie mogę jej prosić o pracę.

— O Boże, chyba masz rację — powiedziała Julia, znacząco przewracając oczami. W jednej chwili postanowiła zrzucić winę za swój napad głupoty na Petera. — Już wariuję od tego siedzenia z nim w domu. Za dużo czasu spędzamy razem.

Patricia kiwała głową ze zrozumieniem.

— To znaczy... on jest w porządku, ale szczerze mówiąc, musi być dość denerwujące cały czas mieć go w pobliżu.

— Bardzo denerwujące — strategia Julii, chociaż skuteczna, wywołała w niej wyrzuty sumienia, więc spróbowała zmienić temat.

Spytaj o pracę.

— Ale wystarczy już o mnie — zaczęła, gdy kelner przyjął zamówienie. — Co słyhać w wielkim świecie?

„Wielki świat" to był skrót myślowy oznaczający plotki, których Patricia zawsze miała pełno w zana-
drzu. Nawet w czasach, gdy razem pracowały, Patricia
zwykle знаła ich więcej niż Julia: potrafiła odkryć, że
popularny gwiazdor rocka i jego żona to znane hulaki,
że pewien aktor komediowy w średnim wieku nalegał
na obecność fryzjera podczas sesji zdjęciowych, mimo
że był łysy, a z usług fryzjera korzystał dopiero po
zrobieniu zdjęć, albo że jeden z członków dawnego
zespołu Monkees odmówił wyjścia z autobusu przed
salą koncertową, bo nie chciał być napastowany przez
fanów, chociaż na zewnątrz nie było żywej duszy.
Tym razem jednak Patricia potrząsnęła głową.

— Żadnych nowin.

— Żadnych nowin? — Julia nie potrafiła ukryć
rozczarowania. Jak to? Przebyła całą tę drogę, ma
przed sobą menu, z którego nic nie rozumie (co to jest
„piana z trufli"?), a tu się okazuje, że po powrocie do
domu nawet nie będzie miała co opowiadać Peterowi!

— No... właśnie podpisałam kontrakt z ważnym
klientem.

— Z kim? — zainteresowała się Julia.

— Nie mogę powiedzieć.

— Nie możesz? Nawet mnie?

— Podpisałam klauzulę poufności.

— No nie! — roześmiała się Julia.

— Mówię serio. Niczego nie mogę zdradzić.

— Nawet mnie?

— Nawet tobie.

— Ale ja nikogo nie znam! Komu miałabym cokolwiek powiedzieć?

— Peterowi.

— On też nikogo nie zna!

— Przykro mi — odparła Patricia ze śmiechem.

— No, nie każ się prosić! — nalegała Julia. Sama się sobie dziwiła, że aż tak naciska, ale czuła się, jakby jej życie zależało od tego, czy uda się jej coś... cokolwiek... wyciągnąć z tego sfinksa. — Daj chociaż jakąś wskazówkę. Mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— Z filmu czy z telewizji?

— Z filmu.

— Żonaty?

— Bez komentarza.

Julia energicznie pokiwała głową.

— Czyli ktoś, kto właśnie się rozwodzi i chce, żebyś mu pomogła zachować pozory, pokazać, że nie jest draniem.

Patricia znowu się roześmiała.

— Bez komentarza.

— Albo ktoś, kto jest żonaty, a tak naprawdę jest gejem i potrzebuje cię, żeby podtrzymywać wizerunek hetero.

Patricia podniosła kartę win i zasłoniła nią twarz. Karta lekko drżała, bo przyjaciółka zanosila się śmiechem, mimo że — o czym Julia dobrze wiedziała — sprawa była poważna.

Julia dobrze pamiętała, jak to jest być strażnikiem cudzych tajemnic, grzebać się w brudach zawodowego i osobistego życia sławnej osoby i szukać sposobów ich tuszowania. Jednak tym, co lubiła

w tej pracy najbardziej, były wyzwania: potrafiła radzić sobie z klientami, z którymi nikt inny sobie nie radził, i właśnie ta umiejętność stała się jej znakiem rozpoznawczym w ciągu trzynastu lat pracy wCTM. Sama się czasem zastanawiała, co sprawia, że jest tak łąsa na ten szczególny rodzaj satysfakcji — nie sądziła, że to masochizm czy skrajnie niska samoocena były przyczyną tego, iż pozwalała sobą pomiatać, pogardzać i traktować się jak psa. Podejrzewała, że wręcz odwrotnie: że potrzeba jej adrenaliny, tego przerażającego dreszczu, który, jak sobie wyobrażała, czują treserzy lwów przed wejściem do klatki, czy też matadorzy przed wejściem na arenę. Wszystko można sprowadzić do jednego: „Jedz albo zostaniesz zjedzony”, „Zabijaj albo zostaniesz zabity”. Bardzo niewiele zdawało się posiadać tę niesamowitą intuicyjną potrzebę ujarzmienia bestii, a podczas promowania sławnych osobistości Julia odkryła, że ma tej intuicji w nadmiarze. Kiedy trzeba się było użerać z najtrudniejszymi klientami — namawiać do pójścia na premierę filmowców, których filmy zbierały złe recenzje, prowadzić po czerwonym dywanie aktorów, którzy zostali pominięci przy nominacjach, czy też byli pewni, że nie wygrają, towarzyszyć im podczas trudnych wywiadów po odwykach — zadanie to zawsze powierzano Julii. Kiedy najbardziej uciążliwi klienci dopiekli już całą armii agentów, wtedy zwykle trafiali pod jej skrzydła.

W tej krótkiej chwili po złożeniu zamówienia Julię zaskoczyły własne uczucia, odkryła bowiem, że jej maleńka częśćka tęskni za maleńką częśćką jej dawnej pracy. To wystarczyło, by podjąć decyzję.

Powiedz to teraz.

— Chciałam cię zapytać... — zaczęła powoli, ale nie dokończyła.

— O co?

— O... pracę. Peter jeszcze niczego nie znalazł i tak sobie pomyślałam, że może mogłabym ci się do czegoś przydać. Skoro on jest teraz w domu, Leo w przedszkolu, mogłabym, no wiesz, wrócić do pracy, choćby na jakiś czas.

Patricia zmarkotniała, już drugi raz podczas tego spotkania.

— Wierz mi, bardzo bym chciała cię zatrudnić. Naprawdę! Ale akurat teraz nic dla ciebie nie mam, a nie zniosłabym, gdybyś miała parzyć kawę i czekać, aż coś sensownego się trafi.

— Jasne — odparła Julia. Czowała się do głębi upokorzona.

Machnęła dłonią, żałując, że w ogóle się odzywała. — To, że masz własną agencję, nie znaczy, że możesz wszystkim dawać pracę.

— No nie, poczekaj. Niech pomyślę. Komu byś się mogła przydać?

— Nie, nie trzeba. To w ogóle głupi pomysł. Przecież i tak nikt mnie nie zatrudni. Nie pracuję już prawie cztery lata, a w tej branży to całe wieki. Poza tym właściwie sama nie wiem, czy chcę wracać do pracy. Pewnie tęskniłabym za Leo i już w pierwszym dniu musieliby ze mnie zrezygnować.

Patricia nie spuszczała z niej wzroku.

— Skąd wiesz, że nikt cię nie przyjmie? Próbowowałaś?

— Nie. — Przed chwilą wyskoczyłam z tym pierwszy raz.

— Masz rację, że tyle czasu poza grą działa na twoją niekorzyść. Poza tym nie ma teraz zbyt wiele roboty. Ale coś ci znajdziemy.

Kelner postawił przed nimi talerze. Patricia spojrzała na danie Julii, a Julia na danie Patricii.

— Twoje wygląda naprawdę smakowicie — odezwała się Patricia.

— Twoje też wygląda świetnie — stwierdziła Julia. To był ich stary żart: zawsze zamawiały to samo. Tego dnia był to łosoś.

— Może Susie Thompson? — powiedziała Patricia, krojąc szparaga na pół. — Mogłabyś do niej zadzwonić.

— Nie znoszę Susie Thompson. Zawsze udawała, że nie wie, kim jestem, chociaż przedstawiano nas sobie z pięćdziesiąt razy.

— A Doug Bradley? Julia znowu pokręciła głową:

— Miły facet, ale ja się nie znam na promowaniu firm farmaceutycznych.

— Nauczyłabyś się. Przecież to wszędzie robi się tak samo. Łapiesz za słuchawkę i zaczynasz kłamać. Roześmiały się, a po chwili Patricia wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem, dlaczego nie zadzwonisz do CTM. Na pewno by cię znów przyjęli. Przecież nie miałaś z nimi żadnych konfliktów, prawda?

— W zasadzie nie — Julia lekko się skrzywiła na wspomnienie miny, jaką zrobiła Marjorie, jej szefowa, na wiadomość, że Julia po urlopie macierzyńskim nie chce wracać do pracy. — Ale szefowa chyba straciła dla mnie cały szacunek. To jedna z tych kobiet, które uważają, że nawet na porodówce powinnaś odbierać telefony.

Patricia milczała.

— Nie wiem — ciągnęła Julia — głupio by mi było prosić ją teraz o pracę.

Patricia kiwała głową ze zrozumieniem, a to wcale nie poprawiało Julii nastroju.

— No — stwierdziła wreszcie Patricia — zawsze jest jeszcze Howard Pam Public Relations.

— Howard Pam? Agencja, która przywraca splendor przebrzmiałym gwiazdom? — wzdrygnęła się Julia.

— Mają dużą rotację kadr, stale kogoś przyjmują — zauważyła Patricia. — Problem tylko w tym, że kiedyś pracowałam z facetem, który tam teraz szefuje. To bałwan. Nazywa się Jack DeMarco, przezywaliśmy go Jack Maniak, bo taki był upierdliwy — westchnęła, jakby żałując, że drzwi do tego piekła zostały uchylone, mimo że sama je otworzyła.

— To chyba bardzo mała firma? — Julia próbowała zyskać na czasie. Kiedyś obito się jej o uszy, że (inaczej niż w firmie Petera) kilka lat temu zamknęli biuro w Nowym Jorku, żeby utrzymać siedzibę w Los Angeles. Wizja pracy w ciasnym pokoiku, pozbawionej szumu, blasku, zamieszania i adrenaliny, nie bardzo jej odpowiadała.

— Policzmy — powiedziała Patricia i zaczęła wyliczać na palcach — Jack Maniak.

Jeden palec.

— Jego asystentka. Drugi palec.

— Jego zastępczyni, Janet, niedawno odeszła. Wiem, bo właśnie złożyła podanie u mnie i chyba jeszcze nie znaleźli nikogo na jej miejsce.

Trzeci palec.

— I asystent Janet, który został. Czwarty palec.

Julia wbiła widelec w łososia i spojrzała na zegarek.

Chociaż jeszcze nie było dwudziestej pierwszej i Leo już spał, nie mogła się doczekać powrotu do domu, nie tylko dlatego, że rozmowa z Patricia zeszła na niewygodne tematy, ale też dlatego, że jej łosoś był wielkości stopki niemowlęcia, więc wciąż była głodna.

— Może prześlij mi rano mailem telefon do tego Jacka Maniaka — powiedziała Julia, nawet nie próbując ukryć niechęci. — Przynajmniej będę miała na nich namiary.

— Dobra. Ale jak się z nim skontaktujesz, nie wspominaj o mnie — szybko odparła Patricia. — Jeszcze by mu przyszło do głowy szukać u mnie pracy, a tego bym nie chciała.

3.

Tydzień później, rankiem w połowie września, jak tylko Jack DeMarco otworzył usta, Julia przypomniała sobie, dlaczego tak chętnie zrezygnowała z pracy w tej branży.

Bo nie znosiła sławnych osobistości. I takich jak Jack. — Dobieramy wyższy personel bardzo uważnie — mówił Jack takim tonem, jakby był co najmniej współwłaścicielem firmy, co oczywiście nie było prawdą. — Dyskrecja. Kompetencja. Kreatywność. To narzędzia w naszym fachu. Cele naszej szczególnej misji.

Uśmiechnęła się uprzejmie, po czym opuściła wzrok na bloczek żółtych kartek, który z sobą przyniosła. Nie używany bloczek zaczął wyglądać jak rekwizyt. Chciałaby coś zapisać, ale najzwyczajniej w świecie nie była w stanie się do tego zmusić — tak bardzo nie chciała tej pracy! W końcu stanowisko, o które się ubiegała, oznaczało degradację w stosunku do jej poprzedniej pozycji i oboje wiedzieli, że gdyby nie gwałtowna potrzeba jakiegokolwiek zajęcia, w ogóle by tu nie przyszła.

Potrzebowała jednak tej pracy. Na gwałt. Dlatego była tam w tej chwili w przyciasnej, przykrót-kiej czarnej spódnicy i żakiecie, w które z trudem się wbiła, żeby wyglądać, jakby nigdy nie było tych czterech lat, kiedy nie nosiła rajstop.

— A naszą szczególną misją jest obsługa znanych osób, które niegdyś cieszyły się pewną dozą popularności, a obecnie, z różnych przyczyn... błędnych zawodowych decyzji, nałogów, ogólnie złego prowadzenia swojej kariery... nie cieszą się już taką sławą.

Słuchając i potakując, zmusiła się wreszcie do przyłożenia długopisu do kartki:

Jack DeMarco jest zachwycony samym sobą.

— Nasza misja polega na doradzaniu im, proponowaniu strategii, które miałyby im pomóc w odzyskaniu popularności i powrocie do światła jupiterów.

Jack DeMarco uwielbia wsłuchiwać się we własne słowa.

— Innymi słowy — powiedział i zawiesił głos, by podkreślić wagę tego, co przed chwilą wyłożył, a przy okazji dając jej czas na sporządzenie kolejnej notatki — zajmujemy się słynnymi osobami w okresie przejściowym.

Jack DeMarco za rok, góra dwa, całkowicie wyłysieje.

Skinęła głową, ale ta chwila dekoncentracji wystarczyła, by straciła wątek jego przemowy.

— To eufemizm. Eufemistyczne określenie tego, w czym się specjalizujemy — uśmiechnął się i zniżył głos. — Nasza specjalność to du-chy prze-szło-ści — dla komicznego efektu przesyłabizował te słowa.

Roześmiała się, on też, i po tej niespodziewanej wymianie porozumiewawczych spojrzeń komentujących pracę w branży rozrywkowej Julia rozejrzała

się po jego żalonym gabinecie. Był ponury, z tanimi meblami drewnopodobnymi w kolorze wiśni: duże biurko, komoda, segment ścienny i olbrzymi „fotel dyrektorski” — charakterystyczny znak małych firm z dużymi pretensjami i takiegoż personelu. Szara wykładzina podłogowa wydzielala woń stęchłego tytoniu i frytek. Julia zastanawiała się, czy Jack rzeczywiście tak dużo czasu spędza na paleniu i jedzeniu frytek, czy też to jakieś jej węchowe halucynacje wywołane stresem. Na ścianach przy biurku wisiały oprawione i opatrzone autografami fotosy dawnych gwiazd, których powrót na scenę stał się wielkim sukcesem, jak Burt Reynolds, John Travolta, Cher. Dalej wisiały mniejsze, bardziej przykurzone fotografie.

Jack zauważył, że Julia rozgląda się po gabinecie. Oczywiście zakładała, że osoby na zdjęciach to nie tyle aktorzy, ile jego klienci.

— Kathie Lee Gifford, Justine Bateman, Billy Baldwin — wyliczał, błędząc wzrokiem po ścianach, a po chwili odwrócił się zdegustowany. — Niektórzy powinni już dać sobie spokój. Popatrzyła na swój notes i zapisała pierwszą notatkę, która mogłaby uchodzić za „profesjonalną”:

Niektórzy nie są stworzeni do odnoszenia sukcesów.

— Zaczynijmy od tego, że niektórzy nigdy nie powinni zostać sławni — dodał Jack — ale to już całkiem inna sprawa.

Julia w pełni się z nim zgadzała. Spośród osób, które miał na myśli, wyłączyłaby jedynie Justine Bateman, którą zawsze podziwiała za rolę w *Wię-*

ziach rodzinnych i uważała za aktorkę o wielkim komicznym potencjale. Tak więc widać było, że znaleźli wspólny język — dwoje profesjonalistów z tej samej branży. Tyle że ona nie pamiętała już, kiedy ostatnio spotkała kogoś, kto zdawałby sobie sprawę, ile w tej pracy jest nikczemności i nieuczciwości.

— To beznadziejne przypadki te przebrzmiały sławy — ciągnął.

— Gwiazdy, które z niczym się nie kojarzą, nie mają swojego miejsca na rynku rozrywki. I właśnie dlatego to takie wyzwanie — przysunął fotel bliżej biurka i oparł się wygodnie. Widocznie była to jego ulubiona pozycja do przekazywania informacji i podkreślania ich rangi. — Amerykanie są bardzo niestali w uczuciach, ale niczego nie kochają tak, jak spektakularnych powrotów na scenę. To przecież kwintesencja prawdziwego, nieprzemijającego sukcesu.

— Jak sztuczne oddychanie — wtrąciła Julia, próbując użyć możliwie najtrafniejszego porównania, żeby popisać się inteligencją. — Wyrwanie delikwenta ze szponów śmierci. Jack uśmiechnął się z satysfakcją.

— Właśnie.

Jasne było, że ona to rozumie, i równie jasne — że o n rozumie, iż ona rozumie, i chociaż nie wydawało się jej to trudne do pojęcia, pochlebily jej pochwała Jacka oraz konfidencjonalny uśmieszek i sposób, w jaki, obniżając głos, powiedział:

— Pewne rzeczy rozumieją tylko wtajemniczeni. Julia skinęła potakująco głową.

Jack DeMarco uważa się za filozofa.

Jack zaczął bębnić palcami po biurku, posyłając jej przymilny uśmiezek. Miała wrażenie, że zaraz zacznie ją podrywać, więc kiedy skończyło się na porozumiewawczym mrugnięciu i ułożeniu palców w kształt pistoletu, poczuła co prawda niechęć, ale też wielką ulgę.

— No więc, kto jest pani ulubionym aktorem? — zapytał w końcu.

Usiłowała sobie przypomnieć, kto poprzedniego wieczoru występował w „Entertainment Tonight”. Odgrzewała wtedy paluszki rybne dla Leo w mikrofalówce, chociaż według informacji na pudełku nie powinno się tego robić, żeby nie traciły chrupkości.

— Sean Connery. Jack skinął głową.

— Kto jeszcze?

Sięgnęła pamięcią o jeden wieczór wstecz.

— Johnny Depp.

Jack znowu zaczął bębnić palcami po blacie.

— A ulubiony film?

— Trudno powiedzieć... Nie widziałam nic nowego chyba od dwóch lat.

Jack zamarł. Jeżeli nawet jakimś cudem udało jej się wcześniej wyrzucić na nim pozytywne wrażenie, to w tym momencie czar przysł.

Julia roześmiała się.

— Tak się dzieje, kiedy ma się dzieci. Traci się kontakt ze światem i kiedy w końcu człowiek chce wrócić, nie jest łatwo, bo wszyscy uważają go za durnia, który o niczym nie ma pojęcia.

Nie spuszczał z niej wzroku.

— Dwa lata. To długo — powiedział w końcu. Julia machnęła lekceważąco ręką.

— Trochę przesadziłam — odparła, schylając się po długopis, który wypadł jej z ręki. Ciasna spódnica tak mocno wrzynała się w talie, że zdawało się jej, iż za chwilę straci przytomność. — To był chyba tylko rok — czuła, że drżą jej powieki, jak zawsze, gdy kłamała. — Najwyżej półtora.

Pokiwał głową, wyraźnie rejestrując w pamięci, że coś tu nie gra.
Zamknij się.

Jack wzruszył ramionami i zaczął przeglądać jej życiorys, tak jakby widział go po raz pierwszy.

— To dlatego odeszła pani z Creative Talent... — umilkł, wyraźnie po to, żeby dokonać obliczeń — trzy, cztery lata temu? Bo urodziła pani dziecko?

Zamknęła oczy z nadzieją, że nie wszystko stracone.

— Tak.

— Chłopca czy dziewczynkę?

— Chłopca.

— Jak ma na imię?

— Leo — odpowiedziała, choć czasem nazywali go też Scooby. Albo Scooby-Doo. Albo Scoob.

Jack dalej przeglądał jej życiorys, a Julii przypomniła się twarz Leo tego ranka: zalana łzami, wykrzywiona z rozpaczki spowodowanej zdradą i niespodziewanym porzuceniem, przyciśnięta do szyby drzwi, gdy błagał ją „Wracaj! Wracaj!”, patrząc, jak

wychodzi z domu, wsiada do samochodu i odjeżdża. Julia skrzywiła się na wspomnienie tego, jak sama rozkleiła się w drodze do dworca, i znowu poczuła ścisnięcie w gardle. We wtorki rano zwykle oboje chodzili do sklepu ze zdrową żywnością w Scarsdale, po artykuły ekologiczne, Pirate's Booty — odpowiednik Cheetos dla bogatych — a potem do Food Emporium po resztę zakupów. Czasami szli też do Seksownego Rzeźnika po sos marinara. Chociaż rozstali się zaledwie kilka godzin temu, Julia już odczuwała brak Leo, jakby był jej amputowaną kończyną. Z niepokojem pomyślała, jak znosiłaby dłuższą rozłąkę, gdyby wróciła do pracy na pełny etat. — A czym zajmuje się pani mąż?

— Jest konsultantem do spraw zarządzania — odpowiedziała z całym przekonaniem.

— Chciałbym jeszcze o coś spytać — powiedział Jack, odkładając jej życiorys i kładąc dłonie na biurku.

— Co pani sądzi o Mary Ford?

Mimo usilnych starań, aby skupić się na rozmowie Julia była zdekoncentrowana i niespokojna, jej myśli ciągle błądziły wokół syna: czy znalazł zasilany bateriami pociąg, którego szukał przed jej wyjściem? Był naprawdę zrozpaczony, bo Julia nie miała czasu na dokładne poszukiwania. Może pociąg leżał pod kanapą. Albo w pojemniku na drugie śniadanie. Albo utknął za fotelikiem w samochodzie, który zaparkowała na dworcu. Prawdziwym dworcem z prawdziwymi pociągami, wożącymi ludzi do prawdziwych miejsc, na przykład na okropne rozmowy kwalifikacyjne.

— Mary Ford? — powtórzyła.

— Mary Ford jest naszą klientką.

— Ach tak — powinna to wiedzieć. I pięć lat temu na pewno by wiedziała, bo przygotowałyby się do takiej rozmowy.

Wystarczyło u rodziców przejrzeć kilka ostatnich numerów „People”.

— Może zainteresowałyby panią praca z nią? Julia właściwie nigdy nie obejrzała filmu z Mary

Ford od początku do końca — nigdy nie była miłośniczką starych filmów — ale teraz potrzebowała tej pracy, zmusiła się więc do koncentracji, zapomnienia o wszystkim innym. I kłamania. Bez zająknięcia.

— Oczywiście. Mary Ford to jedna z moich ulubionych aktorek.

— Naprawdę? — Jack wyglądał na zadowolonego. Nareszcie.

Kłamała więc dalej:

— Naprawdę! I jeszcze:

— Moja matka też ją uwielbia! I znowu:

— A także moja przyjaciółka!

— A któż to taki?

— Patricia Fallon.

Jack rozparł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął szeroko.

— Patty Fallon!

— Patricia — poprawiła go Julia. To był niemal odruch, bo Patricia nie znosiła, gdy zwracano się do niej „Patty”.

— Znamy się od dawna — ciągnął Jack. — Dawno temu pracowaliśmy razem w Hill & Knowlton.

Julia starała się opanować złośliwą satysfakcję i uśmiech wyższości, ale na próżno. Jack kiwał się w tył, w przód, w tył, w przód, w tył, w przód, a potem znowu zaczął bębnić palcami po biurku.

— A więc Patricia nadal pracuje w reklamie?

— Tak.

— Nadal! — powtórzył radośnie, jakby to miało oznaczać, że i ona utknęła w martwym punkcie kariery.

— Właściwie — wyjaśniła Julia, czując, że posuwa się trochę za daleko — jakieś trzy lata temu założyła własną agencję o nazwie Puls. Obsługuje głównie dużych klientów z branży kultury: czasopisma, wydawców, ludzi z filmu i telewizji — urwała na chwilę, wahając się, czy naruszyć zasady etyki zawodowej i wyjawić, że Oprah uważa Patricię nie tyle za swoją agentkę, ile za przyjaciółkę. Zrobiła to, oczywiście, bo już zaczęła mieć wyrzuty sumienia, że opowiadała o Patricii, i teraz zapragnęła utrzcć mu nosa, wspominając o jej sukcesach.

Jeszcze kilka razy pokiwał się na krześle, po czym uniósł głowę.

— Czemu więc nie pracuje pani w Pulsie?

Julia zmusiła się do uśmiechu i wywróciła oczami, jakby praca tam była czymś, o czym ktoś taki jak ona może tylko marzyć. W rzeczywistości był to dla niej trudny temat.

— Brak miejsc.

— Brak miejsc? Nawet dla przyjaciółki szefowej?

— Nawet! — uśmiech Julii zmienił się w grymas. — Poza tym — dodała, próbując obrócić odmowę Patricii na swoją korzyść — nawet gdyby mieli dla mnie pracę, nie byłby to dobry pomysł. Nie chciałabym wystawiać naszej przyjaźni na taką próbę.

Jack przyglądał się jej z uwagą.

— Dlaczego? Czyżby tak trudno się z panią pracowało?

— Czasami — roześmiała się, bo oczywiście nie była to prawda. Nie była to też najlepsza pora na takie żarty, i Julia nagle sobie uświadomiła, że pracuje na własną niekorzyść.

Myśl. O Leo. Ty samolubie.

Jack przestał się kołysać i wrócił do tematu Mary Ford.

— No, w każdym razie za jakiś miesiąc w sklepach pojawią się nowe perfumy Legenda, stworzone specjalnie dla Mary Ford, a my będziemy wykorzystywać wizerunek aktorki do promocji tych perfum. Będzie się pojawiać w mediach i na żywo w niektórych domach handlowych w całym kraju przez miesiąc, od połowy października. Legenda ma jej umożliwić ponowne wejście w blask jupiterów, więc oczywiście cały ten projekt jest bardzo ważny zarówno dla Mary Ford, jak i dla Howard Pam Public Relations. — Obrócił się w stronę regału. — Dałbym pani powąchać ten zapach, ale nie mogę znaleźć próbki... w każdym razie wszyscyśmy sporo w to zainwestowali i dlatego ktoś, kogo zatrudnimy do tej pracy, musi sobie dać radę z klientką i trasą promocyjną takiego kalibru.

Julia czuła, że znowu traci koncentrację, ale gdy Jack ponownie spojrzał na jej życiorys, tym razem przychylnie, wyprostowała się na krześle.

— Co prawda to ja będę odbywał większość podróży z Mary Ford, ale będą też pewnie trasy, na których będzie mi ktoś potrzebny, z tej prostej przyczyny, że — zważywszy na moje stanowisko — nie mogę spędzać całego czasu poza biurem z jednym klientem. Jak pani wie, cały ten biznes opiera się na robieniu dobrego wrażenia.

Stwarzaniu pozorów.

— Tak czy inaczej to zlecenie to prawdziwa okazja dla kogoś, kto je dostanie. No bo ile osób może się pochwalić, że pracowało z autentyczną legendą Hollywood?

Zależnie od tego, jak rozumieć „legendę Hollywood”, setki tysięcy, jeśli nie miliony nieszczęsnych agentów miało ten wątpliwy zaszczyt. Łącznie z Julią.

— No, więc witamy w zespole?

Julia skinęła głową, a Jack rozparł się w fotelu tak zadowolony, że nie był w stanie opanować uśmiechu od ucha do ucha. Nim przystąpili do omawiania szczegółów, Julia dopisała jeszcze jedną notatkę:

Przed chwilą sprzedałam własną duszę.

4.

Przyjąwszy pracę, której tak naprawdę nie chciała, Julia marzyła już tylko o tym, żeby wreszcie wyjść z tego durnego gabinetu. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i zobaczyć Scooba, który właśnie poprzedniego dnia odkrył swój penis (nazwał go „pikuś”), i „niezwykle istotne” było, aby to wydarzenie zostało „zauważone i uszanowane”, jak zgodnie twierdzili autorzy dwóch różnych poradników. Julia sięgała do nich tylko w nagłych przypadkach i w ważnych momentach rozwojowych synka. Uważała bowiem, że autorzy zalecają zbyt dużą koncentrację na potrzebach dziecka, a to może prowadzić do wychowania małego Narcyza. Poza tym nie mogła się wprost doczekać, żeby zrzucić z siebie ten „służbowy” strój, który ścisnął ją tak, że czuła mrowienie z powodu słabego dopływu krwi do kończyn.

Najpierw pojechała pociągiem z Grand Central do Larchmont, potem od dworca samochodem — w rezultacie dotarła do domu późnym popołudniem. Przed domem stał niebieski ford taurus jej rodziców. Zjechała na pobocze kupionym na kredyt, jeszcze nie spłaconym czarnym volvo, skręciła na podjazd i wyłączyła silnik. Siedząc w milczeniu za kierownicą, wpatrywała się w dom — nieduży, nieco zaniedbany budynek, do którego wprowadzili się w rok po narodzinach Leo. Farba na ścianach była

odrapana, rynny w kilku miejscach przeciekały, ale chociaż w tym momencie nie stać ich było na remont, jaki planowali w chwili kupna — nową kuchnię, drugą łazienkę, może nawet dobudówkę z jednym pokojem i tarasem — i tak kochała go takim, jaki był.

I całą okolicę.

Zawsze trochę się wstydziła przyznać mieszkającym w mieście w pojedynkę przyjaciołom, takim jak choćby Patricia, że ona i Peter, wychowani na przedmieściach (jedno — w Westchester, drugie — na Long Island), naprawdę lubią podmiejską atmosferę. Nie wyobrażali sobie życia w betonowej dżungli — za dużo tam hałasu, samochodów, komplikacji, a za mało prostoty. Chcieli, żeby Leo, nim dorośnie, miał możliwość korzystania z centrów handlowych, bawienia się w wykończonych, zadbanych świetlicach i klubach i by szybko nauczył się prowadzić samochód tak dobrze jak nowojorczyki dopiero po trzydziestce. Przeniosła wzrok na trawnik. Na początku sierpnia musieli zrezygnować z usług ogrodnika i teraz było już widoczne, że koniecznie trzeba skosić trawę i wyrównać brzegi trawnika. Zaczęła się zastanawiać, co by było, gdyby nie zatrudniali już nikogo i pozwolili trawie rosnąć: jaką osiągnęłyby wysokość, jak szybko zasypałyby ją liście i po jakim czasie Rita Janeway — sąsiadka z przeciwka, będąca zapaloną zielarką, zapamiętałą obrończynią przyrody i zwolenniczką recyklingu, przed którą nic się nie ukryje — z udawanym brytyjskim akcentem (rodem z New Jersey) zagroziłaby im pro-

cesem o to, że nie dbają należycie o swoją posiadłość. Wreszcie przypomniała sobie, że w domu są rodzice, a więc musi tam wejść i wyjaśnić im, iż fakt, że zaczęła się w podrzędnej agencji reklamowej, choć kiedyś pracowała w najlepszej, wcale nie oznacza, że oni nie sprawdzili się jako rodzice. Nie poruszyła się jednak.

Szyby samochodu były zasunięte. Na zewnątrz było duszno. Julia słyszała brzęczenie cykad wśród liści drzew, pacnięcia owadów o szyby, szelest traw, dźwięk dzwonka dziecięcego roweru w oddali. Wychowywała się niecałe pięć mil od tego miejsca; teraz, kiedy zamknęła oczy, zobaczyła podwórze za domem rodziców i siebie bawiącą się samotnie o zachodzie słońca, bez pudła przeskakującą z jednej płyty chodnika na drugą, by nie stąpnąć na najmniejsze choćby źdźbło trawy czy maleńki kwiatusek między nimi. W^T długie letnie wieczory, przed zapadnięciem zmroku, słyszała znajomą, dobiegającą zza drzew melodyjkę samochodu rozwożącego lody. Nie kupowała co wieczór lodów w waflu ani Popsicle nie dlatego, że rodzice jej nie pozwalali, ale ponieważ nie zawsze ich o to prosiła. Po śmierci brata starała się nie kłopotać rodziców niczym, co nie było naprawdę ważne.

Czuła spływającą po plecach stróżkę potu, gdy zbierała rzeczy: torbę, dowód zapłaty za bilet kolejowy i za taksówkę do rozliczenia podatkowego oraz wkładkę „Kultura” z „New York Timesa” (miała zamiar obejrzeć jakiś film bez względu na wszystko). Zabrała jeszcze pozostałość po dwóch lukrowanych pączkach (pudełko z niedojedzonym kawałkiem),

\

które kupiła na Grand Central, żeby poprawić sobie humor, i wysiadła z samochodu.

Wsunęła klucz do zamka, ale jak zawsze, wtedy gdy rodzice na nią czekali, drzwi otworzyły się, zanim zdążyła przekręcić klucz. Kiedy stanęła w progu, jej oczy potrzebowały chwili, by się przestawić z jaskrawego blasku słońca na stłumione światło wnętrza, potem ujrzała wpatrujących się w nią rodziców i Petera. Przez moment wszyscy spoglądali na siebie nawzajem — matka i ojciec na Julię, potem ojciec na matkę, matka na ojca, Julia na Petera, Peter na nią — próbując wyczuć sytuację, by zdecydować, czego nie mówić.

— Przynieśliśmy obiad — odezwała się mama nerwowym tonem, gdy Julia w końcu weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

— Pomyśleliśmy, że po tej rozmowie o pracę nie będziesz miała głowy do gotowania — podsumował ojciec głosem pełnym współczucia, a Julia, jak zawsze, gdy rodzice okazywali jej wsparcie, poczuła się, jakby przygniatali ją wielką poduchą. Już miała odpowiedzieć: „Nigdy nie mam głowy do gotowania”, ale zanim się odezwała, Peter wskazał na kuchnię:

— Twoja mama zrobiła kurczaka! I sałatkę. — Powiedział to z tak samo udawanym entuzjazmem, z jakim ona odpowiadała na pytania Jacka DeMarco.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, w jakiej farsie bierze udział. Peter sprawiał wrażenie zadowolonego, pewnego siebie, a spodnie khaki i koszula w paski nadawały mu wygląd osoby, która w gro-

nie rodzinnym cieszy się dniem wolnym od pracy. Julia sama nie wiedziała, czy to nie jest lepsze.

Kiedy spojrzała w stronę kuchni, poczuła ścisnięcie w żołądku. Jej mama była nie tylko okropną kucharką — była najgorszym możliwym rodzajem kucharza: *okropnym kucharzem, który uważa się za dobrego kucharza i dlatego nie chce przestać gotować*. Julia zmusiła się do uśmiechu, idąc w kierunku kuchennego blatu, na którym leżało przyrządzane przez mamę danie, zrobione w dobrej wierze: niejadalne rozmrażające się właśnie drobiowe piersi z pilawem ryżowym Uncle Beńs, ułożone w prostokątnej misce żaroodpornej przykrytej folią. Obok stały puszka groszku czy zielonej fasolki gotowa do otwarcia i wsypania do aluminiowego rondla oraz sałatka z sałaty lodowej, ogórka i pomidorów, z niskokalorycznym sosem z butelki.

Peter zawsze był w dobrych stosunkach z jej rodzicami, doceniał ich pomoc w opiece nad dzieckiem i to, że nigdy nie dali mu odczuć, iż jako katolik był w jakiś sposób gorszy od przeciętnego żyda (ale i tak odnosił takie wrażenie nader często — dorastanie w Great Nick oraz lata studiów i większość dorosłego życia na Upper West Side Manhattanu sprawiło, że czuł się jak Żyd uwięziony w nieżydowskim ciele), lecz mimo to nie mógł znieść kuchni teściowej. Julia musiała wymyślać setki najróżniejszych wykrętów, by się wymawiać od jedzenia posiłków u rodziców i przekonywać, że chętnie zabiorą obiad ze sobą.

Podeszła do kuchennego stołu i zdjęła czarne pantofle Ferragamo z kwadratowymi noskami (z początku lat osiemdziesiątych czy z końca dziewięćdziesiątych?), których nigdy nie lubiła i które nosiła tylko raz czy dwa razy w roku — do synagogi w wielkie święta oraz z okazji pogrzebów lub rodzinnych uroczystości. Gdy stopą w nylonowych rajstopach wpychała torbę do kąta, rodzice zbliżyli się do stołu. Jak zwykle byli ubrani jednakowo, w nieśmiertelne sportowe bluzy (mama brązową, tata granatową), dzinsy i czarne zamszowe trzewiki na gumowych, grubych niczym opony podszewkach. Takie stroje „emerytalne” były praktyczne, wygodne, niezniszczalne i nadawały się niemal na każdą okazję: na zakupy, do opieki nad dzieckiem, a nawet po południu do restauracji.

Julia spojrzała na nich i westchnęła. Wyglądali tak niewinnie, a ona z obawą myślała o tym, co nieuniknione.

Zaraz, będą pytania. Zaraz, będą pytania.

— No i co? — zaczął ojciec głosem pełnym niepokoju.

— Nie dostałaś tej pracy? — dokończyła mama. Julia podeszła do lodówki i odwróciła się.

— Właśnie, że dostałam.

— *Mazi tow!** — zawołał Peter i zbliżył się, żeby ją ucałować.

Jego policzek był delikatny, gładko ogolony, pachnący old spice'em: kolejny znak, że albo lepiej od niej znosił przeciwności losu, albo

*mazi-tow (jid.) — gratulacje! dosł. szczęśliwa gwiazda.

coraz bardziej pogrążał się w udawaniu, że wszystko jest w porządku. Peter cieszy się z tego, że po sześciu miesiącach w końcu odnotują jakiś dochód, pomyślała, ale rozumiała też jego szczerą radość — była wreszcie okazja, aby pójść do restauracji i nie jeść przygotowanego przez mamę obiadu. Taką nowinę należało uczcić.

— Dzięki Bogu — westchnęła mama, pochylona nad żaroodporną miską, jakby te drobiowe piersi miały uciec i wymagały pilnowania. — Wreszcie dostaniecie jakieś pieniądze.

— I dodatki — dorzucił ojciec z ożywieniem, jakby chciał wyrazić ulgę po zażegnaniu katastrofy.

— No to nie będziecie musieli sprzedawać domu.

— Zresztą i tak nie musielibyście.

— Pewnie, że nie.

— My byśmy wam pomogli.

— Nawet gdybyśmy musieli wziąć kredyt pod zastaw naszego domu.

— Byle tylko wam pomóc stanąć na nogi. Julia spojrzała na Petera i oboje się skrzywili.

— A więc ten Howard Pam Public Relations, o którym Peter nam mówił... Nigdy o nich nie słyszałem. Kim oni się zajmują? — w końcu zapytał ojciec.

— Jeśli o to chodzi, to teraz zajmują się Mary Ford — odparła Julia. — I chyba tylko dlatego mnie zatrudnili.

— Mary Ford? — powtórzyli rodzice w zgodnym duecie. Ich oczy błyszczały tak samo jak w czasach, gdy Julia pracowała w Creative Talent. Pomimo tylu lat pracy w tej branży i tylu prób wytłumacze-

nia rodzicom, że bycie agentem gwiazdy nie oznacza bycia gwiazdą („Obracanie się wśród sławnych ludzi wcale nie znaczy, że należy się do ich grona”), nigdy nie przyjęli tego do wiadomości. Byli dziećmi rosyjskich i polskich imigrantów, które dorastały w Brooklynie, lekarze byli dla nich idolami, a gwiazdy filmu bogami. Jeżdżenie z nimi w limuzynach, mieszkanie w drogich hotelach — nieważne, ile trzeba znieść upokorzeń, będąc na każde ich skinienie, i jak bardzo człowieka rugają za rzeczy, których nie zrobił — było według nich niewyobrażalnym sukcesem.

— Mary Ford to wielka gwiazda! — zawołała mama.

— Była wielką gwiazdą — sprostowała Julia. Ojciec zdawał się jej nie słyszeć.

— Co ona teraz robi? Występuje w jakimś nowym filmie?

Julia pokręciła głową.

— Nie, nie. Mary Ford to przebrzmiała gwiazda, a one nie występują w nowych filmach. One wypuszczają nowe „produkty”.

— Chodzi o perfumy.

— Jakie?

Julia wzruszyła ramionami.

— Jak to jakie?

— No, jak się nazywają?

— Legenda.

— A zapach? Jak pachną?

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Nie.

— Nie dali ci powąchać?

— Nie.

— Nie dali próbki?

— Nie.

— Nawet ci nie prysnęli przed nosem?

— Nie.

Julia obróciła się w stronę Petera. On też zdawał się nie rozumieć, dlaczego nie udało się jej powąchać tego zapachu.

— Wiecie, ta Mary Ford jest Żydówką — stwierdził ojciec bez związku.

— Oczywiście — odparła mama Julii.

— Zmieniła nazwisko.

— Wszyscy kiedyś zmieniali nazwiska.

— Nadal zmieniają.

— Jej pierwszy mąż zmarł na raka.

— Drugi też.

— Myślałam, że miał wylew.

— Wylew spowodowany przez raka.

— A co to za rak powoduje wylewy?

— Rak mózgu.

— Jej pierwszy mąż nie miał raka mózgu.

— Nie pierwszy. Drugi.

— Był Żydem?

— Jasne, że był Żydem. Tak samo jak pierwszy. Julia wiedziała, że kiedy rozmowa schodzi na tematy Żydów i śmierci, za chwilę wciągnie rodziców bez reszty, wykorzystając więc ten moment, aby się wymknąć i zajrzeć do Leo. Wyszła z kuchni, zabierając po drodze pantofle. Gdy weszła do

sypialni synka, zastała go siedzącego na łóżku, oglądającego bajkę o Tomku Tendrzaku i innych lokomotywach. Prawą dłonią grzebał w plastikowej misce z solonymi orzeszkami w poszukiwaniu takich, które nie byłyby ani za duże, ani za małe, ani za bardzo brązowe. W lewej ręce trzymał zgubiony rano pociąg. Chwilę milczała. Nie chciała spłoszyć nastroju tej chwili, pragnęła z całych sił zarejestrować ten jedyny, niepowtarzalny moment, zachować w pamięci odgłos chrupania i przeżuwania, widok małego człowieczka o zwartym, pulchniutkim i delikatnym ciałku, już w piżamie, śledzącego w skupieniu losy małych lokomotyw z buziami o dużych oczach. Wpatrzona w synka, nie zwracała uwagi ani na głos narratora płynący z ekranu (w niektórych odcinkach głos podkładały takie przebrzmiałe sławy, jak Ringo Starr czy Alec Baldwin), ani na zaskakująco niepoprawne politycznie przesłanie, które ponad sto lat temu brytyjski kleryk zawarł w tych historyjkach z naiwną bezpośredniością i bez najmniejszej żenady: produktem ubocznym rywalizacji między „pyskatymi” małymi lokomotywami, takimi jak Tomek, a dużymi, „dalekobieźnymi” lokomotywami, jak Gordon, którym tak bardzo zależy na aprobacie Tłustego Kontrolera — Sir Tophama Hatta — zawsze jest złość i niezgoda.

Kiedyś, gdy Leo był jeszcze niemowlakiem, Julia wpadła na pomysł, żeby robić mu codziennie jedno zdjęcie i opisywać pod kadrem („Przewijanie: 4 dni, 2 godziny”; „Spanie: 2 miesiące, 6 dni”).

Zużyła mnóstwo rolek kolorowych i czarno-białych filmów, które z poczucia obowiązku nosiła do wywołania, a odbitki rozsyłała przyjaciołom i rodzinie. W nawale zajęć (gdzie umieścić te wszystkie zdjęcia? czy filmy nie są strasznie drogie?) umknęło jej to, co najważniejsze. Z czasem ogrom pracy zaczął ją tak przytłaczać, że całe przedsięwzięcie wydało się jej pretensjonalne i snobistyczne. A jednak w chwilach takich jak ta — kiedy Leo nie wiedział, że jest obserwowany, a ona przyglądała mu się dziwiąc, jakim cudem tak szybko urósł — najbardziej żałowała, że nie posiada wielu albumów ze zdjęciami, by prześledzić cały jego rozwój, niczym w historyjce obrazkowej lub na niemym filmie.

Od narodzin do dzisiaj — trzy lata, pięć miesięcy i siedemnaście dni — w sześć i pół sekundy.

Usiadła obok niego na łóżku i pocałowała go w kark, a potem przyłożyła policzek do jego policzka i wsłuchiwała się w odgłosy chrupania. Pachniał mydłem, szamponem i orzeszkami.

Zamknęła oczy, żeby całą sobą chłonać jego obecność. Nie odwracając głowy od telewizora, Leo sięgnął do jej ucha — taki dziwny nawyk, gest, który wykonywał w przypływie silnych uczuć albo gdy zasypiał.

— Wróciłaś.

— Pewnie, że wróciłam — odparła, odpinając guzik spódnicy, i odetchnęła z ulgą. — Zawsze wracam, kiedy wychodzę.

Zjadł kolejnego orzeszka i wskazał na ekran,

— Zobacz. Pociągi — powiedział.

— Pociągi — potwierdziła.

— Mogę je dostać na urodziny?

Do urodzin było jeszcze siedem miesięcy, w dodatku Leo miał już chyba setkę pociągów, ale zamiast wdawać się w dyskusję, Julia wyciągnęła się na łóżku obok niego i zamknęła oczy. On jednak zaczął stukać w nią palcem.

— Co? — zapytała, otwierając oczy.

— Twoje nogi — pokazał.

Spojrzała we wskazanym kierunku, zdezorientowana, i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Leo nigdy dotąd nie widział jej w spódnicy i rajstopach.

Pokiwał głową i poklepał ją po nogach, jakby była jakimś wypchanym egzotycznym zwierzęciem.

— Podobają mi się twoje nogi.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Wrócił do orzeszków i pociągów.

— No to co, Scooby — zagadnęła Julia, zamierzając przystąpić do serii pytań *{nieodrodna córka swoich rodziców!}*. — Co dzisiaj robiłeś?

— Jedliśmy naleśniki — uśmiechnął się.

— W „Stanz”? — zapytała, sięgając po orzeszka do miseczki i wkładając go do ust. Pomyślała, że pewnie tam znaleźli jego pociąg.

— Nie. Tatuś zrobił. Julia przestała chrupać.

— Tatuś zrobił naleśniki?

Leo skinął potakująco głową.

Chociaż nie pamiętała, żeby kupowali jakiegokolwiek mrożone placki, przyjęła, że Leo mówił właśnie o takich.

— Chciałeś powiedzieć, że tatuś zrobił je w opiekaczu?

— Nie. Na kuchence.

Julia przypatrywała się Leo, który oglądał *Toma i Jerryego* na Cartoon Network, i zastanawiała się, czym jeszcze życie ją zaskoczy. Peter nigdy nie zdradził się z tym, że potrafi zrobić coś więcej niż tosta, ale tego dnia odegrał Dustina Hoffmana ze *Sprawy Kramerów* i przygotował swemu porzuconemu przez matkę synowi domowe śniadanie.

Pół godziny później Leo już spał. Julia wstała, przebrała się w ulubiony strój, mówiący: „Dom jest całym moim światem” — beżowe dzinsy, czarny podkoszulek i niewiarygodnie brzydkie brązowe zamszowe klapki (złamała dla nich młodzieńcze postanowienie nieprzedkładania wygody nad modę) i przeszła przez pokój, wyginając się, jakby ćwiczyła tai-chi, co opanowała już do perfekcji po tylu cichych ucieczkach od śpiącego Leo. Zeszła na dół. Peter spał na kanapie, wokół której porozrzucone były klocki i pociągi. Siadając w fotelu na wprost niego, nie potrafiła odegnąć dręczących ją pytań: czemu, skoro był cały dzień w domu, nie mógł posprzątać w salonie, pościelić łóżka, czy choćby opróżnić zmywarki? Czyż ona nie zajmowała się tym, kiedy była w domu? Zanim urodził się Leo, Julia nigdy nie zastanawiała się nad podziałem obowiązków domowych ani nad tym, kto robi więcej, ale gdy pojawiło się dziecko — a zwłaszcza kiedy

Peter stracił pracę — takie myśli nie dawały jej spokoju. Skoro wszyscy już spali, Julia postanowiła zadzwonić do Patricii, żeby mieć to już za sobą. Czekając, aż przyjaciółka odbierze jeden ze swoich telefonów — w pracy, w domu albo komórkę — otworzyła lodówkę i zajrzała do kurczaków przyniesionych przez mamę. Dźgnęła je palcem i zostawiła w chłodnych ciemnościach, żeby w spokoju przemyślały swoje winy. Zajmie się nimi później.

Patricia odebrała komórkę. Była na ulicy — Julia słyszała odgłosy charakterystyczne dla miejskiego ruchu i rozmowy w tle. — Gdzie jesteś? — zapytała, otwierając znowu lodówkę w nadziei, że znajdzie coś na ząb.

— Na rogu Madison i Sześćdziesiątej Ósmej.

— A cóż ty tam robisz? — Julia otworzyła plastikowy pojemnik i znalazła dwa nadgryzione rybne paluszki. Chwilę zastanawiała się, jak długo leżą w lodówce i czy Leo jeszcze o nich pamięta.

— Farbowanie i strzyżenie włosów, depilacja nóg i okolic bikini, manicure i pedicure. Spędziłam tam prawie sześć godzin.

Julia pochłonęła paluszek rybny w dwóch kęsach. Nie obcinała włosów — nie mówiąc o całej reszcie — od końca minionego milenium, ale to nie miało nic do rzeczy.

— No i jak poszła rozmowa? — zapytała Patricia.

— Dobrze — odpowiedziała Julia, usiłując przełknąć kęs. — Przyjęli mnie.

— Skąd wiesz?

— Jak to skąd? Jack mi powiedział.

— Chcesz powiedzieć, że tak z miejsca zaproponował ci pracę?
Julia rzuciła się na drugi paluszek.

— Aha.

— O Boże. Musi być bardziej zdesperowany, niż myślałam.

— Miła jesteś — odparła Julia z sarkazmem.

— No nie, nie to chciałam... Chodzi mi o to, że... musi mu naprawdę brakować ludzi. Albo jest tak zawałony klientami.

— Nie szkodzi — burknęła Julia. Podeszła do szafki obok lodówki w poszukiwaniu jeszcze czegoś do zjedzenia.

— Denerwujesz się? — spytała Patricia.

— Czemu miałabym się denerwować? — otworzyła paczkę krakersów i wsunęła jeden w całości do ust. Poczowała wrzynające się w policzki krawędzie. Zdażyła nawet pomyśleć, że pewnie dolna część jej twarzy przybrała kształt krakersa, tak jak na kreskówkach głowa Toma przybiera płaski kształt od ciosów Jerry'ego wymierzanych patelnią. — Jack DeMarco to idiota, a Howard Pam Public Relations to nieporozumienie. Przecież sama tak mówiłaś.

— Racja. Ale mimo wszystko Jack to twój nowy szef... i to twoja nowa praca. Nie wiem... — Patricia zawahała się, odchrząknęła.

— Pewnie czujesz się trochę... niepewnie.

Niepewnie nawet w połowie nie wyrażało tego, jak czuła się Julia, ale nie miała zamiaru przyznawać się przyjaciółce do swoich obaw. Zamiast tego, jak zawsze, gdy zawodowe sukcesy Patricii

osłabiały jej własne poczucie wartości, Julia udawała pewną siebie.

— Właściwie to cieszę się na to wyzwanie. Mimo że nie ma się w co ubrać.

I że prawdopodobnie będzie potrzebowała miesiąca, żeby opanować obsługę telefonów. I komórki.

Nie wspominając o komputerze. I laptopie.

I wszystkich innych miniaturowych urządzeniach elektronicznych i metodach przechowywania danych, jakie wynaleziono, odkąd odeszła z pracy.

— To świetnie — stwierdziła Patricia ze szczerym entuzjazmem, co tylko zagmatwało i tak już zagmatwane uczucia Julii do przyjaciółki. Gdyby Patricia zawsze była świnią, a nie tylko czasami, dużo łatwiej byłoby się z nią rozstać.

5.

W chłodne jesienne dni — te nieliczne, które pozostały Julii z niechętnie porzucanego życia kury domowej — Julia, Peter i Leo niemal się ze sobą nie rozstawali. Kiedy Leo nie szedł do przedszkola, korzystali z poważnie już nadwreżonej karty Visa w sklepie Whole Foods, potem szli do parku albo na pobliską plażę, jedli kolację, kąpali małego i czytali mu przed snem. W dni, w które Leo chodził do przedszkola, Julia przygotowywała mu drugie śniadanie (termos obiadowy wypełniony makaronem z serem, mały plastikowy pojemnik z ekologicznymi chrupkami serowymi, kubek mleka z rurką oraz widelec i serwetkę), wkładając w to całe serce (poświęcała dziesięć minut na przyrządzenie dania w sposób tradycyjny zamiast dwóch minut w wersji nowoczesnej — w mikrofalówce). Wtykała widelec w małą kieszonkę utworzoną ze zwiniętej serwetki i przed zamknięciem pudełka sprawdzała, czy wszystko jest ułożone dobrą stroną, a nie odwrotnie, co się jej wcześniej kilka razy zdarzyło.

Chętnie nadałaby serwetce kształt łabędzia lub łódki, zgodnie z zasadami origami, albo i sama by weszła do tej śniadaniówki, gdyby to było możliwe, ale zamiast tego robiła, co mogła, by pokazać, że poranki w tym tygodniu niczym się nie różnią od poranków w poprzednich tygodniach. Zachowywała się, jakby zawsze miała wysadzać Leo przed przedszkolem i odbierać go po południu,

choć wiedziała, że już za kilka dni nie będzie tego robić. Jej miejsce miał zająć Peter — jej praktykant — jej zastępca — jej asystent, niczym z filmu *Wszystko o Ewie*.

To Peter będzie przygotowywał dla Leo drugie śniadanie, będzie go ubierał, przypinał pasem do fotelika. Peter w drodze do przedszkola będzie z nim rozmawiał o pociągach i autobusach szkolnych, o drzewach i liściach, a z innymi matkami o pogodzie i o nauczycielkach, o wadach i zaletach polaru i flaneli, rękawiczek z jednym lub z pięcioma palcami, ocieplanych spodni i getrów. To Peter będzie odbierał go z przedszkola, wkładał do plecaka jego rysunki, a w samochodzie przez całą drogę do domu będą rozmawiali o minionym dniu — z kim Leo się bawił, co robili, co było na podwieczorek, czy któraś mama przyniosła urodzinowe ciasteczka.

Pewnego dnia, gdy Peter chodził za Julią krok w krok, bacznie obserwując każdy jej ruch, by móc ją później naśladować, nagle przerwała pakowanie śniadania dla Leo.

— O co ci chodzi? — podniosła na niego wzrok.

— O nic. Przyglądam się.

— Po co?

— Bo chcę zobaczyć, jak to robisz.

— Co takiego?

— To — wskazał.

Julia spojrzała na swoje dłonie.

— Chcesz zobaczyć, jak zamykam śniadaniów-kę? — potrząsnęła głową, jakby w życiu nie słysza-

ła niczego równie bezsensownego, i odwróciła się. Czuła, jak wilgotnieją jej oczy. — No dobra. To jest plastikowy pojemnik z makaronem — powiedziała, przesadnym gestem otwierając pudełko tak szeroko, żeby Peter mógł zajrzeć do środka — a to butelka z wodą. Tu masz zamykaną foliową torebkę na przekąskę, dzisiaj są w niej akurat chrupki serowe, chociaż pełno w nich tłuszczu, soli i wszelkich niezdrowych składników, nieobecnych w ekologicznym makaronie, który przed chwilą upichciłam. A tu są widelec i serwetka, które zapomniałam włożyć i... teraz... już tego nie wcisnę z boku — opuściła miękką pokrywę śniadaniówki i okazało się, że nie może zasunąć zamka. — Cholera — mruknęła pod nosem, chociaż miała ochotę wrzasnąć na całe gardło.

Peter pochylił się nad blatem i delikatnie przesunął torebkę z przekąską, tak że znalazła się obok butelki z wodą, a nie jak poprzednio — na pojemniku z makaronem. Wtedy opuścił pokrywę i z łatwością zasunął zamek.

— Widzisz, jeśli łagodnie wpieścisz tę przekąskę obok butelki, wykorzystasz wolne miejsce.

Spojrzała na niego zdumiona, a potem wybuchnęła śmiechem.

— Coś ty powiedział? „Wpieścisz”?! On też się roześmiał.

— Tak jakoś... wyszło.

— Przecież... to brzmi... nieprzyzwoicie! Wzruszył ramionami i oboje zaśmiali się jeszcze głośniej.

— Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

— Przepras — zażądała, teraz już niemal zgięta wpół ze śmiechu — i obiecaj, że już nigdy więcej tak nie powiesz.

Wieczorami, gdy Leo już spał, Julia i Peter układali swój nowy harmonogram. Jej rodzice mieli opiekować się małym we wtorki i czwartki — dni wolne od przedszkola — żeby Peter mógł chodzić do biura pośrednictwa, gdyby miał ochotę. Trzeba też było przemyśleć sprawy związane z prowadzeniem domu. Pod koniec ostatniego wspólnego tygodnia Peter, który przez cały okres ich małżeństwa raczej nie wykazywał zainteresowania takimi drobiazgami jak prace domowe, gotów był do podjęcia się całkiem nowego zadania.

— Mam zamiar zbadać obecną strukturę organizacyjną naszego gospodarstwa i przeprowadzić analizę możliwości jej reorganizacji — stwierdził, opróżniając w kuchni dużą torbę z zakupami.

— Świetnie! — odparła Julia.

— Nazywam to „projektem” — ciągnął z zadziwiającą powagą.

Uśmiechnęła się pod nosem. W końcu po tylu latach doczekała się, że jej mąż, jak inni mężowie, zacznie coś robić w domu! Zacznie wykorzystywać swój zmysł obserwacji i zdolności analityczne w codziennym życiu i używając narzędzi i języka zarządzania pomoże im obojgu przejść przez ten trudny okres zamiany ról!

Dwa dni później na dużej tablicy do biznesowych prezentacji Peter stworzył kolorową tabelę

z ruchomymi blokami (*Niebieski: Julia w pracy, zielony: Leo w przedszkolu, żółty: rytmika, czerwony: Peter — biuro pośrednictwa, fioletowy: Len i Phyllis z Leo, pomarańczowy: Leo i Peter — czas na zabawę, brązowy: Tom i Jerry na Cartoon Network*) i umieścił ją na sztalugach w rogu kuchni, przy lodówce.

Julię zainteresował nie opisany czarny kwadrat.

— A to co?

Peter poruszył brwiami w górę i w dół i spojrzał na nią uwodzicielsko.

— Nasza randka.

Zaniemówiła. Nie do wiary! Do tego już doszło, że muszą „planować” swoje spotkania! Obejrzała resztę planszy i zmusiła się do uśmiechu.

— Aha! Czyli teraz nazywamy to randką? Wzruszył ramionami.

— No wiesz, to jest harmonogram rodzinny.

— Ale czemu są trzy takie kwadraty? Mówiłam dwa, a nie trzy razy na tydzień.

Znowu zrobił do niej słodkie oczy.

— Wieczór rachunków.

— Co tydzień? — znowu zaczynała się bać.

— Muszę pilnować, żebyśmy nie zgnuśnieli. Nie odpowiedziała.

Odwróciła się w stronę tablicy.

— A niech cię... — powiedziała w końcu.

— Podoba ci się? — zapytał w taki sposób, jakby od tego zależało jego życie.

— Dokładnie przemyślane — przyznała i wskazała na różowe kwadraty. Skontaktował się nawet z Lisą Goodman, psychoterapeutką i przyjaciółką

Julii z sąsiedztwa, której syn, Adam, był w wieku Leo (Julia i Peter między sobą mówili o nim Batman, bo zawsze nosił czarną nylonową pelerynkę).

— Jak rozmawiałem z Lisą, próbując dopasować nasze grafiki, zaprosiła mnie na kawę z tą grupą matek, z którą zaczęłyście się spotykać — pochylił się, żeby zajrzeć do notesu (do notatek z zagarnięcia cudzej tożsamości) i nie przekreślić imion. — Pinar. Monika. Hilary. Właśnie jutro po odwiezieniu dzieci do przedszkola idziemy do Bradley's.

Julia ledwo wierzyła własnym uszom. Pinar była dawniej architektem miejskim, Hilary wcześniej pracowała jako tłumaczka w ONZ, a Monika jako redaktorka czasopisma.

Wszystkie były teraz pełnoetatowymi mamami. Julia szczerze polubiła tę grupkę już pierwszego dnia, kiedy stłoczone w małej szatni powkładały plecaczki i pudełka ze śniadaniem do szafek, a gdy trzeba było wyjść, z trudem powstrzymywały łzy, aż Monika — która już przez to przechodziła ze starszym dzieckiem — wyprowadziła je na zewnątrz, pod żywopłot, skąd mogły zajrzeć do sali i zobaczyć, że żadne z dzieci nie płacze i że wszystkie dobrze się bawią. Przez pierwsze dwa dni po zawiezieniu maluchów do przedszkola przechodziły na drugą stronę ulicy na kawę. Planowały robić to jak najczęściej.

Julia bardzo pragnęła mieć taką grupkę przyjaciółek, bo w Larchmont udało się jej zawrzeć tylko jedną przyjaźń — z Lisą, która na pół etatu przyjmowała pacjentów w wielkim budynku o dwie przecznice od domu Julii. Ich znajomość, jak w przypadku większości kobiet mieszkających z dziećmi na przedmieściach, zaczęła się na placu zabaw.

Julia zaczęła chodzić do Turtle Park, kiedy Leo skończył osiemnaście miesięcy, i za każdym razem miała wrażenie, że wśród opiekunek widuje te same trzy mamuśki w typie Barbie (francuski manicure, rozprostowane włosy z pasemkami w odcieniach od brązu po blond), z obsesją na punkcie pilates (zawsze plotkowały o zajęciach, na które razem chodziły do elitarnego Studia Ćwiczeń Debbie Frank). Julia pewnie w ogóle nie zwróciłaby na nie uwagi — niczym nie różniły się od innych kobiet widywanych każdego dnia w mieście, którym była obojętna i przy których czuła się jak zwierzę wypuszczone ze stodoły po podstawowych zabiegach pielęgnacyjnych — gdyby nie to, że dosłownie odwracały się do niej plecami, gdy się zbliżała, a były niezwykle miłe dla Petera, gdy to on szedł z Leo na spacer. Posunęły się nawet do tego, że zaprosiły go na zajęcia z jogi bikram (joga, w przeciwieństwie do pilates, gdzie nacisk kładzie się na dolne mięśnie brzucha, wydaje się łączyć ludzi niezależnie od płci).

Julia nie mogła zrozumieć, co im takiego zrobiła — nie przypominała sobie, by z którąś z nich zamieniła choć słowo — i dlatego nigdy jej nie zaprosiły na te swoje zajęcia gimnastyczne, których ewidentnie potrzebowała bardziej niż Peter. Tak naprawdę niewiele ją to obchodziło. Czuła się jednak pokrzywdzona przez los, bo gdy jeszcze mieszkali w mieście, czysty, miły park w pobliżu domu pozostawał w sferze marzeń. Musiała wówczas wlec Leo na spacer w wózku albo do parku Union Square przy Czternastej Ulicy, w którym było peł-

no spacerowiczów i skracających sobie drogę rowerzystów, albo do parku Washington Square, zatłoczonego przez studentów, dilerów narkotyków i hałaśliwe małe pieski na krótkich smyczach. Teraz miała przyjemny park w pobliżu, ale spacery napawały ją niepokojem, a nawet strachem: czy będą tam Trzy Wiedźmy? Czy gdyby przestała chodzić do Turtle Park i przeniosła się do parku Willow albo Flint, natknęłaby się tam na trzy inne, ale tak samo wiedźmowate wiedźmy? Czy wiedźmy znane są lepsze niż wiedźmy nieznane?

Mimo docenianego duchowego wsparcia ze strony Petera, gdy zdarzyło mu się pójść razem z nią do parku i zobaczyć, jak ją traktują (nawet nie próbując udawać współczucia, stwierdził: „One cię nie cierpią. Nie wiem dlaczego, ale stanowczo tak jest”), była zdana tylko na siebie.

Tak było do czasu, gdy pewnego wiosennego dnia pojawiła się Lisa Goodman, z gęstą czupryną niesfornych żydowskich włosów oraz skłonnością do kontestacji i oburzenia niemal w każdej najdrobniejszej sprawie („Jak to, w Whole Foods przestali sprzedawać nutellę?! Za kogo się mają, żeby nam mówić, co mamy jeść?”; „Nie ma już siłowni w Scarsdale JCC? To mi się nie podoba!”).

— Jak one śmiały nas ignorować! — powiedziała do Julii przy pierwszym spotkaniu.

Był to tak ważny moment w dziejach jej prywatnych stosunków z mieszkańcami przedmieścia, że we wspomnieniach Julii nabrał magicznego znaczenia. Lisa nie traciła czasu na przedstawianie się — nie było to zresztą konieczne, bo obie natych-

miast poczuły, jakby znały się od lat — natomiast gdy Leo i Adam weszli do piaskownicy, poświęciła chwilę, aby wyjaśnić Julii, że te kobiety nigdy nie odezwały się też do niej i że od niemal dwóch lat szczerze ich nienawidzi.

— To dlatego, że nie prostuję włosów — powiedziała, kiwając przy tym głową, jakby właśnie odkryła, jak rozszczepić atom. — Nie robię tego z powodu, że jestem samonienawidzącą się Żydówką, ale ze zwykłego lenistwa. Ale one tego nie wiedzą. Pewnie myślą, że manifestuję jakieś poglądy.

Julia wstydziła się przyznać, że też uznała fryzurę Lisy za manifest ideologiczny, więc udała, iż jest ponad to i w ogóle o tym nie myślała.

— Jeśli ktokolwiek ma kogokolwiek ignorować, to my powinnyśmy ignorować te kobiety — ciągnęła Lisa stanowczym tonem nastolatki. — Jesteśmy bardziej oburzone i bardziej inteligentne niż one. Nie muszę o tobie nic wiedzieć, żeby to stwierdzić — sfrustrowana, wymachiwała rękami i energicznie potrząsała głową.

— Tu nie jest Manhattan. To Larchmont. Jak już ktoś się przenosi na przedmieścia, musi porzucić swoje snobistyczne pretensje.

Julia nie żywiła do przedmieść takiej pogardy, jaką słychać było w głosie Lisy, ale poczuła ulgę.

Nareszcie ktoś, kto nie dość, że nadaje sens jej cierpieniom, to jeszcze z nią normalnie rozmawia!

— Zupełnie jak w hebrajskiej szkole — stwierdziła Julia — kiedy bałam się wstać z ławki, bo inne dziewczyny naśmiewały się z mojego tyłka.

Lisa energicznie potrząsnęła głową i zawołała zdziwiona:

— Przecież ty wcale nie masz wielkiego tyłka!

— Właśnie że mam.

— Nieprawda — obróciła się i odchyliwszy kurtkę ze sztucznej skóry, mignęła Julii przed oczami swoją tylną częścią ciała. — Moja pupa jest większa — opuściła kurtkę na solidnych rozmiarów siedzenie i wróciła do przerwane go tematu. — Mniejsza z rozmiarami. Faktem jest, że one patrzą na nas z nienawiścią — powiedziała filozoficznym, trochę smutnym tonem — ale czemu tak nas nienawidzą? Julia była tak przejęta tym przejawem babskiej wściekłości z Lizą — wzajemnym porównywaniem gabarytów, dzieleniem się przykrymi wspomnieniami ze szkoły — że nie była w stanie tak nagle przeprowadzić analizy owego tajemniczego, irytującego i w dużej mierze niezauważanego społecznego zjawiska, jakim jest okrucieństwo kobiety wobec kobiety. W ciągu kilku następnych miesięcy, podczas pobytów z dziećmi na placu zabaw i wieczornych wypraw do Starbucks, „przetwarzały” — a słowo to oznaczało dla nich talmudyczny poziom analizy: dekonstrukcji, interpretacji i wyjaśniania — wszystko, od Trzech Wiedźm i utraty pracy przez Petera po plusy i minusy życia w Larchmont.

Peter, korzystając z zamyślenia Julii, usiadł przy kuchennym stole i zmusił się do uśmiechu. Jego sportowa koszula koloru khaki wyglądała niemal

jak nowa, jedynie w okolicach kieszeni na piersiach i przy kołnierzyku była lekko wytarta.

— Denerwujesz się? — zapytała go lekko drwiącym tonem, takim jakim Patricia rozmawiała z nią o nowej pracy. Peter jednak, w przeciwieństwie do Patrycii, nie zasłonił się jawnym kłamstwem, tylko odparł:

— Jasne, że się denerwuję. Mam mnóstwo rzeczy do zapamiętania i wiem, że będę zdany tylko na siebie. To znaczy... pewnie, że inne mamuśki będą mi współczuć i pozwolą się do nich przyłączyć, ale w zasadzie nie będą chciały, żebym się przy nich pałętał.

Julia również usiadła. Chyba miał rację. Kobiety lubią bezkarnie rozmawiać o swoich mężach, dzieciach — lubią analizować zachowanie innych matek i odnajdywać własne miejsce w hierarchii według schematu „matki pracujące” versus „matki niepracujące”, ale nie da się tego robić w obecności mężczyzny. Myśl o Peterze, który czuje się odrzucony, nie na swoim miejscu, obudziła w Julii współczucie, a nawet niepokój, że on w tej nowej roli może być bardziej samotny niż ona w pracy.

Chwyciła go za rękę.

— Wszystko się jakoś ułoży — powiedziała. Znowu sztucznie się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

Pozostawiła go przy pracy nad „projektem”, a sama poszła się położyć, dręczona poczuciem winy z powodu własnej małostkowości i tego, że tak często czegoś mu zazdrości. Tym razem zazdro-

ściła mu, że nie musi się martwić o to, co jutro na siebie włoży.

* * *

W niedzielę wieczorem, w przeddzień nowego etapu w swoim zawodowym życiu, Julia przyjrzała się sporządzonemu przez Petera harmonogramowi. Było to rozległe morze błękitu — „Julia w pracy” — z rzadka przetykane innymi kolorami.

Chwilę patrzyła na ten schemat, potem spojrzała na Petera, a wreszcie poczuła łzy spływające po policzkach. Peter obrócił tablicę do ściany, objął Julię i szepnął, prowadząc ją na górę:

— To przecież na krótko. Niedługo coś znajdę i wszystko będzie jak kiedyś.

Połknęła połówkę tylenolu, żeby nie walczyć z bezsennością przed tak wielkim dniem, wsunęła się pod kołdrę w jego ramiona i niemal natychmiast zasnęła. Śniła o czasie przyszłym, o którym wspominał Peter — gdy on znajdzie pracę i wszystko ułoży się jak dawniej — ale obudziwszy się na długo przed dzwonkiem budzika, nic z tego nie pamiętała.

6.

Czerwone cyfry „5:45” połyskiwały i pulsowały kilka sekund, zanim Julia, wciąż na wpół przytomna po przebudzeniu, uświadomiła sobie, że zamiast wstawać, wpatruje się w zegar. Tak bardzo nie chciało się jej wychodzić z łóżka, a widok Petera pogrążonego w głębokim śnie jeszcze pogarszał sprawę. Przypomniały się jej te wszystkie dni, kiedy zadowolona obracała się na drugi bok, gdy Peter bladym świtem wychodził do pracy. Szybko wzięła prysznic i zaczęła się ubierać. Wymagało to stoczenia walki z parą nowiutkich rajstop, które okazały się mniejsze i jaśniejsze, niż powinny. Potem wciągnęła przez głowę białą bluzkę i wkładając czarną spódnicę, sięgnęła po czarny rozpinany sweter oraz buty, z którymi zeszła po schodach na dół. Właśnie miała nalać sobie kawy — Peter był tak przewidujący, że poprzedniego dnia wieczorem ustawił zegar w ekspresie — gdy usłyszała kroki na schodach. Pomyślała, że to Peter chce się pożegnać, ale zobaczyła Leo, w trochę już ciasnej pi-żamce w wozy strażackie, który ściskając swój kocyk i przecierając oczy, schodził na dół.

Kilka razy w ciągu minionego tygodnia próbowała mu tłumaczyć, że codziennie rano będzie wychodziła do pracy, ale za każdym razem, gdy zaczynała, on tracił zainteresowanie — albo nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć, o co chodzi.

Wyjęła dwa tosty z opiekacza, posmarowała je masłem i usiadła przy stole, sadzając małego na kolanach.

— Idę dzisiaj do pracy, pamiętasz? — podała mu jeden tost, a sama zaczęła jeść drugi.

Leo wgryzł się w kawałek niczym mały chomik.

— Pójdę teraz na dworzec i tam złapię pociąg — ciągnęła Julia. Przesłał gryźć i obrócił twarz w jej stronę. Zobaczyła oczy jak duże niebieskie krążki, a w uchylonych ze zdziwienia ustach kawałek tosta.

— Złapiesz pociąg? Skinęła potakująco.

— Jaki pociąg?

— Duży, który zabierze mnie do miasta.

— Taki jak Tomek?

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową przecząco.

— Jak James? Znowu zaprzeczyła.

— Będiesz pracować jak oni, pełną parą? Odłożyła grzanekę i mocno przytuliła synka.

Zamknęła oczy, starając się nie rozkleić. Czowała się okropnie. Tak, będzie pracować pełną parą. Cały długi dzień.

Pierwszego dnia Julia stawiała się w biurze złana potem, bo ranek, jak na koniec września przystało, był parny i wilgotny. Kiedy weszła przed dziewiątą do biura — jeszcze zdyszana po wyczerpującym pędzie z pociągu — Jack rozmawiał przez telefon,

ale pomachał do niej i zapraszającym gestem wskazał jedno z krzeseł dla gości.

— Dzięki, Vicky — powiedział do kogoś, najwyraźniej do swojej asystentki. — Wpuść ich.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Julii:

— Zaraz ci wszystko pokażę i wprowadzę cię w sprawę Mary Ford, ale najpierw weźmiemy udział w spotkaniu.

Julia położyła torbę na podłodze.

— Jakim spotkaniu?

— Przyszedł David Cassidy. Wpatrywała się w niego zdumiona.

— David Cassidy? — powtórzyła głośniejszym głosem, niż wypadało, bo była zupełnie zaskoczona: nie dość, że Jack nie dał jej czasu na przygotowanie się do spotkania takiej wagi, to jeszcze w drzwiach miał się pojawić David Cassidy, czyli sam Keith Partridge!

— Co tu robi David Cassidy?

Jack wzruszył ramionami, jakby to rozumiało się samo przez się.

— Pomijając fakt, że jakkolwiek na to spojrzeć, cały czas pojawia się na koncertach, a w ostatnich dziesięciu latach odniósł nawet w Las Vegas kilka sukcesów, David Cassidy pozostaje jednym ze sztandarowych przykładów wyblakłej gwiazdy amerykańskiej popkultury. Co jest do pewnego stopnia nie fair, jeśli się weźmie pod uwagę, że był pierwszą osobistością telewizyjną... pierwszą na globalną skalę, i swego czasu klub jego fanów miał więcej członków niż kluby Elvisa czy Beatlesów — Jack poprawił krawat, podciągnął spodnie. — Ale to było

w 1971. Trzydzieści lat temu. Od tamtej pory w zasadzie się nie pokazywał. I właśnie dlatego on i jego manager Brian Young chcą z nami porozmawiać.

Julia usiłowała zebrać myśli, ale miała pustkę w głowie.

— Ile on ma teraz lat? — tylko tyle potrafiła z siebie wydobyć. — To znaczy... musi być koło pięćdziesiątki?

— Pięćdziesiąt cztery — odparł Jack. Sięgnął po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła i puścił do niej oko, jakby to wszystko, łącznie z nagłym spotkaniem, do którego była zupełnie nieprzygotowana, stanowiło świetną zabawę.

— Nie denerwuj się — powiedział jeszcze tonem zbyt radosnym, by dodawać otuchy — to nie ma nic wspólnego z przesłuchaniem. I tak masz już tę pracę.

Szybkim ruchem sięgnęła do torby po notes i długopis.

Nie trzeba mi przypominać.

Dyskretnie próbowała jeszcze przejrzeć się w jakiejś lśniącej powierzchni i doprowadzić się do porządku. Pracowała tu zaledwie od pięciu minut, i choć pamiętała zapewnienia Patricii, że Jack jest idiotą, wiedziała, że nie aż takim, by zdać się na improwizację. Była pewna, że dobrze się przygotował do spotkania z Davidem Cassidym — poznała to po sposobie, w jaki wkładał marynarkę i z kontrolowaną swobodą zbliżał się do drzwi, po czym mrugnął do niej, podchodząc do mężczyzny, który właśnie pojawił się w progu.

— Witam, panie Davidzie — przywitał go Jack uśmiechem i uściskiem dłoni, po czym wyciągnął dłoń do drugiego mężczyzny. — Dzień dobry.

Gdy Jack prowadził ich do miejsca, w którym stały dwie skórzane sofy i ława, Julia nie odrywała wzroku od Davida Cassidy'ego. Naturalnie, był dużo starszy niż wówczas, gdy grał Keitha Partridge'a w popularnym serialu, ale postarzał się z klasą — jego włosy, już nie bujne i długie jak niegdyś, zaczesane były do tyłu i usztywnione pianką czy żelem; czarny garnitur i biała koszula bez krawata wyglądały gustownie i stosownie do wieku. A nawet do szerokości geograficznej i pory roku. Nie był to Don Johnson, który — gdy Julia była asystentką w Creative Talent — w połowie lutego potrafił przyjść na spotkanie w turkusowym podkoszulku, białym lnianym garniturze i włoskich mokasynach założonych na gołe stopy, tak jak się nosił w okresie największej popularności serialu *Policjanci z Miami*. David Cassidy, nawet jeśli cokolwiek stracił pod względem zawodowym, wciąż wyglądał godnie. I dołki w policzkach. I błysk w oku. Nie mniej zniewalające niż kiedyś.

Julia poczuła, że się rumieni — była pewna, że jej zwykle blada cera przybrała barwę rozpalonej cegły — a w jej myśli wdarty się słowa piosenki Davida Cassidy'ego:

Chyba cię kocham! Czegóż więc się boję?

Daj się ponieść uczuciom!

— Witamy w naszej zacisznej „wnęce” — powiedział Jack, uśmiechając się, gdyż z wyraźną iro-

nią nawiązał do trendu z lat siedemdziesiątych. Skinął ręką w jej stronę, by się przyłączyła.

Co też uczyniła.

Ale nie od razu.

*Co się stało z moją śniadaniówką z Rodziną Partridge 'ów?
Z termosem z Rodziną Partridgeów? Z moim plakatem,
albumami i kasetami? Czy David i Susan Dey całowali się
kiedyś na wizji?*

*Czemu ja nigdy nie wyglądałam tak dobrze w wel-wetowych
biodrówkach jak David?*

— To moja współpracownica, Julia Einstein. David Cassidy uścisnął jej dłoń, a wtedy czas się zatrzymał, ziemia zawirowała... Oto spełniało się jedno z jej młodzieńczych marzeń. Po tylu latach pracy ze sławnymi osobistościami wreszcie zrozumiała, jak to jest być zagorzałą fanką, mdlejącą na widok swego idola.

David Cassidy mnie dotknął.

David Cassidy jest uprzejmy i dobrze wychowany. TV David Cassidy.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Dzień dobry — odpowiedział.

— Julia — dodała, nie wypuszczając jego dłoni.

— Tak, wiem.

— Dziękuję.

— Wiem, że Julia się ze mną zgodzi — wtrącił Jack — kiedy powiem, że oboje bardzo cieszymy się z tego spotkania.

Uśmiechając się i energicznie kiwając głową, spojrzała na Jacka ze złością. Chciałaby, żeby się

zamknął, żeby mogła „przetworzyć” tę chwilę: oto ona, w pierwszym dniu pracy, ściska dłoń Davida Cassidy'ego! Gdyby jego manager nie wyciągnął do niej swojego wielkiego owłosionego łapska, pewnie w ogóle nie uwolniłaby z uścisku dłoni Davida.

— Jestem Brian Young.

Uścisnęła mu dłoń, nie odrywając oczu od Davida.

— Świetnie. A ja... ja...

— Julia Einstein — szepnął David, jakby byli aktorami i właśnie podpowiadał jej kwestię.

Zaśmiała się nerwowo.

— Dziękuję! — znowu chwyciła jego dłoń. — Bardzo dziękuję!

Zbyt zajęta była robieniem z siebie kretynki, by zauważyć, że Jack wywrócił oczami i wskazał im miejsca na sofie.

— No to zaczynajmy — odezwał się takim tonem, jakby nigdy nie miękły mu kolana w obecności dawnych gwiazd, choć Julia była pewna, że zrobił z siebie durnia przy Kathie Lee Gifford albo Justine Bateman. Czy też jakiegokolwiek innej żeńskiej sławie, którą przechowywał w zakurzonych zakamarkach swojej osobistej Ściany Wstydu.

„Zaczynać” w spotkaniach public relations zawsze znaczyło „dostarczyć napoje”, więc Jack, nawet nie pytając, czego chcieliby się napić, podniósł słuchawkę i wezwał Vicky. Zjawiała się niemal natychmiast, niosąc cztery butelki schłodzonej wody na drewnianej tacy, którą położyła przed nimi na stole. Julii wydało się dość dziwne, że bliskość Davida nie wywarła na Vicky żadnego wrażenia, i wte-

dy zdała sobie sprawę, że dziewczyna po prostu jest za młoda, by go w ogóle pamiętać.

Jack rozdał im napoje — po butelce Evian dla Davida i Briana, Pellegrino dla siebie i Poland Springs dla Julii. W innych okolicznościach Julia z pewnością pokusiłaby się o interpretację takiej dystrybucji wody (oczywiście Jackowi, jako najbardziej profesjonalnej osobie w tym gronie, należała się Pellegrino.

Dlaczego jednak dla niej przeznaczył krajową Poland Springs, a nie importowaną Evian? Czyżby dlatego, że robiła słodkie oczy do Davida, czy też po prostu zabrakło im Evian?), teraz jednak nie był właściwy moment na podobne rozważania.

— Jak już wspomniałem, wszyscy jesteście zaszczyceni, że będziemy mieli możliwość pracować z panem, panie Davidzie — powiedział Jack, siadając obok Julii, która zdążyła się już opanować i weszła w rolę odpowiednią do sytuacji. — Nie tylko ja uwielbiałem kiedyś pana i pański program, ale wiem też, że Howard Pam był znajomym pańskiego ojca i pańskim fanem. Zaskoczona, że Jack na samym wstępie wspomniał o ojcu Davida Cassidy'ego — niepewna, czy ktoś taki jak Howard Pam w ogóle istniał — Julia natychmiast skierowała wzrok na drugą sofę, by wy badać reakcję gości. Zagranie Jacka DeMarco było ryzykowne: mógł sobie tym zjednać Davida albo wyjść na zwykłego lizusa. Jack Cassidy już nie żył i oczywiście nie dało się ani udowodnić, ani obalić stwierdzenia, że Howard Pam (o ile istniał) kiedykolwiek go spotkał, a tym bardziej, że był jego fa-

nem, więc Julia wstrzymała oddech, czekając, aż ktoś się odezwie. David Cassidy uśmiechnął się z zażenowaniem. — Dziękuję.

Brian Young, który, pomijając chwilę powitania, do tej pory nie wymówił ani słowa, tylko wpatrywał się w obfity biust Julii w tak lubieżny sposób, że aż sama sprawdziła, czy jej piersi nagle nie zaczęły produkować mleka, postawił jeszcze nie otwartą butelkę wody na stole i poruszył się na sofie, powodując skrzypienie skóry, jakby to była tandetna „poduszka pierdziuszka”.

— Nie wiem, czy jasno się wyraziłem przy naszym pierwszym spotkaniu — powiedział powoli, ostrożnie, w sposób, w jaki wyrażała się większość managerów i agentów dawnych gwiazd — ale David prowadzi wstępne rozmowy również z kilkoma innymi agencjami. — Oczywiście. Udaje trudnego do zdobycia — Jack skinął głową z fałszywą wielkodusznością i przymknął oczy, jakby był przyzwyczajony do takich sytuacji. Julii trudno było stwierdzić, czy już o tym wiedział, czy właśnie się dowiedział i analizował tę informację. Pociągnąwszy łyk Pellegrino z zielonej butelki, rozparł się wygodnie na kanapie, by dać zebrany wyraznie do zrozumienia, że właśnie taki rodzaj rywalizacji sprawia mu satysfakcję, a nawet przyjemność. Brian przywarł plecami do oparcia i rozpostarł ramiona, przekonany, że jak na razie zagrał dobrą kartą, jego tryumf nie trwał jednak długo.

— Jedyne minus takiej strategii — odezwał się Jack — polega na tym, że aby można było zacząć

z klientem współpracę, on sam musi oświadczyć, że naprawdę tego chce. Nie można udawać trudnego do zdobycia, gdy nikt o tę zdobycz nie zabiega.

Zaskoczona i przerażona Julia wpatrywała się w swój notes.

Bez, owijania w bawełnę.

— Wydaje mi się, że Jack chce powiedzieć — wtrąciła z szerokim uśmiechem — iż w naszej branży jest silna konkurencja. A to znaczy, że musimy się wykazać dużą kreatywnością w osiągnięciu celów naszych klientów.

Brian, wyraźnie urażony przedstawionym przez Jacka wizerunkiem jego klienta jako nieudacznika i pośrednio krytyką swoich działań jako agenta, zupełnie straciwszy zainteresowanie biustem Julii, znowu wyprostował się na kanapie.

— Wyjaśnijmy sobie jedno — zwrócił się do Jacka. — David Cassidy był i nadal jest jednym z najlepiej zarabiających, znanych i najbardziej uwielbianych artystów na świecie.

Sprzedano już dwadzieścia pięć milionów jego płyt, w tym cztery z rzędu platynowe. Właśnie w Wielkiej Brytanii ukazał się jego najnowszy album *Touch of Blue*, który zbiera świetne recenzje i bardzo dobrze się sprzedaje.

Jack uśmiechnął się.

Hiperbole i odniesienia do Jerryego Lewisa [bycie sławnym wszędzie, tylko nie tu) = typowe teksty zdesperowanych przebrzmiałych gwiazd.

Pochylił się do przodu i wyszeptał:

— Wiem o sukcesie *Touch of Blue* za granicą. Jeśli się nie mylę, ukazał się tylko tam i do tej pory nie pojawił się w Ameryce.

Chyba że coś przegapiłem w „Billboardzie” — widać było, że Jack odrobił

pracę domową i teraz to wykorzystywał. — Przecież nikt nie wypuszcza albumu za granicą z pominięciem własnego kraju, bo tak mu się podoba. Robi się tak z konieczności, kiedy wytwórnia rezygnuje z możliwości wydania płyty na miejscu.

Brian wiercił się nerwowo na siedzeniu i Julia niemal mu współczuła.

Bardziej jednak współczuła Davidowi Cassi-dy'emu, który musiał się przysłuchiwać, jak Jack i Brian w jego obecności omawiają jego sukcesy i porażki, zupełnie jakby był powietrzem. Mimo że była to standardowa procedura, Julia zawsze męczyła się na takich spotkaniach — gdzie życie potencjalnego klienta rozbierano na cząstki, oddzielając ziarno od plew — to spotkanie uznała jednak za wyjątkowo brutalne. Może dlatego że jeszcze nie przywykła do „stylu” Jacka DeMarco: obrażania, atakowania, zaczepiania i zawstydzania potencjalnych klientów.

Jack popatrzył na Julię, a ona odczytała w tym spojrzeniu — słusznie czy nie — pewność zwycięstwa, przekonanie, że już ma umowę w kieszeni.

Wtedy David i Brian zapragnęli usłyszeć jej opinię, i cała ta pewność prysła. Do Julii dotarło, że Jack ani razu nie zwrócił się do niej o radę, i uświadomiła sobie coś, co powinno być jasne od samego początku:

zaprosił ją na spotkanie nie po to, by zobaczyć, jak ona pozyskuje klienta, ale żeby to ona zobaczyła swojego szefa w akcji. Chciał olśnić ją swoim przygotowaniem, sposobem prowadzenia rozmowy, umiejętnością skupiania uwagi rozmówców. Chciał mieć pewność, że tego dnia przed

pójściem do domu Julia Einstein będzie miała jasność, dla kogo teraz pracuje. *Jack DeMarco, Jack DeBil.*

Nagle zapragnęła pokonać go jego własną bronią, a świadomość tego, że nie ma nic do stracenia (w końcu Jack przed samym spotkaniem zapewniał ją, że już ma tę głupią pracę), dodała jej odwagi.

Wyprostowała się na sofie.

— Zgadzam się z Jackiem w kwestii ogólnych celów, ale wolałabym się raczej skupić na licznych osiągnięciach Davida Cassidy'ego, na podkreśleniu tego, czego dokonał przez lata — zaczęła konkretnie i optymistycznie, tak jak ją uczono. — Ponieważ zawsze był muzykiem, przede wszystkim muzykiem... bo nigdy nie udawał, że jest kimś innym... odbiorcy wiedzą, że niezależnie od tego, jakich doświadczał wzlotów i upadków w ostatnich trzydziestu latach, David Cassidy to zawsze ten sam David Cassidy: autentyczny i naturalny, co jest rzadkością u innych dawnych i obecnych gwiazd.

Odsunęła notes i nerwowym ruchem obciągnęła spódnicę, pragnąc zasłonić jak największą część ud. To jednak nic nie dawało i Julia chwilę wpatrywała się z przerażeniem w niesamowite rozmiary swoich kolan.

— Głównym kierunkiem mojej strategii byłoby znalezienie jakiejś organizacji charytatywnej czy non-profit, z którą David już jest związany albo chciałby się związać, i zaproponowanie jej jego usług jako rzecznika prasowego. Wszystkie znane osobistości potrzebują celu, sprawy, idei, od której

można zacząć. To zwiększa ich możliwości interakcji z publicznością i nadaje im bardziej ludzki wymiar. David i Brian wymienili między sobą spojrzenia, a Jack niecierpliwie się poruszył.

— Tak jak nazwisko Paula Newmana jest kojarzone z finansowaniem szczytnych celów przez sferę biznesu — ciągnęła Julia — tak jak Elizabeth Taylor kojarzy się z badaniami nad AIDS, a Jerry Lewis zawsze będzie utożsamiany z dystrofią mięśni, tak David mógłby znaleźć jakąś ważną, szczytną ideę, której dałby swoją twarz. Wykorzystanie sławy do rzeczy chwalebnych i raczej do pełnienia misji niż do reklamowania batonów i napojów gazowanych może sprawić, że jego ponowne pojawienie się w życiu publicznym po tylu latach zostanie odebrane pozytywnie. Wszystkie następne przedsięwzięcia, mające na celu odnalezienie własnego miejsca na rynku rozrywki, będą miały większe szanse na powodzenie, bo opinia publiczna będzie już przychylnie nastawiona.

Czy to treść jej wypowiedzi, czy też sam fakt, że słowa te wyszły z ust jej, a nie Jacka, i w związku z tym nie były obraźliwe ani napastliwe — coś sprawiło, że David i Brian natychmiast włączyli się do rozmowy. David wspomniał o organizacji charytatywnej założonej przez jego żonę, a Brian proponował nawiązanie stosunków ze znajomymi dyrektorami dwóch różnych organizacji: jednej zajmującej się dysleksją, drugiej — zespołem nadpobudliwości psychoruchowej. A może autyzmem. Nie mógł sobie przypomnieć.

— Ale w końcu, czy to ma znaczenie? — dodał niemal żartobliwie.

Kiedy już mieli przejść do gabinetu Julii, żeby dokładniej omówić pewne kwestie — *do gabinetu, którego jeszcze nie widziała i nie była pewna, czy taki w ogóle istnieje* — włączył się Jack. Straciwszy zainteresowanie pozyskaniem Davida Cassidy'ego jako klienta, gdyż stało się jasne, że obaj mężczyźni bardziej cenią Julię niż jego, Jack wstał, podszedł do drzwi, wysunął głowę i zapytał Vicky, czy ma dla niego jakieś wiadomości. Wrócił z niczym i wyciągnął rękę.

— Panowie — powiedział, ściskając im dłonie i dając jasno do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca — dziękuję za przybycie. Do zobaczenia.

Nie odprowadził ich do windy ani nie poprosił o to Vicky, tylko podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer. Julia podejrzewała, że dzwoni na informację, pogodynkę lub do siebie do domu — żeby wyjść z tego z twarzą. Odprowadziła ich więc sama. Przy pożegnaniu Brian ucałował ją w oba policzki (w pseudoeuropejski sposób), a David Cassidy ujął jej rękę w obie dłonie, tak że omal nie zemdlą z wrażenia.

Gdy wróciła do gabinetu Jacka, ten podniósł wzrok znad biurka i uśmiechnął się.

— Powinniście pójść do hotelu.

— Słucham?

— Gdybym wiedział, że tak szalejesz za Keithem Partridge'em, umożliwiłbym wam spotkanie tylko we dwoje.

— Nie szaleję za nim.

— Ależ tak.

— No nie! — wzniosła oczy do góry i zapięła sweter.

— Byłam w lekkim szoku. To jest... byłam kompletnie nieprzygotowana...

— Tak wygląda życie na pełnych obrotach — podsumował i bez odrobiny krytycyzmu rozejrzał się po swoim okropnym gabinecie. — No, ale teraz, gdy już mamy to za sobą, oprowadzę cię — wyszedł zza biurka i schylił się po torbę, którą Julia zostawiła na podłodze. — Nie zapomnij torby... i notesu — obrócił się powoli, wziął bloczek ze swojego biurka, gdzie Julia na pewno go nie zostawiła, i podał jej. Julia chwyciła notes i szybko wsunęła do torby.

— Najpierw pokażę ci twój gabinet.

Popatrzyła na niego niepewnie, usiłując wybadać, czy przeglądał jej notatki, w czasie gdy ona odprowadzała gości do windy. Potem ruszyła za nim.

— Aha, Julio. Gdybyś później miała jakieś pytania, po prostu dzwoń na mój wewnętrzny.

— A gdybyś dzwoniła, proś Jacka DeBila — dorzucił.

— Wtedy będę od razu wiedział, że to ty.

Staneła za nim jak wryta i przymknęła oczy.

7.

Nieco później, po najprostszych wyjaśnieniach („twój gabinet”) i prezentacjach („Jonathan Leibo-witz Buchman, twój asystent”), Jack ponownie wezwał ją do siebie.

— Mary Ford — podniósł się, by obejść biurko dookoła. Ręce trzymał w kieszeniach spodni. Miał na sobie tani garnitur w drobną kratkę i mokasyny. Julia pomyślała, że wiele by zyskał, gdyby się lepiej ubierał. Wyrzucał z siebie słowa, jakby strzelał z karabinu — tak jak to zapamiętała z rozmowy kwalifikacyjnej sprzed tygodnia — jak gdyby wszystko, co mówił, było tak ważne, że wymagało natychmiastowego zanotowania. Czym prędzej zdjęła więc skuwkę z długopisu.

— Z domu: Marlenę Fliegel — kontynuował. *Strzał.*

— Powód sławy: była gwiazda ekranu. Filmy: *Cały czas i Cena miłości.*

Strzał.

— I teatru: *Zabawa na całego, Kto się boi Virginii Woolf?* i nawet kilka ról szekspirowskich: *Makbet, Kupiec wenecki.*

Strzał.

— Sytuacja obecna: dawna gwiazda Hollywood zdecydowana na comeback.

Jack spojrział na nią sponad szkieł okularów, by się upewnić, że wszystko zrozumiała, i na wszelki wypadek jeszcze dodał:

— Stąd nazwa produktu Legenda, jak i fakt, że korzysta z naszych usług.

Julia skinęła głową i z furją zanotowała. *Ba!*

— Szczegóły: Dożywotnie mieszkanie w apartamentowcu Ansonia na Upper West Side. Często pojawia się nieproszona w Hollywood, Miami, Paryżu, Cannes, Mediolanie — odwrócił się i ruszył w stronę biurka. — Dane osobowe: Mieszka sama. Nie ma męża. Nie ma partnera. Nie ma partnerki. Nie ma psa. Nie ma kota, chomika ani szczura. Żadnego towarzystwa. Ma tylko asystentkę. Ale każda kolejna szybko rezygnuje. — Zerknął do elektronicznego notatnika, chyba żeby znaleźć wpis dotyczący Mary Ford i nazwisko jej ostatniej asystentki, ale niemal natychmiast zmienił zdanie. — Zresztą, zanim zaczniesz nad tym pracować... może jutro... pewnie i tak będzie to ktoś nowy, więc na razie sobie odpuśćmy.

Asystentki: nienawidzą jej.

— Dwukrotnie wychodziła za mąż i dwukrotnie się rozwiodła. Za pierwszym razem za byłego szefa studia, alkoholika i kobieciarza Marvina Greena: 1943-1957. Potem za byłego szefa studia, alkoholika i kobieciarza J.B. Hellera: 1960-1967. Oba rozstania w złym stylu, z dużym oddźwiękiem w prasie — popatrzył w stronę wysokich białych szaf biurowych w korytarzu, przed drzwiami jego gabinetu. — Wycinki są w aktach.

Byli mężowie: nienawidzą jej.

— Dwoje dzieci, po jednym z każdego małżeństwa. Lindsay Green i Bruce Heller. Lindsay Green,

aktorka łamane przez pisarka łamane przez działaczka bez idei, mieszka w Los Angeles. Bruce Heller, lekarz, mieszka w Nowym Jorku. Żadne z nią nie rozmawia. Ale on przynajmniej nie sprawia kłopotów. Córka ciągle wpada w tarapaty, chcąc zwrócić na siebie uwagę, jak Patti Davis w młodości.

Dzieci: nienawidzą jej.

Julia podniosła wzrok.

— To smutne.

— Co jest smutne? — Jack wzruszył ramionami. Spojrzała wymownie, bo odpowiedź wydawała się oczywista.

— Że jest sama i dzieci jej nienawidzą? — pokiwał głową Jack.

— Żałujesz jej tylko dlatego, że jeszcze jej nie poznałaś. Nie współczuj Mary Ford. To zdesperowana klientka, która płaci za prawo wysysania z nas krwi. Powinnaś to wiedzieć.

Oczywiście, już to wiedziała. Opuściła wzrok i właśnie chciała coś zanotować, gdy Jack przerwał jej sarkastycznym tonem:

— Tylko tego nie zapisuj — westchnął głośno i usiadł za biurkiem, bardziej podenerwowany niż przedtem. — Tego mi jeszcze trzeba, żeby któryś z tych cholernych notesów wpadł komuś w ręce i wszystko, co Jack DeBil kiedykolwiek powiedział, a nie nadaje się do publikacji, pojawiło się w kolorowych magazynach.

Poczuła, że jej twarz oblewa rumieniec i coś ściska ją w gardle. Wiedziała, że powinna albo go przeprosić, albo powiedzieć mu wprost, gdzie może sobie wsadzić tę głupią posadę, ale coś — myśl o hi-

potece? o ratach za samochód? o najbliższej opłacie za przedszkole Scooba? — powstrzymało ją.

— Pozytywne cechy charakteru... — ciągnął bez cienia zażenowania. Wykonał pół obrotu krzesłem i przesunął dłonią po lewym policzku, jakby chciał wyczuć, czy powinien się ogolić (*powinien*). — Żadnych. Słynni przyjaciele chętni wyrzucić jej zawodową przysługę przed, w trakcie i po promocji Legendy: żadnych. Hobby: żadnych. — Przerwał i uśmiechnął się porozumiewawczo. — Chyba że za hobby uznamy znęcanie się nade mną. Wtedy powiedziałbym, że jest fanatyczną fanatyczką — znowu uśmiechnął się znacząco, wyraźnie pod wrażeniem własnej inteligencji. — Redundancja zamierzona.

Julia nawet nie mrugnęła.

— Historia klientki: Mary Ford przyszła do nas dwa lata temu — ciągnął Jack. — W tym okresie podkładała głos w reklamach żarcia dla kotów, ciasteczek, samochodów i chciała zerwać z tym mało chwalebny wizerunkiem, wykorzystując inną linię produktów: do makijażu albo do pielęgnacji skóry, jak Victoria Principal czy Tova Borgnine. Boże broń! — otrząsnął się z udawanym obrzydzeniem. — Chroń nas, Boże, przed dawnymi sławami, które chcą same kierować strategią swojego powrotu. Julia czuła, że w tym momencie Jack spodziewał się, a właściwie nie mógł się doczekać reakcji z jej strony, ale ona, nadal zirytowana jego wcześniejszą protekcyjnością i niecierpliwością, nie dała mu powodu do satysfakcji: ani uśmiechu, ani skinienia głową, ani przewrócenia oczami.

— Gdy się nie udało, zaproponowała linię produktów typu

dieta-ćwiczenia-ubrania-wszystko-z--wyjątkiem-kuchni, mniej więcej jak Suzanne Somers. Ale ja miałem co do niej ambitniejsze plany

— uniósł podbródek i dumnie wyprostował szyję, jakby szczerze zależało mu na losie Mary Ford, a nie tylko na tym, żeby dzięki niej zająć jak najwyżej.

— Moja koncepcja comebacku nie ma nic wspólnego z przerabianiem upadłej gwiazdy na kolejną królową reklam. Nie interesują mnie transformacje typu: z marnego na gorsze. Wstał, obszedł biurko i oparł się o jego krawędź bezpośrednio przed Julią. Ręce znowu trzymał w kieszeniach spodni.

— W końcu, po wielu zaciętych sporach i długich dyskusjach, udało mi się przekonać Mary Ford do pójścia w innym kierunku.

Julia podniosła wzrok, a wtedy on pochylił się i wyszeptał jej wprost do ucha:

— Zapasy nago w błocie.

Wbrew samej sobie i choć Jack na to nie zasługiwał, parsknęła śmiechem. Na chwilę.

Zaskoczona jego nagłą bliskością — miał niewiarygodnie niebieskie oczy i pachniał przyjemniej, niż się spodziewała, co znaczyło, że przynajmniej jego woda kolońska była droższa niż garnitury — i zaniepokojona, że mógłby odczytać to, co o nim napisała kilka minut wcześniej, odsunęła się z krzesłem i obróciła kartkę w notesie.

— Oczywiście, z tymi zapasami to żart — powiedział, a zmiana w jego głosie sygnalizowała, że

zaraz wróci do poprzedniego pompatycznego tonu. — Moja wizja opierała się i nadal się opiera na wykorzystaniu zapachu. Czegoś klasycznego, eleganckiego, ponadczasowego. Jak White Diamonds Elizabeth Taylor... To była jedna z najbardziej udanych akcji promocyjnych w historii handlu detalicznego. Kiedy wreszcie Mary przystała na tę koncepcję, nasz zespół zaczął planować kampanię: kto wyprodukuje zapach, za ile, jaka będzie grupa docelowa, jaki sprzedawca oraz do czego mają się odwoływać opakowanie i reklamy.

Znowu przeszedł na drugą stronę biurka i usiadł. Teraz Julii wydało się, że wreszcie wyjął ręce z kieszeni.

— No i dochodzimy do punktu, w którym znajdujemy się dzisiaj — powiedział. — Na kilka tygodni przed wprowadzeniem Legendy na rynek. Sporo już za nami, ale jeszcze sporo mamy do zrobienia.

Julia, z rękami założonymi na piersiach, kiwała głową. Jeśli wyłączyć jego żart o zapasach w błocie, nudził ją ten wykład, zwłaszcza od chwili gdy przestała robić notatki. Powędrowała myślami do Leo: Co też o tej porze robi w przedszkolu? Bawi się pociągami? ciężarówkami? swoim „pikusiem”? Myślała też o tym, co sama by robiła, będąc w domu

— szycowałyby się do wyjścia po niego, doprowadzała dom do porządku, prała, a może zastanawiała się, kiedy i czy w ogóle Peter znajdzie pracę i co będzie, jeśli tak się nie stanie. Może jednak spędzanie czasu poza domem nie jest aż takim nieszczęściem.

Gdy Jack zdjął okulary i uśmiechnął się do niej z zażenowaniem, myślami była daleko.

— Julio.

— Tak?

— Przepraszam, że zachowywałem się jak dupek. *Zwłaszcza że to twój pierwszy dzień pracy.*

— Dziękuję — odparła Julia.

Chwilę się zawahał, zanim ponownie włożył okulary.

— Czasem stres odbija się na moim zachowaniu.

— Czasem odbija się też na moim — przyznała.

— Cieszę się, że rozumiesz. — Uśmiechnął się nieco zbyt szeroko. — Moja żona... no... ona jakoś nie może tego zrozumieć. Julia nie wierzyła własnym uszom! Już pierwszego dnia słyszy teksty typu „żona-mnie-nie-ro-zumie"! Zrobiła więc to, co zawsze, gdy „nieszczęśliwy" facet narzekał przy niej na żonę: okazała zainteresowanie.

— Czy ona pracuje?

— Tak. Jest dyrektorem do spraw marketingu w klinice piękności.

— Ważne stanowisko — powiedziała Julia z podziwem.

— No tak, zdaje się, że dla kogoś, kto cały dzień podejmuje decyzje w tak ważnych kwestiach jak kremy nawilżające dla kobiet — mówił Jack z goryczą, która szybko przybrała formę smutku — nasza praca... to całe przywracanie popularności... wygląda na zupełnie bez znaczenia.

Po lunchu z Jackiem w jego ulubionej restauracji „Anthony's” — jednym z nieco staromodnych lokali, z olbrzymimi oprawionymi w skórę kartami dań, w których koktajl z krewetek, zupa z homara, ostrygi i sałatka waldorfska wymienione są po lewej, a kotlety wieprzowe, kotlety jagnięce i befszyk tatarski po prawej — Julia wróciła do gabinetu. Kiedy usiadła za biurkiem, zdała sobie sprawę, że tego popołudnia ma przed sobą jeszcze wiele smętnych godzin.

Dawniej dni pracy zawsze wydawały się za krótkie, zawsze brakowało jej czasu na zrobienie wszystkiego, co powinna. Teraz miała zupełnie odwrotne wrażenie: zbyt wiele godzin trzeba wypełnić bezsensownymi czynnościami, które tylko odbierają jej cenny czas kradziony Scooby'emu Doo.

Przesunęła swoje krzesło bliżej okna i w końcu mogła spędzić chwilę sama przy biurku. Postawiła trzy oprawione w ramki zdjęcia Leo obok telefonu. Potem szybko ściągnęła z Internetu zdjęcie, które wysłała sobie poprzedniego dnia, i ustawiła je jako tapetę w komputerze. Wtedy do gabinetu wszedł Jack.

Objuczony był aktami dotyczącymi Legendy. Kładł je na biurko, teczka po teczce, ostentacyjnie zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność za ich zawartość.

Fotosy z sesji zdjęciowej z ubiegłego miesiąca („Mary Ford w czekoladowym futrze z bobra wypożyczonym ze sklepu Bergdorf Goodman, które ukradła ze studia fotograficznego i odmawia
ZWRO-

tu, pomimo regularnych upomnień z działu prawnego tegoż sklepu").

Różne projekty opakowania Legendy („Kształt buteleczki ma kluczowe znaczenie: wysoką i cienką — motyw falliczny — klienci obu płci wybierają dwa razy częściej niż niską i szeroką — motyw waginy”).

Projekty ogłoszeń w prasie codziennej i kolorowej („«Każda kobieta ma własną Legendę» i «Każda kobieta to żywa Legenda* — oba slogany forsowała Mary Ford i żaden mi się nie podoba”).

Wykaz sklepów, które nie będą sprzedawać tych perfum („Luksusowa czwórka: Bergdorf, Neimańs, Barney's i Saks”), tych, które będą („Niewybredny środek: Bloomingdale's, Nordstrom, Macy's, Hechts, Filenes, Foley's, Bullocks, Lord & Taylor”), oraz tych, które są w pogotowiu („Zdesperowane masy: J.C. Penny, Sears, Target, Kmart, Wal-Mart”).

Na zakończenie podał jej jeszcze listę spraw do załatwienia w ostatnich decydujących tygodniach: skontaktować się z pismami o krajowym zasięgu, których okres realizacji zamówień jest dość długi, wysłać ogłoszenia i artykuły do lokalnych gazet, spotkać się z przedstawicielami działu marketingu i sprzedaży z Heaven Scent, by uzgodnić szczegóły kampanii reklamowej, strategii handlowej i umowy o wyłączności sprzedaży, potwierdzić szczegółowy program wystąpień w mediach, wizyt w sklepach i wyjazdów promocyjnych.

Wreszcie usiadł na jednym z dwóch składanych plastikowych krzeseł dla gości i rozejrzał się po jeszcze nie urządzonej gabinecie.

Pociągnął nosem, poprawił okulary.

— No i?

— No i co?

— No i co o tym myślisz?

— O tych aktach?

— O tej pracy — powiedział, kładąc nogi na jej biurku.

Przekonana, że istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź — kłamstwo, zawsze kłamstwo — udzieliła jej, nawet nie próbując udawać szczerości. Minęło prawie siedem godzin, odkąd wyszła z domu, i już zaczynała boleśnie odczuwać rozłąkę z Leo. Tęskniła za nim bardziej, niż przypuszczała, a myśl o siedzeniu za tym biurkiem dzień po dniu, godzina po godzinie, tydzień po tygodniu i miesiąc po miesiącu, aż — i do tego właśnie najtrudniej było jej się przyznać, a nawet o tym myśleć — aż Peter znajdzie pracę i ona będzie mogła to rzucić i wrócić do domu, była nie do zniesienia. Nie chciała jednak dać Jackowi DeMarco powodu do satysfakcji z przyglądania się jej przemianie w płaczliwego kociaka już pierwszego dnia pracy.

— Podoba mi się — odparła na tyle stanowczo, że omal przekonała samą siebie.

— Naprawdę? — pociągnął nosem i podparł kark dłońmi. — A co ci się w tym podoba?

— No... — zaczęła, próbując opanować sarkazm podsycany zmęczeniem — ...jak na razie tylko załadowałam zszywacz, włączyłam komputer i zjadłam sałatkę. Pewnie jutro jednoznacznie stwierdzę, że nienawidzę tej pracy.

Uśmiechnął się lekko. Julia pomyślała, że on chyba lubi, gdy jest wobec niego złośliwa. *Mężczyźni.*

— Aha, tak przy okazji — dorzucił Jack. — Dzwonił Brian Young. David zdecydował się na PMK. Ale Brian twierdził, że decyzja była trudna. Obu im bardzo się spodobałaś.

A ty ich odstraszyłeś.

Jack uśmiechnął się i przechylił głowę, jakby chciał się jej dokładniej przyjrzeć.

— O co chodzi? — Poruszyła się nerwowo na krześle. Znała to spojrzenie. Zanim wyszła za męża, rodzice zawsze patrzyli na nią w taki sposób: jakby miała ptaka na głowie, jakby się zastanawiali, skąd się wzięła i co z niej wyrośnie.

— Skoro mamy tak blisko z sobą pracować, to... żeby uniknąć niedomówień... chyba powinienem ci powiedzieć, że właśnie się rozwodzę.

Odwróciła wzrok w stronę ściany.

— Przykro mi.

Pokiwał głową, a po chwili znowu spojrzął na nią tak, jakby widział ptaka na jej głowie.

— No, proszę — powiedział. — Pytaj.

— O co? — Nagle zauważyła, że w którymś momencie tego dnia zaczesał włosy z czoła do tyłu, zupełnie jak David Cassidy.

— Zapytaj, dlaczego się rozwodzimy.

— Chyba żartujesz! — Julia wpatrywała się w niego zdumiona.

— Nie, nie żartuję.

— Nie mam zamiaru o to pytać.

— Czemu? Wszyscy zawsze chcą wiedzieć, dlaczego ludzie się rozchodzą: czyja to wina, co się stało. Skoro mamy ze sobą pracować, chyba powinniśmy sobie wszystko wyjaśnić. Nie chcę, żebyś snuła domysły.

— Słuchaj, Jack — zaczęła Julia, prostując się na krześle i sięgając po torbę, co miało być sygnałem, że nie chce kontynuować tej rozmowy.

Jak na pierwszy dzień, miała już dość wrażeń (zasadzka z Davidem Cassidym, długie sprawozdanie z osiągnięć w kwestii powrotu Mary Ford i obdarowanie jej dokumentacją sprawy, lunch w podrzędnej knajpie) i wydawało się jej, że więcej nie zniesie. A już na pewno nie miała ochoty na analizowanie małżeńskich problemów Jacka. — Naprawdę mi przykro, że twoje małżeństwo się rozpadło. Ale mam teraz inne sprawy na głowie i nie interesuje mnie, co wydarzyło się między tobą a twoją żoną i dlaczego.

— Wkrótce była żoną — poprawił ją Jack.

— Wkrótce była żoną — powtórzyła.

— Gadanie. Umierasz z ciekawości, kto kogo rzucił, kto kogo zawiódł. — Wydał wargi. — To normalne.

Ludzie chcą, żeby wszelkie zło miało przyczyny.

Dlatego tak poruszające są przypadkowe akty przemocy: brak wyraźnego związku przyczynowo-skutkowego, brak możliwości jakiegokolwiek prewencji.

Julia wpatrywała się w niego zdumiona.

— Tak samo w naszej pracy. Za każdym razem, gdy próbujemy przywrócić blask jakiejś wyblakłej gwiazdki, pierwszą rzeczą, o jaką pytają po dru-

giej stronie telefonu, jest: dlaczego. Przede wszystkim, dlaczego jej się nie udało? Dlaczego ta osoba zasługuje na odwrócenie kolei losu? Dlaczego ta próba powrotu miałyby być inna od poprzednich? — Oparł się wygodniej, zebrał myśli. — To znaczy... sam chciałem ci zadać pytanie — zaczął skubać paznokiec kciuka lewej dłoni — które na pewno wszyscy ci zadają.

— Mianowicie?

— Czemu musiałaś wrócić do pracy? Albo dlaczego zrobiłaś to tak późno? Mimowolnie otworzyła usta.

— Trudno odpowiedzieć, prawda? — Opuścił nogi na podłogę. — Każde z tych pytań sugeruje twoją porażkę, bo sprowadzają się do kwestii: jesteś złą matką czy leniem? To stawia cię w kłopotliwej sytuacji, jakbyś była winna pytającemu wyjaśnienie. A przecież wcale tak nie jest. Ludzie nie powinni tłumaczyć się ze swoich porażek.

Zanim Julia zdążyła zareagować na to ostatnie stwierdzenie, nim w ogóle miała okazję przedstawić własny punkt widzenia i podkreślić, że do niedawna odnosiła same sukcesy, a obecną sytuację stara się postrzegać nie jako zdecydowaną porażkę, ale „chwilową komplikację”, Jack wstał. Podeszedł do okna, popatrzył na Julię i zaraz potem na własne odbicie w szybie. — I dlatego w pracy ze mną obowiązuje jedna zasada: Nigdy nie przeproszać za niepowodzenia. Porażki są nieuniknione. Każdy wydawca czasopisma, producent czy agent telewizyjny, który tego nie rozumie, nie zasługuje na nasze zainteresowa-

nie. Nie mówię już o samym kliencie — odchodząc od okna, zastukał kostkami dłoni trzykrotnie w blat biurka.

Julia podniosła na niego wzrok, a ponieważ wreszcie postanowiła zapytać o jego rozwód, przewróciła oczami.

— No więc, czyja to była wina? Zatrzymał się i odwrócił.

— Moja, oczywiście — odparł z przesadnym grymasem, tonem pełnym fałszywej dumy. — To ja schrzaniłem sprawę.

Oboje pokiwali głowami w milczeniu, a on przed wyjściem ponownie zastukał kostkami dłoni w biurko.

— Góry i doliny, złotko — rzucił jeszcze, parodiując hollywoodzkiego gwiazdora — góry i doliny. W końcu do tego sprowadza się życie. Do pieprzonej geografii.

8.

Było już dobrze po osiemnastej, gdy Julia wreszcie wyszła z biura. Winda wlokła się na dół i Julia niemal biegiem dotarła do dworca Grand Central, ale pociąg do Larchmont o 18.20 już odjechał. Musiała więc czekać na następny, który odjeżdżał o 18.43.

W drodze na dworzec — duża czarna torba na ramieniu, wyładowana papierami dotyczącymi Mary Ford, ciążyła jej niemiłosiernie, a stopy bolały od butów, których od lat nie nosiła — w biegu wybrała numer do Petera, bo umierała z ciekawości, co robił ze Scoobym cały dzień. Peter odebrał telefon niemal szeptem, z czego Julia wywnioskowała, że Leo już śpi. — Właśnie zaniósłem go na górę. Chciał na ciebie czekać, ale po zabawie z Batmanem był tak zmęczony, że po kolacji dosłownie padł.

Podróż pociągiem trwała zaledwie trzydzieści dwie minuty, ale teraz, gdy Julia już wiedziała, że spotkanie z synem — na co czekała cały dzień — nie nastąpi, przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Patrzyła na przesuwający się za oknem wieczorny krajobraz

Górnego Manhattanu i Bronksu

1 czuła łzy pod powiekami. Zamknęła oczy. Im bliżej była domu, tym bardziej nurtowało ją pytanie, co powiedzieć Peterowi o swoim pierwszym dniu — jak mu to przedstawić, żeby uwierzył, że powrót do pracy sprawił jej przyjemność?

Wiedziała, że pierwszą rzeczą, o jaką ją zapyta, będzie jej gabinet — jak wygląda (przytłaczająco wąski, intensywnie oświetlony), jak jest urządzony (brzydkie metalowe biurko z blatem w okleinie imitującej orzech, tania podłogowa lampa halogenowa z czarnym abażurem, jedno białe krzesło konferencyjne z miękkim siedziskiem przeznaczone dla gości), jak jest położony względem gabinetu Jacka (dalej w głębi korytarza) i jaki panuje tam ruch (w ogóle nie było ruchu). Uznała, że najlepiej byłoby po prostu zabrać do pracy aparat cyfrowy i zrobić kilka zdjęć, ale skoro nie pomyślała o tym wcześniej, teraz, gdy pociąg pokonywał kolejne odcinki trasy, w myślach dodawała kolejne punkty do listy spraw, o których powinna opowiedzieć Peterowi. Jaki to beznadziejny budynek, jakie ma stare, skrzypiące windy, którymi aż strach jechać, jakie, ogólnie rzecz biorąc, ponure biura ma Howard Pam Public Relations, nieciekawe, pozbawiony stylu hol (biurko z płyty paździerzowej udającej żółtawe drewno tekowe, przykurzona sztuczna palma w doniczce, cztery nowoczesne duńskie fotele z poduszkami, stojak na gazety wypchany starymi numerami „Time'a”, „Newsweeka”, „US Weekly” i nie wiedzieć czemu „Highlights”). I jej własny gabinet: o połowę mniejszy od dawnego gabinetu w CTM, a nie dość że mały, to jeszcze praktycznie bez widoku: żeby zobaczyć ponury szyb wentylacyjny i ciemną uliczkę za małym okienkiem, trzeba się wcisnąć między biurko a ścianę i zapuścić żurawia za metalową szafę biurową z czterema szufladami.

Tym jednak, co najbardziej Julię przygnębiło i co według niej odróżniało dobre miejsce pracy od marnego, był magazyn z materiałami biurowymi. Kazała się tam zaprowadzić zaraz po powrocie z lunchu. Zamiast do magazynu, czy przynajmniej szafy albo jakiegoś segmentu złożonego z różnych szuflad i szufladek, jej nowy asystent Jonathan Lei-bowitz Buchman zaprowadził ją do prowizorycznej kuchni. Tam obok ekspresu do kawy, przy samym zlewie, była szuflada. Jonathan ją otworzył.

Julia wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

— Co to? — wyjąkała.

— Szuflada materiałów biurowych.

— Szuflada materiałów biurowych? Skinął głową.

Roześmiała się.

— A cóż to za rodzaj szuflady?

Nie odpowiedział. Nie potrafił odpowiedzieć, bo poza Howard Pam Public Relations — no i może jeszcze kuchnią Julii — nic takiego nie istniało. Gdyby nie olbrzymi wybór materiałów biurowych, które ledwo mieściły się w magazynie wielkości pokoju w CTM, gdyby nie pudła pełne długopisów (kulkowych, tradycyjnych, żelowych), bloczków, notesów, karteczek samoprzylepnych, kartotek z zawieszanymi teczkami we wszystkich możliwych kolorach (jednokolorowe, wielobarwne, pastelowe, neonowe, fluorescencyjne) i gdyby nie wszystko, co kiedykolwiek mogło być przydatne w pracy biurowej (stojaki na długopisy, pojemniki na kartki samo-przylepne, lampy, krzesła itp.), do czego była przy-

zwyczajona w poprzedniej pracy, pewnie w ogóle nie zadałaby tego pytania.

Tylko na tyle mogła liczyć w tej przegranej firmie, w której lądują przegrani agenci przebrzmiałych sław! Zajrzała do niemal pustej szuflady. Zobaczyła zakurzone, do połowy opróżnione pudełko niebieskich długopisów Bic, które, jak się jej zdawało, przestano już produkować, opakowanie różowych samoprzylepnych karteczek na notatki i koło setki pudełeczek z małymi spinaczami do papieru. Zabrała tyle, ile tylko mogła unieść, i wróciła z Jonathanem do swojego gabinetu.

Jack niewiele mówił jej o Jonathanie, tylko tyle, że pracował z nimi ponad rok. Patrząc na jego niedbałe ruchy i nierówno obcięte włosy, wskazujące, że sam był swoim fryzjerem, Julia zaczęła mieć wątpliwości, czy jest on dostatecznie zahartowany i doświadczony, by poradzić sobie z czekającym ich zadaniem: trasą promocyjną Legendy. — No więc, Jonathanie, często miałeś do czynienia z Mary Ford? — spytała łagodnie. Julia zawsze popełniała ten sam błąd: zbyt spo-ufalała się ze swoimi asystentami, traktowała ich jak przyjaciół i była dla nich bardziej starszą siostrą niż szefem. Tym razem znowu się na to zanosiło. Nie mogła nic na to poradzić: Jonathan był taki młody, szczery i naiwny, tak niewinnie i bezpretensjonalnie wyglądał w luźnych spodniach khaki, czystym, choć wypłowiałym i nieco zdeformowanym podkoszulku z Johnem Lennonem i z wielobarwnymi koralikami na szyi. Dzięki temu bardzo różnił się od wszystkich utytułowanych absolwen-

tów Yale, nadnaturalnie ulizanych, bystrych, ubranych jak spod igły stażystów i asystentów, do których przywykła podczas pracy w CTM.

— Tak, w zasadzie tak. Oczywiście nie bezpośrednio dzięki Bogu, ale jako asystent twoich poprzedniczek. Julia poruszyła się na tanim krześle obrotowym bez podłokietników. Pierwszy raz zdarzyło się jej usłyszeć asystenta, który nie podkreśla własnego znaczenia!

— Osoba, która pracowała tu przed tobą, zrezygnowała, bo dłużej nie mogła tego wytrzymać. Mary Ford prawie wpakowała ją do domu wariatów.

Nieprzygotowana na taką szczerłość, Julia wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Do domu wariatów?!

— Naprawdę — potwierdził Jonathan, kiwając głową tak energicznie, jakby on również omal nie trafił na oddział psychiatryczny. — Nieładnie to wyglądało.

— Co to znaczy „nieładnie”?

— Ja bym to określił „znęcaniem się”.

— Rozumiem — Julia przestała się śmiać.

— Tak samo było z osobą, która pracowała tu jeszcze wcześniej — dodał, już nieco bardziej rozluźniony, a jego oczy zdawały się mówić: „Dasz wiarę?”. — Mary Ford ją też wykończyła.

— Rozumiem — powtórzyła Julia. Zagryzła wargi i zastanawiała się, o co teraz pytać, a co pominąć. Miała ochotę zaniechać tego dochodzenia, bo już i tak wiedziała za dużo. Czy naprawdę mu-

siała dowiedzieć się tego wszystkiego pierwszego dnia? Postanowiła jednak wyczerpać temat.

— No a Jack — zaczęła powoli, poruszając się na krześle — czy on też miał z Mary takie doświadczenia?

Jonathan potrząsnął głową.

— Nie, nie. Właściwie to jego przejścia z Mary były jeszcze gorsze. O ile tortury można stopniować. A tego nie jestem pewien. Sporo czytałem na ten temat, odkąd tu pracuję... na przykład o amerykańskich więźniach w Wietnamie. Nie chcę, oczywiście, porównywać jeńców wojennych z ludźmi, którzy wykonują nieprzyjemne zadania, bo to nie bardzo się godzi... ale ogólnie rzecz biorąc, po przekroczeniu pewnej granicy wytrzymałości fizycznej i psychicznej, nie jestem pewien, czy można wyznaczyć granice między różnymi poziomami bólu, cierpienia. Tortura to tortura. Stwierdzenie, że kogoś „trochę torturowano” brzmi tak samo absurdalnie jak to, że ktoś jest „trochę w ciąży”.

Przeprowadzona przez Jonathana analiza sytuacji oraz jego filozoficzne podejście do sprawy nie tylko jej zaimponowały, ale też wydały się bardzo użyteczne. Julia wyprostowała się na krześle, położyła dłonie przed sobą na biurku i starała się sprawiać wrażenie niewzruszonej. Czuła jednak coraz większe podenerwowanie, mimo że cechował ją wyjątkowo wysoki poziom tolerancji na ten szczególny rodzaj tortur, zadawanych przez ludzi podobnych do Mary Ford. Przecież wytrzymała trzynaście lat w CTM, nie bez powodu zyskując przydomek „zaklinaczki sław”.

— Na początku myślałem, że Mary Ford nienawidzi kobiet — ciągnął Jonathan. — Naśmiewała się z ich ubrań, mówiła, że kobiety są nie dość zorganizowane, dość mądre, inteligentne, żeby pracować z gwiazdą jej kalibru. Ale ilekroć ma do czynienia z Jackiem, zaczyna się prawdziwa jatka. Jakby poniżanie go zaspokajało jej nienasycone pierwotne instynkty, sprawiało dziką przyjemność. Myślę, że ona bardziej nienawidzi mężczyzn.

Gdyby tak iść tropem rozumowania Jonathana w kwestii tortur, można by zapytać, czy nienawiść da się stopniować. Nienawiść to nienawiść. Po przekroczeniu pewnej umownej granicy — powiedzmy, całkowitego upokorzenia i dewastacji psychicznej — bezsensowne wydawało się Julii ustalanie skali porównawczej.

Nie potrafiła oprzeć się ciekawości i zapytała go o wykształcenie (college), specjalizację (historia), jak też o to, skąd u niego taka znajomość terminologii psychiatrycznej (rodzice byli pracownikami socjalnymi). Wprost nie mogła się doczekać, by opowiedzieć o nim Lisie — ona na pewno by go wyściskała z niedowierzania i zachwytu, jakby był co najmniej smurfem wielkości człowieka. W chwili gdy była gotowa zadawać mu następne pytania, wszedł Jack i poprosił ją o telefon do Patricii. Z niechęcią spełniła jego prośbę. I chociaż po wyjściu Jacka mogła wrócić do przerwanej rozmowy, nie zrobiła tego. Nie chciała nagabywać Jonathana, gdy już wychodził i potem, w drodze do windy. Jeszcze by się wystraszył. Nie chciała też ujawnić własne-

go przerażenia. Nie tylko personel pokładowy wie, że strach — nieskrywany i nie trzymany na wodzy — jest zaraźliwy.

9.

Pierwszy tydzień pracy Julii dobiegał końca, a ona wciąż czekała, by Jack zainicjował spotkanie z Mary Ford. Jack się jednak nie spieszył.

— Skup się na pracy, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik — powiedział, kiedy w piątek rano Julia spytała go, czy nie sądzi, że powinna przynajmniej zadzwonić do Mary i przedstawić się jako nowa osoba w agencji do kontaktów z nią. — Zresztą, Mary pewnie jeszcze nie wróciła.

— A gdzie jest?

Jack podrapał się po brodzie. Julia już знаła ten gest, oznaczający, że kłamie.

— Na festiwalu w Sundance.

— Sundance? — Julia mogłaby przysiąc, że kiedyś czytała o Sundance w „People”. — Czy Sundance nie odbywa się w styczniu?

Znowu podrapał się po brodzie.

— No to może w Telluride.

— Telluride jest zawsze w weekend przed Świętem Pracy — to akurat wiedziała, dlatego że rok wcześniej Patricia jechała tam z klientem.

Znowu palce na brodzie.

— Cannes?

Nie miała pojęcia, kiedy odbywają się imprezy w Cannes, zresztą w tym momencie nie miało to większego znaczenia. Jack zdrapywał już niemal skórę z twarzy i jak tylko nadarzyła się okazja, obrócił się z krzesłem tyłem do niej.

Wtedy Julia przypomniała sobie, że chciała powąchać te perfumy. Póki więc Jack był odwrócony, dyskretnie rozejrzała się po półkach przy jego biurku, z nadzieją, że zobaczy ową buteleczkę w absurdalnym kształcie stożka, którą do tej pory widziała tylko na kolorowej kserokopii. W zasięgu wzroku nie znalazła jednak niczego takiego.

Gdzie bym się ukryła, gdybym była szklanym fal-lusem? — zastanawiała się w ciągu tych kilku sekund, nim Jack obrócił się z powrotem.

* * *

W przerwie obiadowej Julia miała spotkanie z dwiema przedstawicielkami działu marketingu z Heaven Scent. Kiedy o 12.30 weszły do „Anthony's” — restauracji, którą wybrała, ponieważ miała pewność, że tam nie natknie się na nikogo znajomego z poprzedniego zawodowego wcielenia — i podeszły do jej stolika, Julia pomyślała, że mogłyby być siostrami, a nawet bliźniaczkami. Miały długie blond włosy z rozjaśnionymi pasemkami, niemal identyczne garnitury i klapki na wysokich obcasach. Na pierwszy rzut oka Julia oceniła je na niewiele ponad trzydzieści lat. Kogo chciały oszukać? Siedzące na wprost niej sobowtóry Mary Kate i Ashley Olsen na pewno ledwie przekroczyły dwudziestkę. W czasie potrzebnym jej na oswojenie się z tym szokującym spostrzeżeniem, że jest już tak stara, że chyba mogłaby być ich matką, Julia wdała się w niezobowiązującą pogawędkę (niezwykle parno, jak na tę porę roku, wyjątkowo źle idą interesy w branży kosmetycznej) i poradziła

im dać sobie spokój z przeglądaniem nieporęcznej karty dań i po prostu zamówić specjalność zakładu, czyli sałatkę włosko-grecką.

Julia poruszyła się na krześle, bo czuła, że pomimo klimatyzacji jej uda przyklejają się do czarnego skórzanego siedzenia.

Podniosła wzrok na tablicę nad barem, na której kredą wypisano danie dnia. Jeśli pominąć lunch z Jackiem na początku tygodnia, nie pamiętała, kiedy ostatni raz była w restauracji na prawdziwym obiedzie — takim bez plastikowych kubków z rurką, bez wysokich stołków przy barze, gdzie przez przypadek można zostać oblanym ketchupem. Nagle poczuła się zagubiona. Gdzie paluszki rybne? Zapiekanki? Makaron z serem? Gdzie papierowe podkładki z różnymi figurami geometrycznymi, zwierzątkami do kolorowania i pudełeczka tanich kredek, które nie umywają się do kredek Crayola?

Poczuła przyływ smutku. Choć miło było być poza domem, po czterech latach mieć wreszcie na sobie prawdziwe ubranie, jednak wszystko to chętnie by oddała, żeby móc teraz siedzieć w „Stanz” ze Scoobem, dojadając jego frytki i kończąc panierkę. — Po przejrzeniu dokumentacji — w końcu zaczęła Julia, gdy już wszystkie zamówiły sałatkę i mrożoną herbatę — nasunęło mi się kilka pytań.

Leeza i Alana pokiwały głowami ze zrozumieniem. Julia już zdążyła je polubić, pomimo ich młodości, fryzur jak u modelek, wspaniałych pasemek i tego, że zapomniała, która jest która.

— Pierwsze dotyczy nasączonych zapachem kartek. W jakich pismach mają się ukazać i kiedy?

Dziewczyny spojrzały po sobie, a potem na Julię.

— Nie ma kartek zapachowych — odparła jedna z nich.

— Jak to? — zapytała Julia, zaskoczona. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z czymś takim! Strony zapachowe to bezwzględna konieczność przy wprowadzaniu i promocji nowego zapachu!

— No dobrze — stwierdziła zbita z tropu. — A paski zapachowe?

Znowu spojrzały po sobie zdziwione.

— Też nie ma — powiedziała druga.

— Pasków też nie ma? — powtórzyła Julia i roześmiała się nerwowo. — Jeszcze mi pewnie powiecie, że nie zaplanowano pokazów w domach towarowych.

Potakująco kiwnęły głowami. Kiedy podano lunch, Julia siedziała rozparta na krześle, z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— Coś jest nie w porządku z tymi perfumami — stwierdziła.

— Śmierdzą — oznajmiła Leeza.

— Potwornie — dodała Alana.

Julii natychmiast przemknęło przez myśl, że smrodu, podobnie jak tortur i nienawiści, nie da się stopniować, ale z zaniepokojonych twarzy na wprost siebie wyczytała, że jednak się da. Spojrzała na talerz, na obfitość szynki, żółtego sera, peppe-roni, kawałków bekonu i sera pleśniowego. Przyszło jej do głowy, że to rozległe morze tłuszczu,

z rzadka upstrzone warzywami, jest jak kolorowy harmonogram sporządzony przez Petera. Julia podniosła wzrok, kiedy odezwała się Alana.

— Mary Ford chciała, żebyśmy odtworzyli zapach, który wiele lat temu poznała w Paryżu... Zapach, który stworzył specjalnie dla niej jeden z cenionych kreatorów, kiedy była piękna i młoda. Gdy do nas przyszła, miała pustą buteleczkę, bo perfumy dawno wywietrzały, ale jeden z naszych „nosów”... to taki wyszkolony ekspert od zapachów, jak mówi się o nich w branży... zdołał ustalić komponenty na podstawie śladu zapachu, który pozostał we wnętrzu buteleczki.

— Kiedy przyszły pierwsze próbki — ciągnęła Alana — żadna się jej nie podobała. Musieliśmy zaczynać od początku. I znowu. I znowu. W piątej partii próbek znalazła to, o co jej chodziło. Pamiętam, jak wchłaniała ten zapach. Na kilka sekund zamknęła oczy, wyglądała, jakby przeniosła się w tamte czasy, do Paryża... kiedy była młoda, piękna, u szczytu sławy... całą szczęśliwą przeszłość znalazła w tym zapachu. To było naprawdę wzruszające. Kto by pomyślał, że takie gruboskórne, stare ptaszysko...

— Suka — wtrąciła Leeza.

— Suka — Alana przystała na takie określenie. — Dosłownie zalała się łzami ze wzruszenia. Niewiele rzeczy ma taką siłę jak wspomnienia przywołane zapachem. Od tego momentu było jasne, że Legenda jest dla niej bardzo ważna. Nie tylko jako narzędzie promocji, ale jako symbol. Symbol stra-

ty. Utraconej młodości. Utraconej sławy. Utraconej miłości.
Julia opuściła wzrok na sałatkę i odsunęła talerz.

Utracony apetyt.

— Jednak początkowo sprzedaż Legendy do domów towarowych szła bardzo słabo i musieliśmy uprościć proces produkcji.

— To znaczy, że w Heaven Scent wiedzieli, że poniosą straty, i postanowili jak najwcześniej je ograniczyć? — podsumowała pytaniem Julia. Chciała się upewnić, że dobrze zrozumiała.
Dziewczęta przytaknęły.

— Po prostu zainteresowanie nazwiskiem i wizerunkiem Mary Ford było dużo mniejsze, niż się spodziewano. Detaliści albo w ogóle rezygnowali z Legendy, albo nie byli skłonni przeznaczyć na ten cel tyle powierzchni handlowej, ile wymaga wprowadzenie na rynek nowego zapachu. Heaven Scent próbował wycofać się z umowy, ale kontrakt był nie do podważenia. Obliczono wówczas, że produkcja perfum, znikoma dystrybucja do sklepów i niemal gwarantowana porażka w sprzedaży będą bardziej korzystne niż zapłacenie kary za zerwanie kontraktu. Mieliśmy związane ręce.

Po powrocie do biura Julia złożyła wizytę Jackowi.

— Możesz już przestać udawać, że ostatnia próbka Legendy gdzieś ci się zawieruszyła.

Podniósł na nią wzrok znad biurka. Julia wzięła się pod boki, szybko jednak zdjęła ręce z bioder, rozdrażniona tym, że pod palcami wyczuła fałdki tłuszczu.

— Wiem wszystko. Wiem, że jest do niczego.

— Tak ci powiedzieli w Heaven Scent?

— Nie, po prostu powiedzieli, że śmierdzi. A raczej, że strasznie cuchnie.

Przypomniął się jej głos Borisa Karloffa z filmu *Grinch*. *Świąt nie będzie: Śmierdzi.*

Bardzo śmierdzi. Cuchnie.

Jack lekceważąco wzruszył ramionami.

— To sprawa gustu. Wiadomo, że jeśli chodzi o zapachy, wszystko jest subiektywne.

— Subiektywne? No nie, Jack, proszę. Może i nie byłam w kinie od dwóch lat, ale nie jestem głupia. Mając do wyboru opinię bliźniaczek Olsen i twoją, jak myślisz, komu uwierzę?

Wstał, poprawił pasek u spodni i w geście frustracji położył dłonie na biodrach.

— No to co u diabła mam z tym zrobić? Manipulować czasem i przestrzenią? Tak jest, wiem, że Legenda nie jest najwspanialszym zapachem świata. Ale wiem też, że wszyscy jesteśmy związani kontraktem i musimy dotrzymać warunków umowy: Heaven Scent to wyprodukował, a my musimy wypromować... i tym powinniśmy się zająć.

Julia patrzyła na niego z wyrzutem.

— Powinieneś był mnie uprzedzić. Wytrzymał jej spojrzenie.

— Po co? Żebyś odmówiła, gdy proponowałem ci pracę? Może tego nie zauważyłaś, ale byłem naprawdę zdesperowany.

Niewzruszona, potrząsnęła głową. Była oburzona jego nieuczciwym zachowaniem. Zakrawało to na ironię, bo przecież była specjalistką od reklamy, a to oznacza, że sama brała pieniądze za kłamanie.

— A co sądzi o tym Mary Ford? Jack usiadł na swoim miejscu.

— Nic nie wie.

— Co?! Mary Ford nie wie, że jej perfumy, które lada dzień mają trafić do sklepów, nie są tymi, które zatwierdziła? Jack nerwowo tarł podbródek.

— Potrzebujemy jej do promocji tego zapachu. Bez jej współpracy, jej obecności w domach towarowych, czeka nas katastrofa.

Chociaż to rozumowanie brzmiało całkiem logicznie, Julia wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego Jack nie chce poinformować Mary Ford, że winę za wyprodukowanie bubla ponosi firma kosmetyczna, a nie on. Nurtowało ją też wiele innych pytań.

— Informację o tym, że najważniejsi detaliści zrezygnowali ze sprzedaży jej zapachu i że nie wykorzystujemy w naszej kampanii marketingowej większości typowych instrumentów promocyjnych, mam zamiar przekazać jej w odpowiednim czasie — powiedział Jack.

— To znaczy kiedy? — Julia usiadła przy biurku na wprost niego. — Powinieneś mi powiedzieć, że towarzysząca Legendzie legenda doprowadziła moje dwie poprzedniczki do rezygnacji z pracy.

Powinieneś mi powiedzieć, że zapachu, do którego promocji zostałam zatrudniona, nie da się wypromować.

— Nie zostałam zatrudniona do promocji perfum, ale do promocji osoby: Mary Ford.

— Myślałam, że to to samo — odparła Julia — że Mary Ford i jej perfumy stanowią dwa elementy tej samej układanki. Połączyć je z sobą znaczy doprowadzić do sprzedaży. A doprowadzić do sprzedaży to doprowadzić do odrodzenia jej popularności.

Jack kiwał głową.

— Zawsze istnieje granica między osobistością a produktem firmowanym jej nazwiskiem. Musi tak być. Poza tym musi się uwzględniać nieprzewidziane okoliczności, które mogą tę granicę pogłębić.

Julia mrugała nerwowo, usiłując odpędzić obraz podsuwany przez wyobraźnię: Mary Ford w skafandrze astronauty krąży po orbicie wokół Ziemi w kapsule z zakonserwowaną popularnością. Obraz szybko zniknął i Julia znowu miała przed oczami tylko Jacka, który wyglądał na wyczerpanego, pokonanego i bardzo, bardzo zdenerwowanego. Wpatrywał się w nią kilka sekund i widać było, że boi się usłyszeć słowo, które już wcześniej słyszał zbyt często i którego — tego była pewna — w tym momencie obawiał się najbardziej na świecie: Rezygnuję.

Nie usłyszał.

Nie mogła tego powiedzieć. Jeszcze nawet nie dostała pierwszej wypłaty. Wzięła na siebie utrzy-

manie rodziny i nie miała wyjścia — musiała spróbować zmierzyć się z tą sytuacją.

— Słuchaj, Jack, chcę tylko wreszcie powąchać ten zapach. Wiercił się kilka sekund na krześle, aż wreszcie schylił się i sięgnął do komody. Wsunął dłoń za butelkę burbona Maker's Mark i za oprawione w ramkę swoje zdjęcie z żoną nad jeziorem (sądząc po szczupłości twarzy Jacka i gęstości włosów — Julia oceniła, że zdjęcie zrobiono wiele lat temu) i wyjął stamtąd buteleczkę o fallicznym kształcie. Podał ją Julii.

— Dziękuję.

— Nie ma za co.

Nieco później Julia zamknęła się z Jonathanem w swoim gabinecie. Powąchalili. On spojrzał na nią, ona na niego.

— W przeciwieństwie do tortur i nienawiści... — zaczęła.

— ...wygląda na to, że smród można stopniować — dokończył.

10.

W następnym tygodniu Jack wreszcie zdecydował się na spotkanie z gwiazdą.

— Jutro rano mamy sesję zdjęciową dla „New York Magazine” — powiedział, trzymając swoim zwyczajem ręce w kieszeniach spodni. — Ma się tam ukazać artykuł *Powrót legendy*. Zaczyna się o dziesiątej, co znaczy koło jedenastej. Albo dwunastej, zależnie od tego, jak długo będą jej nakładać tapetę na twarz. Na wszelki wypadek bądź o wpół do dziesiątej. Jakies pytania?

— Nie.

W każdym razie nie do niego.

Oczywiście, że miała pytanie, i to bardzo istotne: w co, u licha, się ubrać? W drodze do domu, gdy pociąg przejeżdżał przez kolejne podziemne stacje i tunele, Julia *myślała o* torbie w głębi szafy w gościnnym pokoju, do której przed urodzeniem Leo wpakowała swoje starannie poskładane ubrania.

Nagle ogarnęła ją dziwna tęsknota. Tak kochała te ubrania! Te drogie, szyte na miarę kostiumy, spódnice, spodnie i żakiety bez kołnierzy, pod którymi nosiła zwykle białe podkoszulki; kochała owo morze cienkich wełnianych garsonek w odcieniach czerni, granatu i khaki, które stanowiły bazę jej garderoby w okresie pracy w CTM. Wisiały wówczas w szafie w starym mieszkaniu, posegregowane według kolorów, tak że w dowolnej chwili mogła

szybko znaleźć strój na każdą okazję — spotkanie z klientem, imprezę promocyjną czy premierę filmową. Przypomniała sobie tamte bez troskie czasy, kiedy spokojnie wstawiała, piła kawę i czytała trzy gazety, co ranka dostarczane pod drzwi, spokojnie brała prysznic, suszyła włosy i robiła makijaż, po czym wślizgiwała się w ubranie, które spokojnie przechodziło przez biodra i uda i dawało się zapinać na zatrzaski, zamki czy guziki, nie powodując tortur fizycznych ani psychicznych. Chyba po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo zmieniło się jej życie. Gdy pociąg zwalniał przed stacją w Larchmont, Julia już wiedziała, że wyciągnięcie torby z ubraniami nie miałyby sensu, bo żadnego z tamtych kostiumów — wszystkie w rozmiarze trzydzieści osiem — nie wciągnęłaby teraz przez uda i biodra, a tym bardziej jeszcze wyżej. Zaczęła więc myśleć o swojej obecnej garderobie — wiedziała, że po kolacji wszystko wyląduje na podłodze, a ona ze łzami w oczach będzie przymierzać każdą rzecz po kolei.

Żałowała, że nie wybrała się na zakupy w przerwie obiadowej. Jack poinformował ją o sesji tak późno, że nie było już na to czasu. Chciała też przed spotkaniem z Mary Ford obejrzeć kilka jej filmów, ale na to również brakło czasu. Opuszczając dworzec, Julia uznała więc, że nie pozostaje jej nic innego, jak pogodzić się z faktem, że ich pierwsze spotkanie będzie dalekie od ideału. Ale gdy już biegła przez trawnik do domu, wszystko to przesta-

ło mieć jakiegokolwiek znaczenie. Umierała z niecierpliwości, żeby zobaczyć swoich chłopców. Kiedy otworzyła frontowe drzwi, natychmiast zauważyła, że mieszkanie wygląda dużo lepiej niż zwykle, odkąd zaczęła pracować. Leo wracał z przedszkola o pierwszej i resztę dnia spędzał z Peterem w domu, mieli więc sporo czasu na robienie bałaganu. Tym razem Julia nie zobaczyła porozrzucanych zabawek, a pośrodku holu nie potknęła się nawet o duży czerwony samochód, którym Leo jeździł — odpychając się stopami od podłogi — po wszystkich pokojach.

W salonie panował zadziwiający porządek: kasety video, pociągi i inne zabawki znajdowały się na miejscach, których istnienia Julia nawet nie podejrzewała, posegregowane w sposób, jaki nigdy nie przyszedłby jej do głowy.

Oniemiała, zdjęła kurtkę i odwróciła się, żeby powiesić ją wraz z torbą na wieszaku.

Wieszaków jednak nie było.

Podobnie jak małego stolika, na którym zwykle zaraz po wejściu kładli klucze, drobne pieniądze, portfele, komórki i pocztę, a przy okazji gromadzili całą masę szpargałów: pociągi, samochodziki, nie dojezione kanapki, napoczęte lizaki. Z kurtką i torbą w ręce przeszła przez hol do kuchni, tak jak zawsze powoli, żeby się nie przewrócić na klockach. Tym razem podłoga była nie tylko pusta, ale i odkurzona. Z kuchni dochodził niezwykły zapach. Gorąca kolacja.

Leo, który siedział przy kuchennym stole i jadł chrupki serowe z miski, a nie jak zwykle z torebki, zsunął się z krzeselka i podbiegł do mamy. Przytulił się do jej uda, zostawiając na spódnicy rozmazany ślad okruszków. Gdyby nie to, że tak bardzo za nim tęskniła i już wiedziała, że ta spódnica i tak nie ma szans na wygranie konkursu na strój następnego dnia, może by się zdenerwowała, ale zamiast tego wzięła go na ręce i przytuliła najmocniej, jak potrafiła. Nie po raz pierwszy pomyślała, że chrupki Pirate's Booty trochę przypominają zapachem wymiociny.

Peter ucałował ją na powitanie i podał jej szklanekę dietetycznej coli z lodem. Zaskoczona, spojrzała na napój, a potem na męża. Zniknęły jego zielone spodnie i sportowa koszula. Miał na sobie dżinsy i szary T-shirt, a na wierzchu fartuszek z napisem *L'Chaim!*, który dostał od jej rodziców w poprzednie święto Chanuka, gdy przyszli wraz z talerzem niejadalnych placków ziemniaczanych zrobionych przez mamę. Petera wyraźnie rozsadzała energia. Kiedy nalewał sobie coli — powoli, po ścianie pochylonej szklanki, by stracić jak najmniej gazu (na ostatnim roku ekonomii pracował jako barman i od tamtej pory fanatycznie przestrzegał zasad prawidłowego nalewania napojów gazowanych) — Julia zauważyła, że się nie ogolił. Nie pierwszy raz od chwili, gdy stracił pracę, poczuła przyływ troski o jego stan psychiczny, ale gdy z szerokim uśmiechem otworzył piekarnik, zapomniała o wszystkim.

— Zapiekanka z kurczaka — oznajmił. — Twoja ulubiona. Znalazłem przepis.

— Sam zrobiłeś zapiekankę z kurczaka? Dla mnie? — nie wiedziała, co powiedzieć.

— Chciałem zrobić coś specjalnego. To dla ciebie trudny czas, taki powrót do pracy.

Julia poczuła napływające do oczu łzy.

Peter posadził ją przy stole, a sam wrócił do piekarnika. Popijając colę, Julia obserwowała męża, jak z uwagą czytał przepis w książce kucharskiej Marthy Stewart. Książka leżała na podpórce, którą od kogoś dostali i której nigdy dotąd nie używali. Po chwili Julia wzięła Leo na kolana. Zamknęła oczy i zanurzyła twarz w jego jeszcze wilgotnych włosach. Zastanowiło ją, jakim cudem Peterowi udało się wykapać Leo i zrobić gorącą kolację.

— Ale ładnie pachniesz — powiedziała.

— Tatuś umył mi głowę.

— Naprawdę?

— Szamponem arbuzowym.

— A skąd tatuś miał szampon arbuzowy?

— Z dużego sklepu.

— Jakiego dużego sklepu?

— No, tam gdzie kupujemy dużo jedzenia.

Leo pokazał stojący na podłodze karton z trzydziestoma sześcioma torebkami chrupek serowych.

— Czyli byliście w Costco — wywnioskowała Julia.

— Z babcią i dziadkiem.

— Z babcią i dziadkiem? Leo skinął główką.

— I jedliśmy tam pizzę.

Julia usiłowała się uśmiechnąć, mimo że poczuła przerażające ukłucie zazdrości. Podczas gdy ona

cały dzień była w pracy i użerała się z idiotycznym Jackiem DeMarco, oni wszyscy wybrali się do Costco! Czuła, że to nie fair. Może by to nawet powiedziała, gdyby nie rozpraszały jej zapachy dochodzące z piekarnika.

— A co się stało z wieszakami przy wejściu? — zwróciła się ponad głowę Leo do Petera, który uwijał się między stołem a piekarnikiem, rozkładając talerze, nakładając sałatkę i sprawdzając stan zapiekanki. — I ze stolikiem?

— Przeniosłem je — rozpromienił się Peter. Julia ssła kostkę lodu, głaszcząc Leo po plecach i pulchnym brzuszku.

— Dlaczego?

— Próbuję usprawnić płynność domowych zasobów, żeby ułatwić ich wykorzystywanie. — Skinął na nią, żeby podeszła do kuchennych drzwi. — Przenosząc wejście z frontu na tył domu... o, patrz, tu przeniosłem wieszaki i stolik, w efekcie przeniosłem centralny punkt bałaganu tutaj... możemy teraz zrobić miejsce w holu, przesuważąc plecaki, buty, płaszcze, parasole do tylnej części domu.

— Ale dlaczego? — powtórzyła pytanie, niczym trzylatek.

— Bo tym sposobem, jak już mówiłem, usprawniamy płynność — zaczął gestykulować obiema rękami, jakby miało mu to pomóc zilustrować i wytłumaczyć ideę. — Nie wiedziałam, że mieliśmy problemy z płynnością.

Pokiwał głową, jakby chodziło o coś, co trapiło go od dłuższego czasu.

— Mieliliśmy poważne problemy z płynnością — stwierdził bez cienia ironii w głosie. — A nawet bardzo poważne.

— No to czemu ty, profesjonalny organizator, czekałeś tak długo, żeby nas zorganizować? Wzruszył ramionami.

— Kiedy pracowałem, nie było na to czasu. Miała na myśli czas, kiedy już nie pracował, ale nie chciała dyskutować, żeby nie naruszyć płynności rozmowy.

— Przekonfigurowałem też system sortowania prania. Natychmiast popatrzyła na sufit, bo pralka i suszarka były na górze.

— Jaki znowu system sortowania?

— Koniec z osobnymi koszami na pranie w pokoju Leo i w naszym. Tym sposobem eliminujemy jeden etap: transportowanie nie posortowanego prania — możemy je sortować, wkładając od razu do trzech wiklinowych koszy, które ustawiłem w pralni. No i znowu — nadal gestykulował — mamy usprawnienie płynności.

Peter wyjął zapiekanekę z piekarnika i postawił na środku stołu. Wtedy zsunął z dłoni rękawice, zdjął fartuszek i usiadł. Oboje w milczeniu wpatrywali się w idealnie wyrośnięte ciasto, smakowicie lśniące dzięki posmarowaniu białkiem.

— Pachnie bosko — wyszeptała Julia. Wiedziała, że samo ciasto prawdopodobnie zawiera co najmniej pół kostki masła (właściwie zawiera całą kostkę, poinformował ją Peter), a mimo to dodała z zachwytem: — Wygląda tak pięknie, że aż żal ją jeść.

— No. Aż się prosi, żeby jej zrobić zdjęcie.

— Powinniśmy zrobić!

— Bez przesady.

— Właśnie, że tak — Julia zdjęła Leo z kolan, poszła do salonu i wróciła z cyfrowym aparatem fotograficznym.

Zrobiła dwa zdjęcia: jedno z zapiekanką na pierwszym planie i w tle z Peterem szczerzącym zęby w uśmiechu, drugie — zbliżenie samej zapiekanki w całej idealnie wyrośniętej okazałości. Peter, którego rozsadzała duma (wiedziała, że ucieszył się ze zdjęć), nałożył każdemu po dużym kawałku.

Chwilę milczeli. Delektowali się smakiem ciasta z rozmarynem, kawałkami pieczonego kurczaka, ziemniakami w mundurkach i aromatycznym sosem. Julia wiedziała, że oboje myślą to samo: Kiedy ostatnio ugotowali porządny posiłek tak bez okazji, w środku tygodnia? Czy w ogóle kiedykolwiek ugotowali porządny posiłek tak bez okazji, w środku tygodnia? Nic dziwnego, że ludzie używają do gotowania tyle masła — dzięki niemu wszystko smakuje wspaniale. Kiedy wreszcie podnieśli głowy znad talerzy, ich spojrzenia spotkały się. Julia wyciągnęła rękę i uścisnęła dłoń męża w geście niemej wdzięczności (miała pełne usta). Cofnęła ją po chwili, by dołożyć każdemu jeszcze troszkę.

Przedstawiła Peterowi w skrócie swój dzień i opowiedziała o wielkim wydarzeniu czekającym ją nazajutrz. Potem przysłała kolej na niego.

— Kiedy odwiozłem Leo, zobaczyłem informację, że szukają ochotników.

— Do czego? — tak niedawno przestała tam bywać, a już czuła się zupełnie nie związana ze sprawami przedszkola.

— Do pomocy przy organizowaniu Halloween, no wiesz, wypieki, jedzenie.

Choć zjadła już dwie porcje, Julia nie mogła oderwać wzroku od zapiekanki. Miała ochotę nałożyć sobie jeszcze kawałek, ale powstrzymała się na myśl, że i bez tych dodatkowych kalorii trudno jej będzie wyglądać atrakcyjnie następnego dnia.

— I zapisałem się.

— Na co?

— Na wszystko.

Zdezorientowana i przerażona — szycie strojów? pieczenie ciasteczek? — Julia gwałtownie zapytała:

— Po co nas zapisywałeś? Przecież wiesz, że teraz nie mam czasu na takie rzeczy.

Peter odstawił szklanekę i opuścił wzrok.

— Nie zapisałem ciebie, tylko siebie.

— Aha.

— Chcę się w to włączyć — powiedział. —

Chciałbym aktywnie uczestniczyć. Póki jeszcze mam czas, mógłbym robić coś pożytecznego.

Uśmiechała się, kiwając głową, ale czuła coraz silniejszy ucisk w gardle.

— Są bardzo źle zorganizowani — ciągnął Peter, wyraźnie mając ochotę udzielić jej wyjaśnień. — Nie ma żadnej komisji planowania i nikt tak naprawdę tym nie kieruje — znowu żywo gestykulował. — W ogóle nie mają płynności.

Teraz Peter chwycił Julię za rękę, a ona pomyślała o malutkich umywalkach, toaletach i fartuszkach, szafkach i przekąskach. Cofnęła się pamięcią do pierwszego roku dziecka w przedszkolu, które wybrała po odwiedzeniu aż siedmiu podobnych placówek i w którego działalność planowała się zaangażować. Rzeczywiście zaangażowała się w pierwszych tygodniach (pakowała mu drugie śniadanie, uczyła go korzystać z toalety). To był ten przełomowy moment, w którym tak bardzo pragnęła uczestniczyć, zwłaszcza po nieudanym doświadczeniu z ubiegłego roku, gdy posłali Leo do bardzo chwalonej „grupy edukacyjnej” w domu Gerte Hallstrom, gdzie zdobycie miejsca graniczyło z cudem. Niemal natychmiast oboje z Peterem nazwali gospodynię „Zimną Szwedką”, bo nigdy nie miała nic miłego do powiedzenia o Leo („nie chciał założyć rękawiczek”, „nie chciał śpiewać”, „nie chciał zjeść wielkiego kawałka bezglutenowego, bezzapachowego pieczywa, które upiekliśmy dziś rano”).

Jedna część Julii cieszyła się z tego, że Peter tak zaangażował się w sprawy dziecka i że tak dobrze odnalazł się w roli pełnoetatowego rodzica, ale druga jej część toczyła wewnętrzną walkę.

Jeśli wykluczyć prace domowe, czas spędzany w domu jest jedną z najbardziej grzesznych przyjemności na świecie: można oglądać kreskówki, jeść przekąski, drzemać, nie trzeba się elegancko ubierać i wlec do biura, żeby tam marnować czas z dala od dziecka. Wiedziała, że wiele kobiet by się z nią nie zgodziło, wiedziała, że nie powinna tak myśleć,

ale w biurze nic nie interesowało jej nawet w połowie tak bardzo, jak interesował ją Leo.

Teraz mogła myśleć tylko o tym, że nie towarzyszy synkowi w kolejnej fazie jego rozwoju, że matki, które poznała, zapomną o niej, a te, których nie poznała, będą ją osądzać, że nie spędza z Leo dostatecznie dużo czasu. Oczywiście nie zależało jej na opinii obcych matek. Zależało jej na Scoobiem. Zależało jej na wszystkich drobnych kroczkach, kamieniach milowych, najdrobniejszych momentach w jego rozwoju, których nie chciała przegapić. Życie jest tak krótkie. Czas jest tak cenny. Dzieci nie są wiecznie małe.

Gdy już pomogła Peterowi uporać się z naczyniami, postanowiła darować sobie dwugodzinną walkę z garderobą, którą i tak by przegrała. Zamiast tego — po uważnym przejrzaniu szafy, z której wyjęła dwa wieszaki: jeden z parą czarnych spodni i jeden z prostą, długą czarną marynarką — weszła do łóżka wraz z Leo i przeczytała mu pięć spośród jego ulubionych książeczek: *Jeśli dasz myszce ciasteczko, Jeśli weźmiesz myszkę do szkoły, Jeśli weźmiesz, myszkę do kina, Jeśli dasz, łosiowi bułeczkę, Jeśli dasz śwince placuszek*. Zасыpiając, myślała o tym, że przydałaby się jeszcze jedna książka w tej serii:

Jeśli idziesz, na sesję zdjęciową z, byłą gwiazdą...

11.

Winda towarowa zatrzymała się z hałasem. Julia wysiadła i ruszyła w głąb ciemnego korytarza. Jak było do przewidzenia, usłyszała śpiew Franka Sinatry, typową muzykę przebrzmiałych gwiazd, a kiedy podeszła pod drzwi pracowni fotograficznej, dźwięki omal jej nie ogłuszyły. *Zacznę wszystko od nowa W starym Nowym Jorku*. Co za wyświechtany kawałek. Lekko pchnęła metalowe drzwi z napisem: FOTOGRAF JAMES PERRY. Usłyszała kolejny utwór po wielokroć wykorzystywany przez powracające do zawodu gwiazdy: *Jestem gotów zdobyć Nowy Jork* Billy'ego Joela, i aż się wzdrygnęła z niesmakiem. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Uczestniczyła już w sesjach fotograficznych wielu gwiazd, a ta nie zapowiadała się na wyjątkową. Było tu typowe wyposażenie (drapowane muslinowe zasłony, stojące lampy, białe parasole nachylone pod różnymi kątami, by skupiać lub odbijać światło), obowiązkowe rekwizyty (wysoki stółek barowy, kawiarniane krzesło, sofa pokryta bordowym aksamitem, olbrzymi fotel bujany w białym pokrowcu). Rozglądała się po przestronnej sali, w której wrzało jak w ulu — ustawiano światła, przygotowywano długi stół ze stalowymi dzbankami z kawą, z tacami i miseczkami pełnymi ciastek, pączków i sałatki owocowej, a co najmniej piętna-

stu asystentów, zatrudnianych albo przez fotografa, albo przez „New York Magazine”, biegało w różne strony, usiłując dopiąć wszystko na ostatni guzik, zanim gotowe będą najważniejsze osoby: Mary Ford i James Perry.

Julia od razu zauważyła Jacka. Klęczał przed szarą muślinową zasłoną i wykonywał palcami pretensjonalny gest kadrowania ujęcia. Miał na sobie szary wełniany garnitur, a pod nim czarny golf.

Wyraźnie kreował się na pijarowca należącego do artystycznej bohemy (jakby coś takiego istniało!), ale nie osiągnął zamierzonego efektu. Nie znaczy to, że wyglądał źle — po prostu wyglądał jak głupek w za dużym czarnym golfie, w którym praktycznie cały tonął.

Na jego twarzy malował się niepokój, a po chwili, kiedy się lekko odwrócił, pojawił się wyraz ulgi.

Wydawało się, że po wielu wysiłkach w końcu znalazł idealne ujęcie. Julia przeszła przez salę — uważając, by nie wejść nikomu w paradę, bo zabiegani asystenci wyglądali na bardzo ważnych i zapracowanych — i podeszła do Jacka. Sprawiał wrażenie zadowolonego, że ją widzi, i choć ona nie odwzajemniała tego zadowolenia, to jednak poczuła ulgę na widok znajomej twarzy. — Mikrozarządzanie jak zwykle — zagadnęła, myśląc o tym, że z chęcią opuściłaby mu ten golf, aby odsłonić podbródek.

— Chcę się tylko upewnić, że obejmą ją od pasa w górę — powiedział głośno, żeby dotarło to do obwieszonych aparatami asystentów fotografa, którzy kręcili się w pobliżu ze światłomierzami. — To dla

niej najkorzystniejsze ujęcie. Pomijamy sylwetkę od pasa w dół — wzruszył ramionami, wykrzywił twarz, a na koniec wstał z przysiadu i rozłożył ręce. — W przypadku kobiety w jej wieku takich szczegółów lepiej nie pokazywać.

Mrugnął porozumiewawczo do dwojga asystentów — kobiety i mężczyzny, którzy patrzyli na niego jak na zboczeńca — i gestem zaprosił Julię do stołu z przekąskami. Ona jednak nie była nimi zainteresowana. Nigdy nie jadła w pracy.

Jeszcze raz zlustrowała pomieszczenie, po czym zwróciła się do Jacka:

— A gdzie Mary?

Wskazał na przeciwległy koniec poddasza.

— Za tym przepierzeniem. Robią jej fryzurę i makijaż. Jak skończą, będzie przymierzać stroje wypożyczone na tę sesję przez „N.Y. Magazine” z pracowni Donny Karan.

Julia ruszyła we wskazanym kierunku, ale gdy doszła do przepierzenia, zatrzymała się. Pomimo dużego dystansu, z jakim traktowała swoją pracę, i wszystkiego, czego przez te lata zdążyła się dowiedzieć o sławach i sławie — że to tylko iluzja, mit, bezpardonowe oszukiwanie ludzi po to, by stwarzać popyt na kolorowe pisma, książki, bilety do kina, płyty albo perfumy — czuła się podekscytowana. Owszem, blask Mary Ford dawno już przygasł. Owszem, występowała w reklamach samochodów, karmy dla kotów, a o jej aktorskiej karierze mało kto już pamiętał. Mimo wszystko to jednak legenda. Pierwszy raz od przyjęcia tej pracy Julia

pozwoliła sobie na chwilę niekontrolowanej euforii i zerknęła za przepierzenie.

Na czarnym supernowoczesnym krześle obrotowym projektu Hermana Millera, okryta białą fryzjerską pelerynką, siedziała Mary Ford. Wyglądała na gwiazdę w każdym calu. Była to niezwykle atrakcyjna kobieta, z wyraźnie zarysowaną szczęką i zielonymi oczami. Emanowała magicznym wprost urokiem, pod którego wpływem zapominało się o jej wieku (siedemdziesiąt cztery lata). Chociaż na pewno przeszła jakąś operację plastyczną (któż w Hollywood tego nie robił?), jej twarz nie miała typowych oznak częstych interwencji chirurgicznych: napiętej skóry w okolicach oczu i ust, nieruchomych od nadmiaru botoksu policzków, brwi i podbródka, ani warg przesadnie rozdętych kolagenem. Jej jasne włosy były już ułożone. Wysoki mężczyzna z jaskrawopomarańczowymi warkoczykami dokonywał jeszcze ostatnich poprawek makijażu, a wokół nich kłębił się tłum stylistów i wizażystów.

Julia pierwszy raz usłyszała charakterystyczny głos Mary Ford — niski, donośny, podkreślający wyuczoną i wyćwiczoną artykulację (w niemal wszystkich udzielanych przez nią wywiadach otwarcie, wręcz z dumą, mówiła o wielogodzinnych lekcjach wymowy i emisji głosu, jakie pobierała w początkach swojej kariery, aby wyzbyć się brooklińskiego akcentu). Chociaż gwiazda powiedziała coś zupełnie bez znaczenia („Pippi Langstrumpf, nie przesadzaj z lakierem do włosów”), słowa te sprawiły, że Julię przebiegł dreszcz i nagle przypomniała sobie, na czym polega ów niewytlu-

maczalny fenomen obcowania z gwiazdami, gdy zwykle chwile, jak ta, potrafią być jednocześnie banalne i fascynujące.

„Pippi Langstrumpf” wstał i prysnął lakierem do włosów w powietrze nad głową Mary i nieco po bokach. Począł, aż maleńkie cząstki opadną na włosy, a ona obserwowała go, niczym przyczajony we mgle jastrząb. Kiedy mgiełka opadła, Mary wbiła w niego wzrok.

— Mówiłam: „Nie przesadzaj z lakierem”. Nie powiedziałam: „Pryśnij w powietrze, jakby to był Chanel Nr 5” — strzeliła palcami i skinęła w kierunku pojemnika z lakierem. — Daj mi to — dorzuciła i sama użyła tyle lakieru, ile uznała za stosowne. — Kiedy Ray Milland i ja kręciliśmy *Most donikąd*, Ray bardzo mi się podobał — powiedziała Mary, obracając się wraz z krzesłem i wyciągając pojemnik z lakierem przed siebie. Jedna z asystentek „Pippi Langstrumpf” natychmiast rzuciła się, by go odebrać, niczym chłopiec zbierający piłki na Wimbledonie. — To było jakiś rok po wejściu na ekrany *Mjak Morderstwo* i pewnego dnia... Byłam wtedy jeszcze młoda i pewna siebie, a nie, jak dzisiaj, sterana życiem, zmuszona walczyć pazurami o to, żeby nie wypaść za burzę... — Urwała na chwilę, aby styliści zwrócili uwagę na jej samokrytycyzm, dystans do siebie i poczucie humoru. Jakby to, co przed chwilą powiedziała, było dalekie od prawdy. — Pewnego dnia wsunęłam pod drzwi jego garderoby karteczkę z numerem telefonu i dopiskiem „M jak Mary”.

Mary dostrzegła odbicie Julii w lustrze i mrugnęła do niej. Zaskoczona Julia w pierwszym odruchu obróciła się, żeby sprawdzić, czy nie stoi za nią ktoś, do kogo adresowane było to mrugnięcie. Oczywiście nikogo nie zauważyła.

Mary Ford puściła do mnie oko.

— Czy wielki pan Milland zadzwonił? — zapytał „Pippi”. Stał za plecami gwiazdy, z dłońmi uniesionymi nad jej fryzurą, i oceniał swoje dzieło.

— A jakże. Zadzwonił — odparła Mary. W jej głosie słychać było rozbawienie, irytację i rozczarowanie, wymieszane w idealnych proporcjach, co rzuciło na stylistów jeszcze większy urok. — Ale po naszej pierwszej i zarazem ostatniej kolacji zapytał, dlaczego moje włosy zawsze wyglądają, jakby miały się oprzeć silnemu huraganowi. — Znowu mrugnęła do Julii, ale tym razem Julia nie odwróciła głowy. — Od tej pory każdemu styliście, który dotyka moich włosów, mówię to samo.

— „Nie przesadzaj z lakierem do włosów!” — wyrecytował „Pippi” posłusznie, a Julia pomyślała, że on już do końca życia nie zapomni tej rozsądnej rady.

Przekomarzanie się Mary ze stylistami trwało jeszcze chwilę.

Julia cały czas stała z boku. Nagle Mary obróciła się z krzesłem w jej stronę i zapytała:

— Kim pani jest?

Julia tak była pochłonięta przysłuchiwaniem się rozmowie, która zeszła już na inne „gwiazdorskie” tematy, jak botoks, chińskie zioła, naturalne środki regulujące trawienie, że dopiero po chwili dotarło

do niej, iż Mary Ford wpatruje się w nią, czekając na odpowiedź. Mary powtórzyła pytanie.

— Halo! Z kim mam przyjemność?! — strzeliła palcami obok Julii, co wyrwało ją z transu.

— Pracuję z Jackiem DeMarco w Howard Pam Public Relations — odpowiedziała w końcu, z większym zdenerwowaniem i dużo mniejszą dozą wdzięku, niż zamierzała. Natychmiast zdała sobie sprawę z niewytłumaczalnego niedopatrzenia: zapomniała o najważniejszym — własnym imieniu i nazwisku! Pragnąc czym prędzej to naprawić, wykonała krok w przód i wyciągnęła dłoń w kierunku Mary Ford. Jednak dłoń Mary była przykryta peleryną ochronną i musiało upłynąć kilka sekund, zanim aktorce udało się ją wyjąć spod warstw tkanin. Kiedy wreszcie ścisnęły sobie dłonie, Julia zauważyła na palcach Mary imponujący zestaw złotych pierścionków z barwnymi kamieniami, a na nadgarstku piękny męski zegarek Cartiera ze znoszonym brązowym paskiem z krokodylej skóry. Mary Ford należała do tych niewielu spośród znanych Julii osobistości, które miały dobry gust, jeśli chodzi o biżuterię. Julia zaniemówiła z zachwyty.

— Chwilę myślałam, że zastępujesz Jacka — stwierdziła Mary, wznosząc wzrok ku niebu — ale to byłoby zbyt piękne.

Julia zaśmiała się nerwowo.

— I miałam zamiar powiedzieć: *mutatis mutandis*.

Kiedy stało się jasne, że Julia nie rozumie łacińskiej sentencji, Mary znowu wywróciła oczami:

— Dosłownie: „Dokonawszy niezbędnych zmian”, albo w tłumaczeniu dla hołoty: „W końcu pozbyli się tego durnia”.

Julia czuła, że policzki płoną jej ze wstydu.

— Do jakiej szkoły chodziłaś? — zapytała Mary, głośno wysysając coś spomiędzy zębów — Vassar?

Zdumiona Julia skinęła głową.

— Łatwo się domyślić. Dawno temu przestali tam uczyć łaciny.

W każdym razie przestała być obowiązkowa.

Julia zastanawiała się, skąd ta kobieta tak dobrze zna programy szkolne i wymagania uczelni, kiedy Mary dodała:

— Moja córka tam chodziła. Wbrew mojej woli. Chciałam, żeby poszła do prawdziwego college'u, jak na przykład Wellesley, gdzie nie byłoby chłopców, którzy by ją rozpraszaali i wmawiali jej, że taniec w klubie nocnym może jej pomóc w zdobyciu zaliczenia.

— Pani tam chodziła?

— Chodziłabym tam, gdyby moja rodzina miała pieniądze, żeby posłać mnie do college'u. Ale nie mieli. Dlatego moja edukacja skończyła się na twardej szkole życia.

Mary Ford poruszyła się w fotelu i znowu pogrzebała językiem w zębach.

— No, a jak trafiłaś do pracy u Jacka DeMarco? Gdyby to jeszcze nie było jasne, nie jestem jego fanką.

Julia roześmiała się, a Mary mówiła dalej, nie dając jej możliwości udzielenia odpowiedzi.

— Ten facet jest większym egocentrykiem niż ja. Już na samym początku kariery w Hollywood nauczyłam się jednego: zawsze trzeba wiedzieć, kto jest w danym miejscu największą gwiazdą, i nie starać się jej przyćmić. Ale zawsze, gdy się spotykamy, on nie potrafi się usunąć. Już dawno mu powiedziałam: „Jack, kiedy wchodzimy gdzieś razem, to wszyscy patrzą na mnie, nie na ciebie” — znowu przewróciła znacząco oczami. — Ale on nie potrafi tego zrozumieć.

Julia czuła, jak na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech — Mary Ford też nie znosi Jacka! Zaskoczyło ją, że nikt jej nie powiedział, jaka zabawna jest Mary Ford. Jaka dowcipna i spostrzegawcza! Tak więc mimo że zapomniała się przedstawić i że w zasadzie cały czas tylko chichotała niczym podlotek, nagle ucieszyła się, że tu przyszła, a jeszcze bardziej, że w ogóle przyjęła to zadanie. — No to kto jedzie ze mną w tę trasę? Ty czy nadal jestem zdana na jego towarzystwo? — zapytała Mary, przeglądając się w lustrze i dokonując subtelnych, acz fachowych poprawek fryzury. — Nie wiem — odparła Julia i powoli przekazała jej to, co wiedziała od Jacka: że on planuje odbywać większość podróży, ale Julia może być potrzebna do wyjazdu do kilku miast.

— Dzięki Bogu — powiedziała Mary i spojrzała na odbicie Julii w lustrze.

Julia czuła na sobie jej wzrok — lustrujący ją od stóp do głów, od włosów (ciemnobrązowe, do ramion, zaczesane do tyłu i związane w koński ogon), przez delikatny makijaż (podkład, błyszczący do ust

i muśnięcie tuszu na rzęsach), po strój (skromny czarny kostium). Odruchowo wciągnęła brzuch, jak to zawsze robiła w towarzystwie osób innych niż Leo. Nie wiedziała, co Mary o niej myśli, ale miała wrażenie, że nie jest najgorzej. Przecież dopiero co poprosiła ją o towarzyszenie jej w podróżach.

— Porozmawiam z Jackiem. Powiem mu, że chcę, żebyś jeździła ze mną zamiast niego — stwierdziła Mary, niewzruszona, jakby odmówienie jej czegośkolwiek w ogóle nie wchodziło w rachubę. — On oczywiście się zgodzi, bo się mnie boi. Potem, gdy ci powie o zmianie planów, będzie udawał, że to jego pomysł, jakiś szeroko zakrojony plan strategiczny, który wyklął się w tej jego olbrzymiej łepetynie.

Wiem, jak to jest. Wszyscy mężczyźni są tacy sami — mrugnęła po raz kolejny i poszukała wzrokiem Jacka.

— Hej, Jack Raz Dwa! — krzyknęła, przywołując go palcem wskazującym. — Chcę z tobą porozmawiać.

Jack, który właśnie wgryzł się w olbrzymią bułkę, odwrócił się i ruszył w stronę Mary. Julia odsunęła się o kilka kroków i obserwowała, jak Mary mówi coś do Jacka, a on porusza głową jak nakręcona zabawka.

Po chwili Mary otoczył tłumek stylistów i porwał ją do obszernej garderoby, w której na długim drążku wisiały ubrania do wyboru. Julia miała wrażenie, że chociaż nie jest w szczytowej formie, to i tak radzi sobie dużo lepiej od Jacka, który wyglądał jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa. W sumie Julia była bardzo z siebie zadowolona,

zwłaszcza że tak długa przerwa usprawiedliwiała pewne niedociągnięcia. Maleńki sukces, który właśnie odniosła i któremu towarzyszyła odrobina satysfakcji z cudzej porażki, zachęcił ją do towarzyszenia Mary w garderobie. Przyglądała się, jak gwiazda przesuwając wieszaki na długim metalowym drążku. Jack trzymał się z tyłu.

— To jest fantastyczne — westchnęła Mary, wyciągając beżową zamszową kurtkę z wysoką stójką — chyba wezmę ją do domu.

W otaczającym ją tłumie rozległy się śmiechy. Nie śmiał się tylko stojący obok Julii niski nerwowy człowieczek z ogoloną głową i niewiarygodną ilością maleńkich złotych kolczyków w kształcie kółek wzdłuż całej krawędzi prawego ucha. Delikatnie szturchnął Julię łokciem, a gdy się pochyliła, szepnął do niej:

— Chyba nie mówiła poważnie o tym zabraniu kurtki do domu?

Julia potrząsnęła głową. Chociaż знаła Mary Ford zaledwie od piętnastu minut i nie wiedziała, czy to był żart, czy nie, nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś mówił poważnie o zabraniu do domu skórzanej kurtki o wartości sześciu tysięcy dolarów, z kolekcji Donny Karan. Wtedy jednak z zakamarków jej pamięci przedarła się niepokojąca informacja o wciąż nie zwróconym futrze z bobra. Przypomniała sobie też wzmiankę Jacka o tym, że córka Mary wspominała w wywiadach o kleptomanii matki.

— Bo te ubrania są wypożyczone przez naszą redakcję — ciągnął Romaine (tak bowiem miał

na imię), obgryzając już niemal nie istniejący paznokieć kciuka z taką werwą, że Julia zaczęła się obawiać, iż za chwilę albo zacznie krwawić, albo w ogóle odgryzie sobie koniuszek palca. — Jestem osobiście odpowiedzialny za to, żeby po sesji zdjęciowej wszystko wróciło na swoje miejsce.

Julia próbowała go uspokoić. Kiedy jednak po chwili Mary Ford przeszła obok nich, kierując się ku światłom i muzyce — tej niestrawnej Celinę Dion — oboje zauważyli, że aktorka ma na sobie wspomnianą kurtkę i czuje się w niej znakomicie.

W ciągu dwóch następnych godzin Mary przebierała się tak wiele razy, że Julia miała nadzieję, iż zapomni o kurtce. Kiedy sesja dobiegła końca, Mary wróciła do garderoby, żeby przebrać się we własne ubranie.

Wyszła w płaszczu, z torbami w rękach, i Julia z przerażeniem zauważyła, że drążek z wieszakami jest prawie pusty. Skórzana kurtka zniknęła, podobnie jak wszystkie trykotowe body. Zostały jedynie nagie wieszaki zwisające z metalowego drążka.

Romaine chwycił Julię za ramię. Jak ryba wyciągnięta z wody poruszał wargami, z których nie wydobywał się żaden dźwięk. To zresztą nie miało znaczenia, bo Julia dobrze wiedziała, co usiłuje jej powiedzieć. Stała obok niego i bezradnie patrzyła, jak Mary zbliża się do nich z towarem wartym prawie dziesięć tysięcy dolarów, wepchniętym do znoszonej torby Louisa Yuittona.

Romaine podszedł do niej i zaczął płakać, między spazmami usiłując wyjaśnić, że jest osobiście odpowiedzialny za zwrot odzieży do pracowni pro-

jektantki. Mary pokiwała głową, protekcjonalnie otoczyła go ramieniem i wraz z nim ruszyła w stronę wyjścia.

— Jak się nazywasz, młody człowieku? — spytała.

— Romaine.

— Romaine? Jak sałata? Wzruszył niepewnie ramionami.

— Po francusku to znaczy „rzymski” — wyjaśnił. Mary wzrokiem szukała pomocy u Julii.

— Wiem. Jak myślisz, czemu używają sałaty do sałatki cesarskiej?

Wyraz twarzy Romaina nagle całkiem się zmienił, a on sam, zaintrygowany, podniósł wzrok na Mary.

— To naprawdę ciekawe. Nigdy o tym nie słyszałem. Czy to prawda?

Mary spojrzała na niego z politowaniem.

— Nie. Nieprawda.

Przełożyła pasek wyraźnie ciężkiej torby z jednego ramienia na drugie i jeszcze raz zwróciła się do Julii:

— Dla kogo on pracuje, dla Jacka czy dla fotografa?

— Dla czasopisma.

Mary kiwała głową, jakby analizowała wzajemne zależności między stronami tego trójkąta, ale Julia podejrzewała, że tak naprawdę chce zyskać na czasie i zorientować się, w jaki sposób wynieść skradzione rzeczy.

— Posłuchaj mnie, mały Cezarze — zaczęła powoli. — Donna Karan i ja jesteśmy bliskimi przyja-

ciółkami. Jak tylko dotrę do domu, zadzwonię do niej i załatwię to z nią osobiście.

Zdjęła dużą dłoń z jego wąskich barków i pomachała w stronę tłumu asystentów, którzy rozmontowywali sprzęt i wydawali się całkiem nieświadomi i zupełnie nie zainteresowani tym, że tuż obok dochodzi do poważnego zagarnięcia mienia.

Gdy wielkie metalowe drzwi zatrzasnęły się za Mary Ford, ogarnięty paniką Romaine zwrócił się do Julii.

— No i co? Powiedziałaś, zdaje się, że nie ukradnie tych ubrań?!

— wydał z siebie żałosny, piszczący jęk. Podniósł klapkę telefonu komórkowego i zaczął wybierać numer redakcji. — I co ja teraz zrobię?

Kiedy nieco po drugiej Julia wróciła do biura — Jack opuścił studio wcześniej, choć nie zauważyła, jak się wymykał — czuła się jak ostatnia idiotka. Została wykorzystana — oczarowana, wmanewrowana, uwiedziona — przez Mary Ford, szczwaną, przebiegłą kleptomankę. Kiedy znalazła się w swoim gabinecie, po całym tym podnieceniu i zadowoleniu, jakie odczuwała wcześniej, nie było już śladu.

Julia Einstein: zauroczona gwiazdą idiotka.

To był szkolny błąd! Aż trudno było uwierzyć, że mógł go popełnić ktoś z takim doświadczeniem jak ona. Wstyd było komukolwiek się do tego przyznać.

Komukolwiek, z wyjątkiem Jonathana Leibowitza Buchmana.

Siedział w jej gabinecie, tyłem do zamkniętych drzwi, i słuchał uważnie, gdy przedstawiała mu wydarzenia tego przedpołudnia: jak jeszcze przed kradzieżą ubrań Mary Ford okazywała jej sympatię, jak żartowała sobie z Jacka i twierdziła, że chce, aby Julia zastąpiła go w trasie.

Jonathan ze zrozumieniem kiwał głową.

— Rozszczepienie.

Julia wpatrywała się w niego z konsternacją.

— Rozszczepienie to oddzielenie od siebie negatywnych i pozytywnych doświadczeń w kontaktach z innymi. Ludzie podobni do Mary Ford... tak przy okazji, to zaburzenie nazywa się fachowo pogranicznym zaburzeniem osobowości albo inaczej BPD... No więc oni stosują rozszczepienie, żeby manipulować innymi.

Zdumienie Julii rosło. Psychologia, podobnie jak łacina, nie wchodziła w zakres przedmiotów obowiązkowych w Vassar.

— Innymi słowy, próbują „dzielić i rządzić”.

Jonathan przesunął się bliżej krawędzi krzesła. Mrugał nerwowo, jakby nie mógł uwierzyć, że wszystko to, czego całe życie musiał wysłuchiwać przy rodzinnym stole — o patologicznym narcyźmie, zaburzeniach osobowości, idealizacji, przeniesieniu i przeciwprzeniesieniu — nagle okazało się do czegoś przydatne.

— Najpierw Mary szuka kogoś, kto wydaje się rozumieć jej sytuację i potrzeby, kogoś, kto gotów jest ją zadowolić.

Julia kiwała głową. *Mnie.*

— Potem oczarowuje tę osobę: wzbudza w niej poczucie, że jest wyjątkowo kompetentna i sympatyczna. Szczególnie w porównaniu z kimś innym, niekompetentnym i niesympatycznym.

Ja i Jack.

— Oczywiście, trudno się oprzeć pokusie uwierzenia w takie komplementy. Zwłaszcza że to może być prawda — dodał szybko i sięgnął dłonią do koralików na szyi.

Julia usiłowała się uśmiechnąć.

— W rezultacie istniejące napięcia jeszcze się nasilają wskutek wyolbrzymiania i manipulowania tym, co „dobre” i „złe”.

Ja i Jack.

— „Dobra” osoba w końcu nie dorównuje ideałowi, bo wykazuje jakieś ludzkie słabości — przesunął się na krześle, założył nogę na nogę, jakby dopiero teraz opowieść miała nabrać barw. — To wywołuje u Mary złość i poczucie, że została zdradzona, a wtedy zaczyna traktować tę osobę jak śmiertelnego wroga i atakuje.

Wreszcie szuka kogoś innego, kogo mogłaby idealizować i zarazem wykorzystywać do obrony przed „wrogiem”, a ten, kogo uwiodła i porzuciła, czuje się upokorzony i poniżony.

Julia objęła głowę rękoma.

— Czuję się jak ostatni głupek — szepnęła.

— Nie powinnaś — Jonathan kręcił głową ze współczuciem.

— Powinam się zorientować, że mną manipuluje.

— Może poczujesz się lepiej, jak ci powiem, że dokładnie tak samo postępowała z twoimi poprzedniczkami. I jestem pewien, że kiedy poznała Jacka, ten sam mechanizm zastosowała wobec niego. Pewnie mu powiedziała, że Howard Pam najlepsze lata ma już za sobą i że chciałaby, żeby jej powrotem do kariery kierował ktoś młody, żądny sukcesu, jak on.

Julia aż otworzyła usta ze zdziwienia.

— To znaczy, że Howard Pam naprawdę istnieje?

— Nie wiedziałaś? — zaśmiał się Jonathan. Potrząsnęła głową.

— Widziałeś go kiedy?

— Nie.

— A Jack widział?

— Nie wiem. Nie sędzę. Howard Pam mieszka w Los Angeles i jest już w sędziwym wieku. Podejrzewam, że od dawna nie zajmuje się firmą.

Humor trochę się jej poprawił, ale wciąż wyrzucała sobie tę podatność na cudzy wpływ. Skoncentrowała się na własnej satysfakcji z powrotu do gry i na chęci udowodnienia samej sobie, że wciąż potrafi się odnaleźć w trudnych sytuacjach i odnosić sukcesy tam, gdzie inni zawodzą, i to ją całkiem zaślepilo. Nie zauważyła, że Mary Ford wykorzystuje ją tak samo jak wszystkich.

Julia Einstein: również zaślepiona chęcią powrotu.

12.

Pięć dni przed rozpoczęciem trasy promocyjnej Jack wezwał Julię do siebie. Tak jak przewidywała Mary, poinformował ją o zmianie planów — Julia miała go zastąpić podczas podróży. Mówił to powoli i z wyraźną ulgą. Kiedy Julia opowiadała o tym Peterowi, uświadomiła sobie, że Jack przypominał wówczas samolubnego, przerażonego tchórza, gotowego za wszelką cenę ratować własną skórę.

— Myślisz, że dasz sobie radę?

— Oczywiście.

Jack Maniak. Jack Strachajło.

W sobotę Julia miała zabrać Mary na pierwsze spotkanie w Bloomingdale's na Long Island (ich sklep na Manhattanie zrezygnował z organizacji imprezy), w poniedziałek miały lecieć do Waszyngtonu i Atlanty, a na kolejny tydzień przewidziane były Boston, Chicago, Detroit i Miami.

Z powodu tej nagłej zmiany planów Julia z Jonathanem musieli w stosunkowo krótkim czasie pozałatwiać mnóstwo spraw — zmienić rezerwacje lotów i hoteli z Jacka na Julię, podać jej numer telefonu wszystkim wypożyczalniom limuzyn, dyrektorom domów handlowych, stylistom i wizażys-tom.

Ponieważ Julia chciała jak najszybciej mieć to za sobą, zamiast iść na lunch, zamówiła do biura zestaw, który stał się już niemal ich „specjalnością”: kanapki z pełnoziarnistego chleba z tuńczy-

kiem, dietetyczną colę dla niej i puszkę gazowanego napoju z winogron dla Jonathana.

Gdy zadzwoniono z recepcji, że jedzenie jest do odebrania, Julia wręczyła Jonathanowi dwudziestkę, którą on szybko wymienił na kilka papierowych toreb i wrócił na górę. Rozłożyli na biurku serwetki, plastikowe widelce i kandyzowane owoce specjalnie dla Jonathana. Julia z rozczuleniem patrzyła na fioletowe krople napoju winogronowego w kącikach jego ust. Wyglądał z nimi jak nastoletni Joker.

— Uwielbiam kanapki z tuńczykiem — powiedział Jonathan, rozwijając papier.

— Ja też — odparła Julia.

Większą przyjemność niż sama kanapka sprawiało jej to, że Jonathan mówił „kanapka z tuńczykiem”, a nie po prostu „tuńczyk”. Poza nim jedyną osobą na świecie, która jeszcze tak precyzyjnie się wyrażała, była jej matka.

Julia zaczęła wspominać czasy, kiedy zabierała do szkoły kanapki z tuńczykiem w brązowej papierowej torbie, i właśnie wtedy zadzwoniła jej mama. Zrobiła to pierwszy raz, odkąd córka wróciła do pracy. Zwykle nie chciała przeszkadzać, więc to Julia dzwoniła do niej.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — zaczęła matka.

— Oczywiście, że nie — Julia dała Jonathanowi znak ręką, żeby zaczął jeść bez niej — właśnie jemy lunch.

— Jacy my?

— Ja i mój asystent.

— Ten z koralikami?

— Tak, ten z koralikami — roześmiała się Julia. Jonathan uniósł głowę znad kanapki i uśmiechnął się.

— Co jecie?

— Kanapki z tuńczykiem — odpowiedziała Julia z radością, pragnąc czym prędzej zacząć jeść swoją. — No więc, wszystko w porządku?

— Tak, tak. A Leo? Co teraz robi? — Prowadziły dokładnie taką samą rozmowę za każdym razem, gdy Julia dzwoniła do domu w dni, w które dziadkowie opiekowali się wnuczką. Była w tym przewidywalność, powtarzalność niczym z *Dnia świstaka*, dająca jej wyjątkowe poczucie bezpieczeństwa.

— Właśnie zjadł obiad.

— Co jadł?

— Makaron — matka należała do pokolenia, dla którego słowo „makaron”, a nie „pasta”, było nadrzędnym określeniem wszystkich posiłków Leo, niezależnie od ich rodzaju. — I paluszka rybnego. I jeszcze dwie kulki z macy.

— Zrobiłaś zupę? — zapytała Julia z nadzieją, że po powrocie do domu nie znajdzie w lodówce plastikowego pojemnika z rosółem bez zapachu, bez tłuszczu i bez soli.

— Nie, Peter zrobił. Pokazał mi swój nowy przepis... — urwała i Julia była pewna, że w tym momencie na twarzy matki pojawił się złośliwy grymas — ale dla mnie to bardzo *ungepaczket*, za dużo w tym składników.

To Julię rozbawiło. Peter uwielbiał słowo *ungepaczket* — czyli zbyt skomplikowane, drobiazgowo

— chociaż było to jedno z niewielu słów w języku jidysz, z których wymową miał problemy.

— Bo to jest takie *ungepaczkit* — mawiał.

— *Un-ge-pacz-KET* — poprawiała go matka.

— *Un-ge-pacz-KIT* — powtarzał.

— *Un-ge-pacz-KET* — poprawiał go ojciec.

— Tak czy owak — Julia wróciła do rozmowy z mamą — co Leo teraz robi?

— Bawi się z dziadkiem — odparła matka radośnie. — Udaje, że zasypia w środku zdania. Leo bardzo lubi tę zabawę. Zupełnie jak ty w jego wieku.

Julia uśmiechnęła się. Tak, uwielbiała się w to bawić.

— Leo przepada za dziadkiem — westchnęła jej matka.

— Za tobą też.

— Wiem, wiem — odpowiedziała matka lekceważąco, ale Julia czuła, że tym stwierdzeniem sprawiła jej wielką przyjemność.

Chwilę panowała niezręczna cisza. Wreszcie Julia zapytała:

— Ale chciałaś mi coś powiedzieć?

— Tak.

Wydało się jej, że słyszy dziwną zmianę w głosie matki, jakby próbowała zebrać odwagę do odpowiedzi.

— O co chodzi? Coś się stało?

— Nie, nie. Nic. Chciałam ci tylko podziękować.

— Za co?

Julia usłyszała odgłosy wydmuchiwania nosa i wyczuła uśmiech po tamtej stronie słuchawki.

— Za Leo.

Julia również wydmuchała nos, a potem usiłowała skupić uwagę na kartce, którą podał jej Jonathan. Była to informacja o tym, ile Legendy zgodziły się przyjąć domy towarowe w miastach leżących na trasie promocji. Wdzięczna i zachwycona jego skrupulatnością (uwzględnił nawet dokładne położenie każdego z działów kosmetycznych, tak że Julia powinna zrobić wrażenie bardzo dobrze przygotowanej), skinęła w podziękowaniu głową. Odpowiedział w ten sam sposób. Choć pracowali ze sobą zaledwie kilka tygodni, zdołali już wypracować własne zasady współpracy szefa z asystentem i potrafili rozumieć się bez słów, jak stare, dobre małżeństwo. Krążąc wokół siebie przez osiem, dziesięć, a czasem dwanaście godzin dziennie, niczym obcy sobie ludzie złączeni zorganizowanym przez rodziny ślubem, coraz lepiej się poznawali. Jonathan szybko się nauczył odgadywać jej potrzeby (kawa z pięćdziesięcioma procentami kofeiny z małą ilością mleka i cukru, żeby przebrnąć przez pierwszą połowę dnia, i duża mocca, żeby przetrwać drugą połowę) i rozpoznawać słabości (wyzwaniem były dla niej elektroniczne gadżety, jak komórki, laptopy, notebooki, iPody, nie była obeznana z językiem akademickich wykładów z dziedziny psychologii). Ona również szybko nauczyła się rozumieć jego (za darmowe jedzenie zrobiłby dla niej niemal wszystko, był zbyt miły, by móc kiedykolwiek zostać liczącym się graczem w branży rozrywki, za co lubiła go jeszcze bardziej).

Poza zmianami w organizacji podróży musieli jeszcze dopilnować, by spełnione zostały wymagania i instrukcje Mary Ford dotyczące jej wystąpień i zakwaterowania. Jedząc kanapki, oboje czytali siedmiostronicowy dokument z wykazem owych wymagań. „Na żadnym ze spotkań z Mary Ford nie należy używać składanych krzeseł ani stolików. Takie meble są nie tylko niewygodne, ale też urągają wrażliwości estetycznej pani Ford”. „Wszystkie stoły mają być nakryte białym obrusem w dobrym gatunku i ozdobione wazonem ze świeżo ściętymi kwiatami, wyłącznie białymi, z wyjątkiem lilii”.

Jonathan pociągnął kolejny łyk napoju z winogron, otarł usta wierzchem dłoni i zwrócił uwagę Julii na stronę numer dwa.

„Mary Ford dba o utrzymanie odpowiedniego poziomu płynów w organizmie, w związku z czym zawsze musi mieć pod ręką następujące napoje: 1) Fresca (schłodzona) w puszcze (nie w butelkach) i 2) butelkowana woda Volvie lub Smart Water (o temperaturze pokojowej). Żadne inne wody butelkowane ani butelki z zamknięciem «dla sportowców» nie zostaną zaakceptowane”.

Przerzucił kilka stron i znowu czytał na głos:

„Ponieważ pani Ford ma bardzo wrażliwy zmysł węchu, nie należy jej narażać na kontakt z intensywnymi zapachami”.

Odłożył kartki i spojrzał na Julię.

— Przecież ona ma zamiar promować perfumy! W działach perfumeryjnych domów handlowych. Jak można się „nie narażać na kontakt” z zapachami w dziale perfumeryjnym?

Julia pokiwała głową. Widziała już — i musiała spełniać — masę podobnych żądań. Lista Mary Ford, choć oczywiście irytująca, nie należała do najgorszych. Wszyscy w branży słyszeli o tym, że Mariah Carey żądała, by jej herbatę robiono tylko z wody Poland Springs i żeby do picia szampana podawano plastikowe rurki; że Cher domagała się osobnej garderoby tylko na peruki i że Jennifer Lopez — chyba najbardziej zmanierowana diwa ostatnich lat — żądała, by zapalano jej drogie francuskie świece o zapachu tuberozy nie tylko za kulisami, ale przy wszystkich przejściach prowadzących za kulisy, żeby ochroniarze zawsze zwracali się do niej per „Numer Jeden” i aby personel wszystkich hoteli i sal koncertowych był poinstruowany, że nie wolno spojrzeć jej w oczy, dopóki ona pierwsza nie zabierze głosu.

— Słynne osobistości — stwierdziła Julia — to duże dzieci, które pragną uwagi i ciągłych pochwał. Jonathan przełknął ostatni kęs kanapki i rozparł się wygodniej na krześle, z niemal już pustą puszką w lewej ręce. Julia dostrzegła na jego nadgarstku pod mankietem koszuli małą bransoletkę z włóczki. Nigdy wcześniej jej nie widziała, pomyślała więc, że to może prezent od dziewczyny, która pewnie jest wegetarianką o łagodnym usposobieniu, ale z kolczykami i tatuażami. Chętnie by go o to zapytała, jak też i o to, co zwykle robi po powrocie do domu, jakie programy telewizyjne ogląda i które filmy lubi, ale wiedziała, że nie mają czasu na pogaduszki.

— To się nazywa „nabyty narcyzm sytuacyjny”

— oznajmił, wyprostowując się na krześle. — Rodzice opowiadali mi o profesorze psychiatrii w Cornell, który zajmuje się sławnymi osobistościami. To on zdiagnozował i nazwał tę jednostkę. Klasyczny narcyzm to zaburzenie osobowości, które objawia się brakiem empatii, wybujałym fantazjowaniem, zwiększoną potrzebą akceptacji, izolowaniem się od społeczeństwa, popadaniem w depresję. Zaczyna się to prawdopodobnie gdzieś w wieku trzech

— czterech lat. W pierwszych trzech latach życia wszyscy jesteśmy z natury narcyzami, ale później powinniśmy zacząć bardziej realnie patrzeć na świat. Ludzie, którzy pretendują do statusu gwiazd, zwykle są bardziej narcystyczni niż inni — dodał, przesuwając torebkę z owocami kandyzowanymi w jej stronę, żeby się poczęstowała — ale dopiero gdy zaczynają odnosić sukcesy, zaczyna to przybierać formę prawdziwego zaburzenia osobowości.

— Albo gdy doznają porażek — wtrąciła Julia.

— Przebrzmiałe sławy są zwykle bardziej wymagające niż inni.

— Bo jest w nich więcej złości. I bardziej zależy im na utrzymaniu tego, do czego uważają, że mają prawo: sławy, fortuny, służalczości innych.

Sprzątając po lunchu, Julia opowiedziała jeszcze Jonathanowi o wymaganiach stawianych przez Joan Crawford podczas promocji pepsi-coli i kilku filmów, o czym kiedyś czytała: że szoferzy jej klimatyzowanej limuzyny marki Cadillac nie mogli przekraczać prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, gdy ona znajdowała się w sa-

mochodzie; że podróżowała z co najmniej piętnastoma torbami i że za każdym razem trzeba było wynajmować osobną furgonetkę i tragarza do transportu jej rzeczy z lotniska do hotelu, a w dokumencie z listą wymagań znalazło się stwierdzenie: „Powszechnie wiadomo, że pani Crawford jest gwiazdą pod każdym względem”. Przynajmniej takiego zdania nie było w papierach przedłożonych przez Mary.

Kiedy już mieli się zabrać do pracy, do gabinetu wpadła zaaferowana asystentka Jacka, Vicky.

— Agent Meredith Baxter Birney jest na linii. Jest wściekły — powiedziała.

— Kim jest Meredith Baxter Birney? — szepnął Jonathan.

Julia chciała mu odpowiedzieć — *Bridget Loves Bernie, Family Ties, Póki nas śmierć nie rozłączy* — ale widziała, że Vicky wpadła w panikę i potrzebuje pomocy.

— A gdzie Jack?

— Wszedł na lunch. Nie odbiera komórki.

— Cholera.

Julia przypomniała sobie, jak w zeszłym tygodniu Jack wspominał, że Meredith Baxter Birney miała kręcić w New Jersey reklamę linii produktów kosmetycznych. Pomyślała, że może chodzi o odwołany lot lub problemy z połączeniem w drodze z Los Angeles. Kiedy jednak odebrała telefon, wnioszkowała (a nie było to wcale łatwe przy tak złej jakości połączenia, bo agent był w samochodzie na autostradzie), że sytuacja wygląda o wiele gorzej.

— Pani Baxter Birney jest bardzo niezadowolona i zdenerwowana, bo podstawiono jej na lotnisko Newark białą limuzynę.

Julia czekała na dalszy ciąg: że w tej białej limuzynie zepsuł się silnik albo nie działa klimatyzacja, czy też kierowca nie żyje. Usłyszała natomiast tylko tyle:

— Białe limuzyny są dla pani Baxter Birney nie do przyjęcia, bo uważa je za wulgarne i tandetne. Ten warunek został przedstawiony panu DeMarco na piśmie jeszcze na początku naszej współpracy z Howard Pam Public Relations.

Julia nie wiedziała, co robić. Białe limuzyny, choć powszechne w Hollywood, na Manhattanie były rzadkością. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała taką w centrum. Ale to i tak nie miało znaczenia. W tym momencie liczyło się tylko to, że słynna osobistość — klient, przebrzmiała gwiazda — znajduje się w trudnej sytuacji, a zadaniem Julii jest naprawić tę sytuację jak najszybciej.

Przede wszystkim musiała się zorientować, co spowodowało, że wypożyczalnia samochodów z Manhattanu wysłała białą limuzynę zamiast czarnej. Dzięki temu, iż teraz codziennie w pociągu czytała gazetę, szybko uświadomiła sobie, że musi to mieć związek z Tygodniem Mody w Nowym Jorku.

Impreza ta przyciąga do miasta modelki i sławne osobistości w takiej liczbie, że większość wypożyczalni limuzyn musi korzystać z usług wypożyczalni w sąsiednich stanach regionu (na przykład w New Jersey), gdzie odbywa się dużo balów matu-

ralnych i niewiele osób ma awersję do białych limuzyn.

Zaraz potem zadzwoniła do Patricii. Gdy jeszcze pracowały w tej samej firmie, mając gabinety po przeciwnych stronach, zawsze do niej dzwoniła ze sprawami, których sama nie potrafiła załatwić od ręki. Chociaż za każdym razem musiała znosić irytujący ton kogoś, kto pozjadał wszystkie rozumy, to w tej chwili, jak i w innych podobnych sytuacjach, Julia schowała dumę do kieszeni.

Przełączyła agenta Meredith Baxter Birney na linię oczekujących, a na drugiej linii wybierała wszystkie numery Patricii po kolei, aż w końcu złapała ją pod numerem komórki. Patricia była właśnie u kosmetyczki, gdzie robiono jej jednocześnie manicure i pedicure, w takiej sytuacji jedna z pracownic salonu piękności musiała wyłowić telefon z jej torebki i przyłożyć jej do ucha.

Dowiedziawszy się o tym, Julia wzniosła wzrok ku niebu.

— Czy ona ciągle go trzyma?

— Poczekaj — roześmiała się Patricia. — Musi mi jeszcze zdjąć kolczyk z ucha, bo słabo słyszę.

— Głupio się czuję, wiedząc, że ktoś obcy trzyma ci telefon przy uchu.

— Czas to pieniądz — znowu zaśmiała się Patricia.

— Nie wpadłabym na to — odparła Julia. Siedząc w ponurym, ciasnym gabinecie, z zapasem karteczek samoprzylepnych, który mógłby jej starczyć na całe życie, ale bez porządnego pióra czy lampy, zdała sobie sprawę, że to tylko kwestia dni,

kiedy ona sama zacznie się zachowywać wobec Mary Ford tak samo służalczo jak dziewczyna z salonu piękności wobec Patricii.

Szybko jednak wróciła do sprawy życia i śmierci.

— Nie znasz jakiegoś kierowcy z czarną limuzyną w okolicach lotniska Newark?

— Znam. Mojego kierowcę.

— Twojego kierowcę? — Julia na chwilę zaniemówiła z wrażenia. — To ty masz kierowcę?

Patricia odchrząknęła i odparła:

— Ano mam.

Nagle Julia poczuła się bardzo mała, jakby jej sukcesy zawodowe i możliwości zmalowały do zera przez lata siedzenia z Leo w domu, gdy zupełnie nie obchodziło jej to wszystko, co pozostawiła za sobą. Teraz miała więcej wspólnego z Jonathanem Buchmanem niż z Patricią. W jednej chwili pożałowała, że cztery lata wcześniej rzuciła pracę, ale już w następnej po żalu nie zostało ani śladu.

— Ale to tylko sedan, nie stretch — wyjaśniła Patricia.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

— Podaj mi numer lotu. Zadzwońię do Maria i każę mu tam natychmiast pędzić.

Julia podała jej potrzebne informacje i opadła na krzesło. Czując jednocześnie wdzięczność jak i wyrzuty sumienia, że czasem podawała w wątpliwość intencje Patricii, choć przecież zawsze mogła na nią liczyć, podziękowała za pomoc.

— Nie ma za co.

— Jestem ci coś winna.

— Jesteś mi winna z setkę takich „cosiów”.

W końcu i Julia się roześmiała.

— Jak dostanę pierwszą wypłatę, stawiam lunch.

— Pozwól, by Leo został u mnie na noc i będziemy kwita —
odpowiedziała Patricia, zanim jej komórka się rozładowała.

13.

Julia jechała limuzyną po Mary Ford, z którą miała udać się do Bloomingdale's na Long Island. Właśnie zbliżali się do apartamentowca na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Broadwayu, kiedy zadzwonił telefon.

Jack.

Uznała, że szef pewnie chce jej przypomnieć o drugim śniadaniu dla Mary Ford — małych bułeczkach z wędzonym łososiem z delikatesów na rogu Madison i Sześćdziesiątej Dziewiątej, które odebrała jakieś dwadzieścia minut wcześniej. Albo chce się upewnić, że znalazła wybrany przez Mary napój dietetyczny Fresca o smaku grejpfruta, który cieszył się popularnością w latach sześćdziesiątych, ale obecnie był niemal nie do zdobycia. Razem z Radu — jej ulubionym kierowcą z Manhattan Limousine, który pamiętał ją jeszcze z czasów, gdy pracowała w CTM — spędzili ponad godzinę na gorączkowych poszukiwaniach napoju we wszystkich supermarketach na Upper East Side i Upper West Side, nim w końcu znaleźli dwa przykurzone sześciopaki w D'Agostino na rogu Broadwayu i Sześćdziesiątej Szóstej.

— Chciałem cię tylko o czymś poinformować — zaczął Jack.

— O czym?

— Rozmówiłem się z Mary.

Julia przytrzymała się, żeby nie spaść z długiego, gładkiego siedzenia limuzyny, gdy samochód przyhamował. Właśnie dojechali do apartamentow-ca i Radu wyszedł, żeby powiadomić portiera o ich przybyciu.

— To znaczy co zrobiłeś?

— To znaczy, że wszystko jej powiedziałem.

— Co dokładnie?

— Wszystko.

— Powiedziałeś, że perfumy śmierdzą i są skazane na niepowodzenie?

Jack nie odpowiadał.

— Nie w tylu słowach, ale tak, taki był sens — odezwał się po chwili.

Julia poczuła, jak krew odpływa jej z kończyn. Spojrzała przez szybę i zobaczyła portiera, który właśnie wyszedł na chodnik, żeby zrobić przejście dla Mary. Gwiazda kroczyła w stronę rzędu czarnych samochodów stojących przy krawężniku. Julia widziała to jakby w zwolnionym tempie: Mary sunie przed siebie niczym prehistoryczny gad z *Parku Jurajskiego*, każdym stąpieniem wprawiając ziemię w drżenie, a ona, z otwartymi z przerażenia ustami, siedzi uwięziona w samochodzie za przyciemnionymi szybami.

— Zwariowałeś?! — krzyknęła do telefonu. — To ja mam z nią spędzić sześć albo i siedem godzin uwięziona w samochodzie i potem na tej imprezie, a ty w takiej chwili postanawiasz się z nią rozmówić?!

— Słuchaj, utrzymywałem to w tajemnicy tak długo, jak mogłem. Lepiej, żeby się dowiedziała te-

raz niż w przyszłym tygodniu od jakiegoś sprzedawcy kosmetyków, kiedy będziecie same... — urwał i głośno westchnął. — Nie będzie miała do ciebie pretensji. Ty nie masz z tym nic wspólnego... dopiero zaczynasz. To na mnie będzie się wściekać.

Mary była już o kilka kroków od samochodu, a Julia jeszcze się zastanawiała nad wykrętną odpowiedzią Jacka. Oczywiście, sprytnie wytłumaczył wybór tak złego momentu, a jednocześnie, wzięwszy pod uwagę skłonność Mary do „rozszczepiania”, to wszystko mogło okazać się prawdą. Nagle dotarło do niej, że mówiąc o reakcji Mary na tę złą wiadomość, Jack użył czasu przyszłego. Zapytała go więc, jaka była odpowiedź Mary.

Chwilę milczał, po czym ściszył głos:

— Właściwie z nią nie rozmawiałem. Napisałem maila.

— Kiedy?

— Dziś rano.

— Odpisała?

— Nie wiem. Nie sprawdzałem.

Julia jeszcze chwilę wpatrywała się tępo w telefon, zanim go wyłączyła, nawet się z Jackiem nie żegnając. Mary doszła już do limuzyny i Radu właśnie otwierał jej drzwi. Na widok twarzy aktorki Julia już wiedziała, co ją czeka, gdy przez kilka godzin będzie zdana na jej towarzystwo. Wyobraziła sobie, że zsuwa się z długiego siedzenia limuzyny i wychodzi drzwiami z lewej strony w tej samej chwili, gdy Mary siada z prawej. Zanim jednak zdążyła pomyśleć o dalszym ciągu — jak rzuca się biegiem przez Broadway, potem przez park do dworca

Grand Central, by jak najszybciej dotrzeć do domu — poczuła gwałtowną zmianę ciśnienia atmosferycznego i siłę przyciągania ziemskiego. Mary Ford była w samochodzie.

— Gdzie ten idiota Jack? — odezwała się na powitanie, z zaskakującym brakiem giętkości pakując swoje okazałych rozmiarów cielsko na tylne siedzenie i prawie na kolana Julii. Była wysoką kobietą, miała ponad 177 centymetrów wzrostu. Jej niegdyś szczupła sylwetka poważnie się rozrosła przez te lata dzielące ją od szczytu sławy. Dlatego tak się jej spodobała wytworna zamszowa kurtka z kolekcji Donny Karan, która idealnie kamuflowała talię. Miała ją właśnie na sobie.

Julia nie odpowiedziała. Pomimo doświadczeń w równie trudnych sytuacjach, nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa.

Mary strzeliła palcami na wysokości jej oczu i dorzuciła:

— Hej, geniuszu. Zadałam ci pytanie. Gdzie ten idiota? Przysłał mi dzisiaj maila i mam ochotę odwołać całą tę podróż.

Zaskoczona nagłą zmianą w zachowaniu Mary, Julia nie wiedziała, jak zareagować. Czy powinna przyznać, że ona również uważa Jacka za idiotę? Czy raczej pominąć kwestię jego poziomu intelektualnego i po prostu odpowiedzieć na pytanie, gdzie on jest? Podczas gdy jej umysł w panice rozważał te możliwości, usta bezwiednie otwierały się i zamykały, łapiąc powietrze.

— Wyglądasz jak rozdymka — parsknęła Mary Ford. Dźgnęła Julię w delikatne miejsce na ramieniu i przedrzeźniając ją, kilkakrotnie otworzyła

i zamknęła usta. — Rozdymka, rozdymka, roz-dymka. Julia ponownie rozchyliła i zamknęła usta.

Uświadomiła to sobie, gdy cienka warstewka śliny na jej dolnej wardze obeschła od powiewu wywołanego „rybią mimiką”. Usiłowała znaleźć odpowiedź na pytanie Mary i zarazem ogarnąć umysłem fakt, że w porównaniu z pierwszym spotkaniem gwiazda zachowuje się jak wariatka. Gdy samochód włączył się już do ruchu, Julia po raz kolejny dostrzegła smutną ironię w tym, że tak wiele osób walczy o humanitarne traktowanie zwierząt i zapobieganie okrucieństwu wobec nich, a nikt nie upomina się o godziwe traktowanie pracowników reklamy — ludzi z krwi i kości — którzy są werbalnie molestowani i torturowani każdego dnia.

— No już... jedna rybka, druga rybka, tu najeż-ka, tam rozdymka. Wyduś to wreszcie — znowu burknęła Mary, szturchając Julię i pstrykając palcami.

Julia zaczęła masować miejsce na ramieniu, w które dźgała ją Mary. Przyszło jej na myśl, że pod cienkim żakietem i sweterkiem z kaszmiru na pewno zaczął się już tworzyć siniak.

— Jack miał do pani zadzwonić i uprzedzić, że nie da rady pani dziś towarzyszyć. Chyba po waszej rozmowie zrezygnował z udziału w podróżach — wreszcie udało się jej odpowiedzieć.

Mary wpatrywała się w nią chłodno.

— Jazda na Long Island to żadna podróż. Jak to nie da rady?

Julia była już zupełnie zdezorientowana. Myślała, że Mary nie chce, żeby Jack się pojawił!

— Sądzę, że chciał przez to powiedzieć, że nie będzie w stanie dzisiaj się do nas przyłączyć — wy-dukowała jeszcze raz to samo, ale innymi słowami.

— No to pięknie — skomentowała Mary i tak energicznie odrzuciła głowę w tył, że aż uderzyła w skórzany zagłówek. — Jack DeMarco zajmuje się układaniem zgrabnych zdań i nie ma czasu towarzyszyć Mary Ford w jej wielkiej imprezie promocyjnej w Bloomingdale's — roześmiała się gorzko, odgarnęła kosmyk jasnych włosów za prawe ucho, i nim Julia zdążyła się odsunąć, znów ją zaatakowała.

— To czego on teraz chce? Kuksaniec.

— Cholerneho... Kuksaniec.

— Zaproszenia w kilku językach? Kuksaniec.

Julia zamrugnęła, usiłując nie zwracać uwagi na narastający w niej niepokój i ból.

— No...

— To było pytanie retoryczne, idiotko — Mary wydeła usta z pogardą.

Potem spojrzała na siedzenia zwrócone tyłem do kierunku jazdy takim wzrokiem, jakby nagle pojawiła się na nich widownia, i dodała:

— Ona to idiotka, a jej szef to oferma.

Twarz Julii znieruchomiała w sztucznym uśmiechu, do jakiego często uciekają się pracownicy reklamy, kiedy nie wiedzą, co powiedzieć i jak się

zachować. Między łopatkami pojawił się ból, który promieniował w stronę krzyża.

— Jack Raz Dwa dziś rano bombarduje mnie informacjami o tym, że moje perfumy to katastrofa, a potem znika.

Obciągnęła zamszową kurtkę i poprawiła kołnierzyk jedwabnej bluzki, też skradzionej, po czym zwróciła się do Julii:

— Wystąpienie gdzieś na Long Island zamiast na Manhattanie!

Powinnam zostać w domu i oglądać *Spotkania z prasą* z tym małym zdrajcą George'em Porgiem Stephanopoulosem — ciągnęła, podnosząc jakiś nie istniejący kłaczek ze spodni, a potem zaczęła wyglądać przez szybę. — Raz go spotkałam. W Kennedy Center. Oboje zostaliśmy wtedy nagrodzeni za wkład w działalność Partii Demokratycznej. Jest raczej niski.

I znowu Julia nie wiedziała, jak zareagować na taki komentarz.

Czy powinna powiedzieć, że oczywiście nie posiada wiedzy z pierwszej ręki w kwestii wzrostu George'a Stephanopoulosa, gdyż nigdy osobiście go nie spotkała, ale oczywiście zawsze słyszała, że jest niski i w telewizji wygląda na niskiego? Czy zwrócić Mary uwagę, że przekreśliła nazwę programu — bo chodziło o *Tydzień z Geor-geem Stephanopoulosem*, a nie o *Spotkania z prasą* — zakładając, że zrobiła to specjalnie, żeby Julię przepytac w kwestii znajomości mediów (która nie była już tak dobra jak kiedyś)? Czy też naprawdę popełniła błąd, a w takiej sytuacji niezręcznie byłoby ją poprawiać? Nim Julia zdążyła dojść do jakiegokolwiek wniosku, Mary wróciła do tematu Jacka.

— Jack Raz Dwa ze mną gra, Jack Raz Dwa nie wygra.
To była już kolejna rymowanka tego dnia. Czy takie dziecięce rymowanie w tym wieku nie jest oznaką psychozy? A może schizofrenii? A jeśli tak, to skąd w ogóle brały się te wierszyki? I dlaczego powinniśmy czytać je dzieciom? Wszystkie te pytania kłębiły się w głowie Julii, gdy zaczęła wyjaśniać — a właściwie kłamać — jak bardzo Jackowi było przykro, że nie będzie obecny, i jak bardzo chciał jej towarzyszyć (Jack nie prosił Julii o zapewnianie mu alibi, ale zakładała, że nie oczekuje od niej wyznania prawdy: „Mam już dość tej wiedzy na ten tydzień”).
Mary znowu ją szturchnęła.

Radu, którego fryzura na jeża i smutne oczy zawsze kazały Julii myśleć, że ma za sobą obóz dla internowanych lub jakieś inne okrutne przejścia, wyglądał na zaniepokojonego. Choć jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, Julia widziała, że z z troskaniem spogląda w lusterko wsteczne przed wjazdem do tunelu Midtown.

— Mam nadzieję, że Jack pamiętał o mojej Fresce.

Kuksaniec.

— I bajgielkach. Kuksaniec.

— Inaczej pewnie musiałabym zjeść ciebie. I nawet nie musiałabym cię przedtem tuczyć.

Kuksaniec.

Wtedy wjechali do tunelu. I zapadła ciemność.

Gdy Radu w końcu, tuż po piętnastej, zatrzymał się przed domem Julii w to słoneczne sobotnie popołudnie październikowe, wysiadł i szarmancko otworzył jej drzwi. Zgięty niemal wpół, wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej się wydostać z limuzyny.

— Jeszcze nigdy — szepnął dyskretnie — nie wozilem kogoś tak złośliwego jak pani Ford.

Gdyby nie to, że chciała jak najszybciej uciec od tego auta i całego dnia, Julia może bardziej wylewnie pożegnałaby się z Radu. W końcu był jedynym świadkiem tych prawdziwych tortur, których doświadczyła — oczywiście tylko tych zadawanych jej w samochodzie w ciągu czterech godzin jazdy, a nie tych, z którymi miała do czynienia przez dwie godziny samej imprezy. Za to czuła dla niego dozgonną wdzięczność.

Szybko przeszła przez trawnik, który Peter już skosił, zgrabił i wyrównał z właściwą sobie uwagą i precyzją. Skinęła głową w stronę Bobby'ego Bartha — sąsiada, który zawsze zdawał się być w pobliżu — i z kluczami w dłoni, zgodnie z dynamiką „nowej płynności”, weszła do domu — tej sprawnie zarządzanej, dobrze naoliwionej maszyny, kuchennymi drzwiami.

Pomyślała, że może będą musieli z tego domu zrezygnować — sprzedać go, porzucić, zostawić — jeśli nie uda się jej wynegocjować zmiany warunków umowy z Jackiem.

„Zrozumiem, jeśli będziesz mnie musiał zwolnić, ale, niestety, nie dam rady podróżować z Mary Ford” — powtarzała w myślach zdanie, które uło-

żyła sobie jeszcze w limuzynie w drodze do domu z Upper West Side, gdzie wysadzili Mary. Wrzuciła klucze do małego wiklinowego koszyczka, na którym Peter napisał „Klucze”, włożyła torbę do dużego koszyka na podłodze, na którym Peter napisał „Torby”, i ruszyła w stronę salonu. Ostrożnie ominęła dwa wozy strażackie, trzy śmieciarki i coś, co wyglądało na całą ławicę krakersów w kształcie rybek, ułożonych równiutko jedna za drugą (głowy do ogonów), ciągnącą się od holu do kuchni. Podświadomie ucieszyła się, że Peter nie zdążył tego sprzątnąć, bo dzięki temu czuła, jakby uczestniczyła w zabawach synka. Nagle dopadła ją senność, niemal odrętwienie. Było to znane jej uczucie, które ogarniało ją zawsze po zwiększonej produkcji adrenaliny. Teraz, w wieku trzydziestu sześciu lat, wydało się jej to zbyt wielkim obciążeniem dla serca. Nie miała sił ani ochoty, żeby zdjąć z siebie ubranie (choć cały dzień strasznie się w nim pociała) i włożyć ulubione luźne białe spodnie do uprawiania jogi, w których w zasadzie nigdy nie ćwiczyła, oraz luźny podkoszulek, zamówiony kiedyś w nocy przez Internet, gdy była w ciąży i nie mogła zasnąć. Osunęła się na dużą szarą kanapę. Wykosztowali się na nią, zanim jeszcze Peter stracił pracę. Kanapa zaczęła już służyć jako parowozownia wsędo-bylskich pociągów, o czym Julia przekonała się boleśnie, czując ukłucie w lewy pośladek. Zamknęła oczy i powtarzała: „Zrozumiem, jeśli będziesz mnie musiał zwolnić, ale, niestety, nie dam rady towarzyszyć Mary Ford”.

Zawierała się w tym zdaniu elegancka prostota haiku i Julia była przekonana, że gdyby nie to, iż szlifowała tę kwestię i powtarzała ją w myślach niczym mantrę przez całą drogę na FDR Drive, na moście Triborough i na Dziewięćdziesiątej Piątej, musiałyby zatrzymać samochód i zwymiotować gdzieś na poboczu.

Wiedziała, że Peter i Leo wyszli gdzieś po południu — na plac zabaw, do centrum handlowego czy do tego okropnego centrum zabaw dziecięcych, gdzie nie było ani jednego centymetra kwadratowego podłogi, na który jakieś dziecko by nie naki-chało, napłuło czy nasikało. Siedziała wyczerpana na kanapie, ciągle w kostiumie, swetrze i butach na obcasach. Za jej głową na stoliku znajdował się telefon, który się właśnie ładował. Podniosła go i spróbowała połączyć się z Jackiem.

Nie odbierał.

Oczywiście, że nie odbierał.

Jasne, że nie chciał słuchać jej skarg — *Wrzeszczała na mnie! Krzyczała na mnie! Myślałam, że mnie pobije!* — skoro to był jego pomysł, żeby Julia jeździła z Mary Ford.

Wiedziała, że rozmowa z szefem nie będzie łatwa. Do tej pory jedynym, co w życiu rzuciła, było palenie, no i poprzednia praca (przed urodzeniem Leo), co wyraźnie świadczyło o tym, że nie przywykła do drogi na skróty. Tym razem jednak droga po najmniejszej linii oporu wydawała się jej jedyną możliwą linią postępowania. Tylko ucieczka była możliwa.

Było już po szesnastej, kiedy wreszcie Jack odebrał telefon. Gdy usłyszała jego głos — po tylu próbach, że już niemal straciła nadzieję — Julia była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nie wiedziała, jak zacząć.

Po wymianie grzecznościowych powitań zapadła niezręczna cisza, którą Julia odebrała jako wyraz wyrzutów sumienia i współczucia z jego strony. Było to zupełnie niespodziewane i wzruszające. Uznała reakcję Jacka za znak, że chociaż od początku niemal bez przerwy się spierali, jest on jednak zdolny do ludzkich uczuć.

Przemknęło jej nawet przez myśl, żeby przemilczeć, to co chciała powiedzieć. Wtedy on zaczął wypytywać: Ile przyszło osób? Ile Legendy sprzedano? Czy pojawili się dziennikarze, których błagaliśmy o przyście (jeden z „Associated Press”, którego materiały nigdy się nie ukazują, i jeden z „CBS This Morning”, którego audycje nigdy nie pojawiają się na antenie, ale obaj posiadają oficjalne legitymacje dziennikarskie, dzięki czemu my mamy czyste sumienie, że zrobiliśmy swoje)? Nagle wszystkie wspomnienia wróciły — wszystkie te niegodziwości, poniżenia, upokorzenia — i drwiąc sobie z niej, parły naprzód, wprost do centrum jej mózgu, niczym hałaśliwa orkiestra dęta na paradzie:

Oto dwieście osób w kolejce na zewnątrz i trzysta w kolejce wewnątrz. Julia musiała przecisnąć się z Mary do środka domu towarowego.

— Idiotko, powinnaś była iść pierwsza i torować mi drogę, a nie wlec się za mną.

Oto wszystkie te małe karteczki samoprzylepne z nazwiskami klientów, które Julia wyjmowała z pudełek Legendy przed podaniem ich Mary.

— Wolniej. Szybciej. Przestań się ruszać jak wyjęta z wody rozdymka.

I informowanie jej, jakie nazwisko ma napisać na pudełku swoim dużym piórem Sharpie, żeby każde było przeznaczone dla konkretnej klientki.

— Głośniej. Nie słyszę, co mówisz. Zamknij się. Nie słyszę ani słowa z tego, co mówi klientka.

Oraz jak to napisać.

— Czy to Catherine przez „C” czy „K”? „Mirran-da” przez dwa „r”? Jaki głupek pisze „Mirranda” przez dwa „r”?

I ta nieszczęsna puszka napoju Fresca, którego temperaturę i ilość Julia bezustannie sprawdzała.

— Jest za ciepła. Jest bez gazu. Przynieś mi nową puszkę.

No i ostatnie, ale nie mniej ważne: słowa, które Mary skierowała do Julii, kiedy wsiadały z powrotem do limuzyny:

— Radzę ci wziąć się do roboty, bo inaczej nie przetrwasz ze mną nawet jednego dnia.

Julia wiedziała, że to jest ta chwila, w której zostanie wysłuchana. Chciała powiedzieć Jackowi to, co ćwiczyła tak długo w samochodzie, ale nagle poczuła w głowie pustkę. Prosta elegancja haiku zniknęła, a na jej miejscu pojawiły się zupełnie inne słowa:

— Możesz mnie wywalić, jeśli chcesz! — krzyknęła w momencie, gdy drzwi się otworzyły i poja-

wił się w nich Peter z przewieszonym przez ramię śpiącym Leo
— ale za nic w świecie nie pojedę już
nigdzie z tym pieprzonym babskiem!

14.

Jack oczywiście jej nie wylał. A Julia oczywiście miała nadal towarzyszyć Mary.

Ona potrzebowała pracy, on potrzebował jej, a żadne z nich nie miało w dłoni odpowiednio silnej karty przetargowej.

Julia na taką wyprawę musiała sobie kupić ubrania, więc część cennego czasu w sobotę poświęciła na zakupy. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach (kupowanie ubrań do noszenia w domu) było to desperackie przedsięwzięcie, a już w tej sytuacji (kupowanie ubrań do pracy) zakupy były rzeczą tak straszną, że wolałaby poddać się zabiegowi usuwania kamienia nazębnego, niż włóczyć się po centrach handlowych White Plains i Lochman's i tracić pieniądze na niedrogą „odzież służbową”.

Pozostałą część dnia spędziła na przeglądaniu zawartości zestawu podróznego z Container Store. Nie tknęła tego kuferka, odkąd go przyniosła, ponieważ przypominał jej kolację z Patricia i to, że zachowała się jak ostatnia idiotka, okazując wówczas taki entuzjazm dla wygranej.

Rozkładając, zwijając i przekładając rzeczy na pierwszy od lat wyjazd służbowy, żałowała, że Container Store nie dołączył do zestawu „pojemnika na dziecko” (wyobraziła sobie coś mniej więcej dwa razy większego niż klatka dla kota, wykonanego z czarnego nylonu, z otworami na dopływ powię-

trza, z solidnym paskiem na ramię i mnóstwem kieszeni na zabawki i przekąski). Skoro nie mogła zabrać Leo, spędziła niedzielę na wpatrywaniu się w niego i robieniu mu zdjęć, które Peter ładował do jej laptopa, żeby mogła je oglądać podczas pobytu w hotelach.

Późnym popołudniem wybrała się z Leo do Lisy. Chciała tym sposobem upiec aż trzy pieczenie przy jednym ogniu: pobyc z Leo, pozwolić Leo pobawić się z Batmanem, a przede wszystkim dowiedzieć się, co się zmieniło, odkąd przestała bywać w przedszkolnych kręgach.

— Żadnych nowin — powiedziała Lisa, energicznie potrząsając głową. — Kiedy mi wreszcie uwierzysz, że tutaj nigdy nic się nie dzieje?

— Przecież mieszkamy w Larchmont, nie na Księżycu. Musiało mnie coś ominąć.

Lisa westchnęła znacząco. Julia wiedziała, że koleżanka myśli: „Równie dobrze mógłby to być Księżyc”, i udaje, że wysila pamięć.

— Oczywiście, jeśli pominąć fakt, że wszystkie jesteście zachwycone twoim mężem.

Julia roześmiała się i machnęła ręką.

— Coś ty! Daj spokój!

Lisa chwyciła Julię za ramię.

— Ale mówię serio. Zupełnie jakby był jedną z nas. Tylko lepszą. Bo jest taki zorganizowany. A nawet uczy nas, jak się do niego pod tym względem upodobnić. Ostatnio przez kilka śród z rzędu po odstawieniu dzieci zabierał nas do Container

Store i pomagał wybrać takie rzeczy, jak tablica magnetyczna i różne gadżety do segregowania materiałów, żebyśmy mogły zrobić własny „organizator rodzinny”.

— A co to takiego?

Lisa jeszcze mocniej ścisnęła ramię Julii, zbyt przejęta, żeby pomyśleć o poluzowaniu uścisku.

— To taki segregator, do którego wkładasz plastikowe, barwne strony działowe, koszulki na wizytówki i inne takie rzeczy, dzięki którym możesz mieć wszystko w jednym miejscu: od formularzy ubezpieczeniowych po broszury o obozach letnich i ulotki o posiłkach na wynos. Potem jeszcze pomoże każdej z nas zrobić wykres płynności gospodarstwa. Chce, żebyśmy zaczęły myśleć o czasie jak o kolorowych blokach i tym sposobem mogły zobaczyć Obraz Całości.

Julia uwolniła ramię z uścisku Lisy, tak że mogła już napić się kawy, i popatrzyła na chłopców, bawiących się w holu między kuchnią a salonem. Mogłaby przysiąc, że Leo wygląda na wyższego, starszego, odmienionego. Jeśli to miał być Obraz Całości — świadomość, że traci coś tak ważnego jak możliwość śledzenia rozwoju syna — to nie chciała go oglądać. Chciała widzieć tylko obrazek chwili — maleńki kadr, który stale miała w pamięci i przywoływała, gdy zamykała oczy, siedząc przy biurku, w samolocie czy wtedy, gdy Mary Ford cmokała po jedzeniu. Był to obraz Leo w pizamce, ze zmiętoszonym kocykiem w jednej ręce i pociągami w drugiej, wpatrującego się w nią wzrokiem

tak pełnym miłości, jakby kochał ją najbardziej na świecie.

* * *

Wieczorem, gdy Julia zajrzała do pokoju Leo, dłużej niż zwykle przyglądała się jego twarzyczce — łagodnej, spokojnej i niewinnej we śnie, spoczywającej na poduszce obleczonej w poszewkę z wzorami strażackimi. Przykryty był kołderką z kolekcji Pottery Barn Kids, którą podarowała mu Patricia, gdy przenieśli go z kołyski do łóżeczka. Julii ciężko było oswoić się z myślą, że następnego dnia wyjedzie na cały tydzień. Odkąd Leo się urodził, nigdy nie spędziła bez niego nawet jednej doby. Nie wyobrażała sobie, jak zniesie tę rozłąkę.

— Wytrzymasz — powiedział Peter, gdy usiadła obok niego na kanapie.

— Nie, nie wytrzymam.

— Wytrzymasz. Będziesz zajęta całe dnie i ani się obejrzysz, a już będziesz z powrotem.

Peter miał rację. Doceniała jego troskę i chęć podniesienia jej na duchu, a mimo to miała ochotę rzucić się na niego z pięściami. Łatwo mu tak mówić, bo to nie on rozstaje się z Leo na tyle dni, by być torturowanym i wykorzystywanym niczym zwierzę. Równie przykre było dla niej to, czego nie powiedział wprost, ale co wynikało z jego rozumowania: że Leo wytrzyma bez niej.

— Lisa opowiedziała mi o waszej grupie — dodała takim tonem, jakby przyłapała go na kłamstwie.

— Jakiej grupie?

— Grupie z Container Shop. Zabierasz Lisę, Pinar, Monikę i Hilary na zakupy, żeby usprawnić ich organizację. Zdaje się, że nie wleciesz się w ogonie, a wręcz przeciwnie, stałeś się przywódcą.

— To niezła zabawa.

— Kto by pomyślał, że bycie niepracującym rodzicem to taka świetna zabawa? — odparła z goryczą w głosie.

Albo nie wyczuł jej tonu, albo udał, że nie zrozumiał.

— Opowiadała ci o naszym planie?

— Jakim planie?

— Żebyśmy się wszyscy przebrali na Paradę Ragamuffin w Halloween.

Była to impreza, która odbywała się w Larch-mont co rok.

— Tak, wspomniała.

— To dopiero będzie zabawa. *On znowu o zabawie.*

— A za co zamierzacie się przebrać? Za kolorowy Organizator Rodzinny? — Julia parsknęła śmiechem.

Peter jej zawtórował.

— Coś w tym stylu.

Im bardziej się ożywiał i cieszył, tym bardziej ją to denerwowało. Podczas gdy ona pozwala Mary Ford sobą pomiatać, Peter siedzi sobie w domu i zabawia się z innymi mamuškami!

— Czy ja też mogę coś zaproponować?

— Pewnie — odparł Peter tonem, jakby wcześniej taka myśl w ogóle nie przyszła mu do głowy. — Za co według ciebie powinniśmy się przebrać?

Julia wzruszyła ramionami.

— Muszę się z tym przespać.

— A jak cię nie będzie — ciągnął Peter — zrobię domek z piernika i zaniosę do przedszkola w Halloween.

Julia aż otworzyła usta.

— Ty chcesz zrobić domek z piernika? Wydawało mi się, że to ja mam go zrobić!

Peter wyglądał na zaskoczonego.

— Wiem, ale myślałem, że nie będziesz miała czasu. Przecież nie będzie cię w domu w tym tygodniu ani w przyszłym.

Gwałtownie wyrzuciła ręce w górę.

— Świetnie. Chrzanić to! — burknęła i wstała z kanapy.

Idąc w stronę schodów, czuła, że płoną jej policzki, jakby została uderzona w twarz. Tego było za wiele! To, że Peter będzie sam piekł domek z piernika według przepisu Marthy Stewart i zanieś go do szkoły, żeby się pochwalić wszystkim matkom, przelało czarę goryczy. Więcej nie była w stanie znieść! W jednej chwili odezwało się skrywane gdzieś w głębi serca poczucie winy pomieszanej z zazdrością i złością, że gdy ona ciężko zarabia na chleb, on siedzi w domu, gotuje i zyskuje coraz szersze uznanie. Pewnie, że to wygodna sytuacja: jest finansowo zabezpieczony i może rozwijać swoje zainteresowanie zajęciami domowymi. Usiłowała stłumić w sobie owo poczucie krzywdy, ale było już za późno — emocje tak nią zawładnęły, że ledwie mogła oddychać. W końcu to był jej pomysł, żeby w ubiegłym roku kupić ten zestaw

z katalogu Marthy Stewart, i to ona zrobiła domek po raz pierwszy. Poświęciła trzydzieści sześć godzin w ciągu sześciu dni i ponad dwieście dolarów na zrobienie cudownego wiktoriańskiego domku ze stromym dachem (importowane płatki lukrecji), nietoperzami zwisającymi z okapu (czarny lukier) i przytulnym blaskiem emanującym z okien koloru bursztynu (żaróweczka na baterię za twardymi jadalnymi „szybkami”). Leo jednak miał wówczas tylko dwa latka i był za mały, żeby docenić jej wysiłek. A ona tak była przejęta swoją rolą, tak bardzo pragnęła stworzyć mu dom, jakiego sama nie miała — gdzie jest wesoło, pachnie piernikiem, słysząc brzęk rzuconych z frustracją naczyń i wykrzykiwane w zdenerwowaniu przekleństwa — iż nawet nie spostrzegła, że on tego nie zauważa. Chciała to powtórzyć, gdy Leo będzie starszy. Dlatego latem, zanim jeszcze znalazła pracę, poprzysięgła sobie, że zrobi domek w październiku, gdy Leo skończy trzy latka. Teraz powinien to już docenić. A jeżeli nie on, to może Patricia.

Na początku sierpnia, gdy Julia załatwiała coś w mieście, zatrzymała się nawet przy biurze przyjaciółki i wyjęła kopertę z kolorowymi zdjęciami oryginalnego domku z piernika, które nosiła przy sobie jako ściągę w poszukiwaniu potrzebnych składników.

Patricia wyjęła jej z ręki fotografie i zaczęła je oglądać.

— Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć... Kto był przy tobie, jak postanowiłaś wynieść się z miasta i rzucić pracę... ? I nawet słowem nie da-

łam ci do zrozumienia, że popełniasz największy życiowy błąd. Ale muszę to powiedzieć... aż mi się nie chce wierzyć, że zajmujesz się takimi bzdetami. Julię oburzyły te słowa. Patricia zawsze była zgryźliwa, gdy czuła się niepewnie. Tym razem cios padł chwilę po tym, jak Julia rzuciła okiem na zdjęcia: aż się zdziwiła, bo wcześniej nie zauważyła, że na dwóch jest Leo. Uśmiechnęła się z dumą. Mogłaby z czystym sumieniem powiedzieć, że jej pierwszy w życiu domek z piernika był jednym z osiągnięć, z których była dumna tak samo jak z ukończenia college'u, przebrnięcia przez kampanię z Fay Dunaway i przetrwania niewygód ciąży, w której przytyła dwadzieścia siedem kilogramów.

* * *

Kiedy weszła do sypialni, piżamka Leo leżała pod jej poduszką i w całym pokoju widać było ślady jego obecności — pociągi i samochodziki Matchbox, skarpetki i książeczki na szafce nocnej i na podłodze. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak wyglądały popołudnia i wieczory, gdy nie było jej w domu: Leo i Peter jedli razem kolację, wchodzili na górę, żeby się wykapać, a potem spędzali jakąś godzinę na wspólnym czytaniu książek i zabawach w dużym łóżku. Świadomość, że Peter zastępował ją tak sprawnie i skutecznie, była bolesna. Równie dobrze mógł jej wbijać kołek w serce.

Z piżamką Leo w rękach próbowała zrozumieć, czemu czuje się tak podle. Przecież powinna się cieszyć, że jej mąż bardzo dobrze sobie radzi w roli kury domowej, w której tak nagle został obsadzony.

Powinna się cieszyć, że może wychodzić rano do pracy, nie troszcząc się o takie rzeczy, jak choćby karmienie dziecka. Powodem do zadowolenia powinien być także fakt, że może wyrwać się z domu, w którym tkwiła trzy długie lata, że ma okazję wrócić do zawodu i spędzić trochę czasu w „prawdziwym” świecie. Prawda?

Czemuż więc, mimo że powinna się cieszyć, czuła się tak podle?

Zanim znalazła odpowiedź, wszedł Peter. Usiadł na krawędzi łóżka i powiedział:

— Przepraszam.

— Za co?

— Mogłem przewidzieć, że domek z piernika cię rozgniewa. To był twój pomysł, twoja specjalna zabawa z Leo. Nie powinienem ci tego odbierać.

— Nie przepraszaj. Głupio się zachowałam. Przecież to dobrze, że masz ochotę go zrobić.

Nigdy nie mogła się nadziwić, dlaczego z takim trudem przychodzi jej przeproszenie. Peter robił to z łatwością i w sposób pełen prostoty, nawet gdy — jak w tym momencie — nie musiał.

Skinał głową.

— Wiem, że ci ciężko. Powrót do pracy, upierdliwa pani Ford... Ale mnie też nie jest łatwo. To znaczy... no popatrz... przecież... jestem bezrobotny. Jestem bez pracy już ponad siedem miesięcy. Kto wie, kiedy coś znajdę.

Mocno chwyciła go za rękę.

— Nie jesteś fajtłapą. I masz przecież w życiu cel. Jesteś ojcem Leo. I to piekielnie dobrym.

— I co z tego?

— Jak to — co z tego?

— To nikogo nie obchodzi. Jestem facetem bez pracy. Kurą domową. Patologicznie zorganizowanym facetem, który zabiera okoliczne mamuśki do sklepu z pojemnikami.

To ostatnie określenie sprawiło, że Julia wybuchnęła śmiechem.

— Kto cię tak nazwał?

— Lisa.

— Jest po prostu zazdrosna.

— O co?

— O to, że jesteś tak przydatny.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Jej męża nigdy nie ma w domu. Wzruszył ramionami, jakby zupełnie o to nie dbał, ale widać było, że te słowa sprawiły mu przyjemność i wyraźnie poprawiły nastrój.

— Poza tym na pewno znajdziesz pracę. Musimy cierpliwie czekać, a wszystko się ułoży, zobaczysz — podniosła jego lewą dłoń i pocałowała. Poczwała na wargach chłód obrączki. Jego palce pachniały mydłem. Pomyślała, że wkrótce będą pachniały goździkami, imbirem, ciastem piernikowym, a paznokcie zabrudzą się spożywczymi barwnikami. Im bardziej wyobrażała sobie, jak sfrustrowany Peter klnie na czym świat stoi, kiedy pierwszy kawałek ciasta nie chce się rozwałkować na taką grubość albo szerokość, żeby pasował do foremki fasady, i dochodzi do wniosku, że ten cały projekt go przerasta, tym bardziej się uspokajała.

— No więc zrób to — powiedziała, wciągając go do łóżka. — Naprawdę chcę, żebyś to zrobił.

Opuścił głowę. Powoli nią pokręcił.

Pomimo nabytego „judaizmu sytuacyjnego” wciąż był prawdziwym katolikiem, skorym do odczuwania winy i wstydu.

— No, proszę. Chcę, żebyś trochę pocierpiał.

Roześmiał się.

— A to cię czeka, kiedy spróbujesz roztopić cukier w wodzie, żeby otrzymać płyn bursztynowej barwy, który będziesz chciał wlać na szyby... A on ci wyschnie i się skryształizuje i będziesz musiał wszystko wywalić i jeszcze powtórzyć ze cztery razy, zanim ci się uda.

— To może powinienem kupić jeden z takich zestawów ze ścianami i dachem, które wystarczy tylko połączyć.

— O nie, nie ma mowy — odparła Julia. Od dawna nie bawiła się tak dobrze jak teraz, gdy wyobraziła sobie Petera męczącego się z domkiem, który niefrasobliwie nazwał „starannym wypiekami świątecznym”, kiedy zrobiła go w poprzednie Halloween.

— Ale kiedy już zbudujesz i poskładasz piernikowy domek — dodała — nie zapomnij o poprawie płynności!

Ciągle się śmiejąc, pocałował ją w czoło i sturlał się z niej na własną stronę łóżka. Potem zamknął oczy i ziewnął. Leżeli tak w błogiej ciszy jakiś czas, aż Peter westchnął głęboko.

— Ale jestem zmęczony — powiedział.

— Ja też.

Obrócił się w jej stronę.

— To dobrze.

Julia odwróciła się do niego.

— A to co ma znaczyć?

Uśmiechnął się blado, nie otwierając oczu.

— Ze jestem zbyt zmęczony, żeby... no wiesz... co robić.

Wsparała głowę na łokciu.

— A kto powiedział, że ja chcę coś robić?

— Myślałem, że próbowałaś wprawić mnie w nastrój — przysunął się bliżej, ale Julia nie pozwoliła mu się przytulić. —

Bo nie robiliśmy tego ani razu, odkąd zaczęłaś pracować.

— Ty myślałeś, że ja chcę wprawić ciebie w nastrój? A ja myślałam, że to ty chcesz wprawić w nastrój mnie. Bo kto na kim leżał? — nie była zachwycona tak formalnym podejściem do sprawy, ale chciała sprytnie wybrnąć z sytuacji. Czuła się trochę niezręcznie, i to nie dlatego, że była w nastroju, a Peter odtrącił jej awanse, ale dlatego że właśnie nie była, a on i tak je odtrącił. To zresztą i tak nie miało znaczenia, bo po chwili oboje mocno spali, tuląc się do siebie, jakby jutro nie miało nadejść. Był to jeden z niedawno przez nich odkrytych cudów małżeńskiego życia: mocny, uzdrawiający sen.

15.

Następnego ranka na lotnisku La Guardia, czekając na samolot do Waszyngtonu, Julia czuła się, jakby za chwilę miała trafić na szafot.

Ona i Mary weszły na pokład pierwsze. Mary natychmiast poinformowała stewardesę, że chce siedzieć z przodu, przy wyjściu awaryjnym. Ruszyła w stronę okna i jeszcze zanim usiadła, z głową lekko pochyloną, by nie uderzyć w szafkę, a już uczepiła się Julii:

— Nawet nie znam twojego nazwiska.

Julia uśmiechnęła się. Jej nazwisko widniało u góry każdej strony harmonogramu, który wręczyła Mary w limuzynie, gdy wracały z Long Island. Oczywiście nie miała zamiaru zwracać na ten fakt uwagi.

— Bo chyba masz jakieś? Czy może należysz do tych idiotów, którzy zawsze ze wszystkimi są na „ty”?

— Einstein.

Mary aż uniosła brwi ze zdziwienia.

— Einstein? Jak Albert?

Julia nie mogła powstrzymać uśmiechu. Odkąd pamiętała, spotykała się z takimi reakcjami, i po raz kolejny pomyślała, że chyba powinna zacząć to inaczej wymawiać — może Einsteen — żeby unikać takich komentarzy.

— Nigdy nie zrozumieć, dlaczego na rejsach wahadłowych nie ma pierwszej klasy — powiedziała

Mary na tyle głośno, aby słyszały ją obie stewardesy stojące w pomieszczeniu kuchennym. — Dla senatorów, kongresmenów, dziennikarzy i gwiazd filmowych... bo przecież latamy na tej trasie tam i z powrotem... mogliby nam stworzyć godziwe warunki, z dala od hołoty.

Julia przywołała własną wersję idealnych warunków dla Mary: zamykana cela z dźwiękoszczelnymi drzwiami, gigantyczna kłódka, całodobowa ochrona i opieka medyczna. Szybko zdjęła czarny żakiet i wcisnęła go wraz z torbą na kółkach do szafki nad głową. Potem wsunęła torbę z dokumentami pod siedzenie. Wtedy Mary zaczęła rozkładać swoje rzeczy: pikowany płaszcz („Królowa Anglii nosi taki sam, więc znajdź na niego porządny drewniany wieszak...”), żółtą kosmetyczkę od Louisa Vuittona („Zawsze ją trzymam pod siedzeniem, zamknięciem w moją stronę, na wypadek, gdybym czegoś potrzebowała w czasie lotu...”), czarną torebkę od Prądy („Trzymaj. Powiem ci, jak będzie mi potrzebna...”), którą Julia nazwała w myślach kuferekiem Clausa von Bülowa*, a która jak się później okazało, zawierała środki higieny jamy ustnej (łącznie z pastą i szczoteczką w wersji turystycznej, nitką dentystyczną i wykałaczkami), używane przez Mary po każdym posiłku („Zęby to ostatni bastion młodości. Gdy ich braknie, to koniec”).

* Claus von Bülow — duński arystokrata, oskarżony . w 1982 r. w głośnym procesie o próbę otrucia chorej na cukrzycę żony. Najważniejszym dowodem w sprawie był czarny kuferek z lekarstwami.

Kiedy polecenia Mary zostały wykonane najlepiej, jak Julia umiała (co znaczy, ku wielkiemu niezadowoleniu gwiazdy), aktorka kazała wyjąć rozkład zajęć, bilety lotnicze, kopię ogłoszenia o spotkaniu w Nordstrom, które miało się ukazać w „Washington Post” tego dnia, i inne materiały związane z odbywaną trasą.

— Nie lubię niespodzianek. Jeśli masz w swojej torbie jakąś gumę do żucia, chcę wiedzieć, kiedy masz zamiar ją żuć — Mary wpatrywała się w Julię natarczywie, równocześnie poprawiając pasy bezpieczeństwa. — Nie lubię być niedoinformowana i nieprzygotowana. Chcę wiedzieć wszystko, co się da, o sklepie, w którym mam się pojawić, jak i o osobie, która ma ze mną przeprowadzać wywiad. Nie mam zamiaru znowu dać się zwieść, tak jak dałam się otumanić Jackowi Raz Dwa. Nie chcę wpaść w jakąś dziennikarską pułapkę.

Kuksaniec.

— Pułapki zastawia się na niedźwiedzie. Kuksaniec.

— Głupie miśki. Kuksaniec.

— Tata miś, mama miś, synek misiek, głupki trzy.

Kuksaniec. Kuksaniec. Kuksaniec.

Julia usiłowała zachować zimną krew, chociaż te wszystkie wierszyki brzmiały tak psychotycznie, że momentami zaczynała się bać. Próbowwała przypomnieć sobie bajkę *Trzy niedźwiadki*, ale wymieszała się jej z *Trzema świnkami* i *Trzema ślepymi myszkami* (nagle przestała być pewna, które zwie-

rzątko pochodzi z której bajki i czy ma to jakiegokolwiek znaczenie). Podczas wyjmowania z torby dokumentów sterczące spinacze poplątały się z gumkami i metalowymi zamknięciami kopert, powodując, że komórka, elektroniczny notes, który pożyczył jej Peter (próbował też nauczyć ją z niego korzystać), i szczotka do włosów wysypały się na podłogę i potoczyły wzdłuż przejścia, tak że Julia musiała rzucić się za nimi w pogoń.

Gdy Mary zasypała ją pytaniami, Julia potrafiła odpowiedzieć zaledwie na część z nich: wiedziała, o których gwiazdach pisała ostatnio Barbara Starr, dziennikarka „Washington Post”, mająca rozmawiać z Mary tego popołudnia (Diane Keaton, Gwyneth Paltrow, księżna Yorku). Wiedziała, ile gazet należy do grupy Gannett (101), ile wynosi ich łączny nakład (7,6 mln; 2,2 mln samego „USA Today”) i ile stacji lokalnych ma telewizja Fox (39). Wiedziała też, które z zapachów promowanych przez sławne osobistości (Elizabeth Taylor, Celine Dion, Jennifer Lopez, Sarah Jessica Parker) miały promocje w dziale kosmetycznym Nordstrom.

Mary wierciła się w fotelu, obserwując zajętych sobą pasażerów, którzy wchodzili do samolotu. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne, wyprostowała się i podniosła głos, tak że mówiła doniosłej niż zwykle.

Z początku Julia nie rozumiała, dlaczego Mary chce siedzieć w pierwszym rzędzie, ryzykując, że zostanie rozpoznana i podczas lotu będzie niepokojona przez wielbicieli sławnych osobistości. Widząc jednak błysk w oczach Mary i słysząc jej pod-

niesiony głos, Julia nagle pojęła, że aktorka wybrała pierwszy rząd właśnie dlatego, że chciała zostać rozpoznana. Jednak do tej pory, a połowa pasażerów była już w samolocie, nikt się nie zatrzymał, n(ie przyglądał, nie szeptał, nie rumienił ani nie wfskazywał na nią palcem.

— To się nazywa ironia losu. Tyle lat spędziłam na przebieraniu się i ukrywaniu, żeby móc przejść ulicą i nie być napastowana, że teraz już nikt mnie nie poznaje — Mary zmusiła się do jeszcze szerszego uśmiechu, potem zaśmiała się głośno i poprawiła na siedzeniu.

Wreszcie ktoś się pojawił: jedna ze stewardes — młoda, urocza blondynka z obfitym biustem, niebieskimi oczami, umalowana jaskraworóżową szminką.

— Przepraszam — w jej głosie słychać było podniecenie, służalczość i ostrożność, jakie okazuje większość ludzi w kontakcie ze sławnymi osobistościami.

Mary Ford uśmiechnęła się z zadowoleniem. W końcu została zauważona. A ponieważ przebrzmiałym sławom wystarcza do szczęścia jedna osoba dziennie — tylko jedna! — Julia odetchnęła z ulgą.

Stewardesa zarumieniła się i zniżyła głos. Mary spojrzała na Julię — widać było, że nie może się doczekać, by niczego nie podejrzewające młode dziewczę zrobiło z siebie kretynkę.

— Przepraszam — grzecznie powtórzyła stewardesa — ale to są siedzenia przy wyjściu awaryjnym.

Zwykle prosimy, żeby osoby, które je zajmują, były w stanie otworzyć okno w razie.

Uśmiech Mary zniknął. W jednej chwili zrozumiała, że stewardesa wcale jej nie rozpoznała, ale podeszła tylko po to, by je poprosić o zmianę miejsc. Julia знаła już Mary na tyle, by wiedzieć, że ten moment zażenowania wkrótce zmieni się w uczucie zakłopotania, a potem złości.

— W razie czego? — burknęła Mary. Jej twarz była niczym maska przysłaniająca rozczarowanie.

Uśmiech stewardesy zbladł.

— W razie gdyby...

— Co to ma znaczyć? Ze jestem za stara, żeby tu siedzieć?

Mary zmrużyła oczy, by odczytać napis na plakietce nad lewą piersią dziewczyny — czarne litery na tle dwóch złotych skrzydeł — a stewardesa zbladła, przerażona, że donośny głos Mary dociera do pasażerów z tyłu oraz tych, którzy jeszcze wchodzili na pokład.

— Cóż tam jest napisane? — zapytała Mary. -Jill.

— Jill — powtórzyła za Julią. — Mała Jill lata jak gil, pasażerów wnerwia jak nikt — zanuciła.

Dziewczyna, wyraźnie zdenerwowana i przerażona, szukała wzrokiem pomocy u Julii. Julia jednak, sama zdezorientowana i przestraszona — w końcu pierwszy raz była z Mary wśród ludzi, nie w czterech „ścianach” pędzącej limuzyny — potrafiła tylko wzruszyć ze współczuciem ramionami.

— Nie poznajesz mnie, prawda, Jill? — ciągnęła Mary, nie czekając na odpowiedź. — No, a powin-

naś. Powinnaś wiedzieć, kim jestem. Idź, zadzwoń do rodziców z jednego z tych durnych telefonów, które nigdy nie działają, i powiedz im, że spotkałaś Mary Fojd, która nie zgodziła się na zmianę miejsca, bo Chociaż ma siedemdziesiąt cztery lata, potrafi otworzyć wyjście awaryjne w samolocie.

Ji!ł wycofała się, a wtedy Mary zwróciła się do Julii. — Jak tylko wylądujemy, zadzwonisz do USAir i złożysz skargę na tę Jill — powiedziała scenicznym szeptem. — Potem zadzwonisz do Jacka, czy innego idioty, który rezerwował nasze bilety, i każesz zmienić przewoźnika. Do końca trasy nie będę latać USAir. A teraz przynieś od tej Jill butelkę wody. Nie chcę być odwodniona, kiedy wylądujemy.

W ciągu następnych dziesięciu minut Julia była tak zajęta wykonywaniem podobnych poleceń, że zapomniała o strachu, jaki od narodzin Leo towarzyszył jej zawsze, gdy wsiadała do samolotu. Jednak w chwili gdy samolot zaczął kołować na płycie, Julia włożyła poduszkę między kolana, zamknęła oczy i wsunęła dłonie pod uda, żeby Mary nie widziała, jak się trzęsą.

Czuła na sobie wzrok Mary, gdy samolot rozpedzał się na pasie i podrywał w górę. Te dwadzieścia, trzydzieści sekund podczas każdego lotu były istną torturą. Julia przestawała oddychać, w jednej chwili przed oczami stawało jej całe życie i zaczynała żałować wszystkich tych rzeczy, których nie dane jej było doświadczyć: pracować ochotniczo w jadłodajni dla ubogich, nauczyć się gotować pro-

ste codzienne posiłki dla rodziny, wreszcie dożyć chwili, gdy Leo dorósł. Kiedy samolot wyrównał lot, otworzyła oczy.

— No tak, tylko tego mi brakowało — powiedziała Mary, wyrzucając ręce w górę w melodrama-tycznym geście, zupełnie jakby nie podlegała sile odśrodkowej, wciąż wciskającej je w siedzenia. — Specjalistka od reklamy, która boi się latać! Tylko mi nie mów, że masz jeszcze chorobę lokomocyjną, bo nie mam zamiaru przez cały lot trzymać ci torebki pod brodą. Przerabiałam to już z córką, a po latach w podziękę otrzymałam tylko narzekania w „People”, że zmuszałam ją do latania i że było to poważne molestowanie fizyczne i psychiczne.

Julia chciała zaprzeczyć gwałtownym ruchem głowy, szybko jednak powstrzymała się, myśląc, że Mary zinterpretuje to jako przyznanie się do winy. Właściwie była dumna z tego, że nigdy nie miała torsji w samolocie, choć tyle razy znajdowała się w silnych turbulencjach i ciężkich warunkach pogodowych, czy też psychicznych: podczas lotu z Denver do Aspen z Michaeliem Cainem, z Nowego Jorku do Chicago z Tedem Dansonem, z Dallas do Nowego Jorku z Shirley MacLaine. Mimo iż w dzieciństwie cierpiała na chorobę lokomocyjną, w dorosłym życiu ani razu nie zdarzyło się jej cierpieć z tego powodu w samolocie. Mary rozejrzała się w poszukiwaniu Jill i przywołała ją gestem dłoni.

— Nasz Albert Einstein potrzebuje drinka — powiedziała, przewracając oczami. Chwilę zastanawiała się nad wyborem. — Przynieś jej wódkę z to-

nikiem i z dużą ilością lodu — uśmiechnęła się do Jill, jakby były starymi przyjaciółkami, spiskującymi, by wykazać nieprzydatność Julii i jej brak kompetencji. *I*

Znowu to rozszczepianie.

— Wygląda na miłośniczkę „Krwawej Mary”, ale jak wpadniemy w jakąś dziurę powietrzną, to będę miała cały sok pomidorowy na kostiumie. A wtedy nie miałabym w czym wystąpić dzisiaj w centrum handlowym Pentagon City.

Julia nie była miłośniczką „Krwawej Mary”. Właściwie nie znosiła soku pomidorowego tak samo jak wódki — nie wspominając już o tym, że nie miała ochoty na nic, co ma w nazwie słowo „Mary” — ale nie wdawała się w dyskusję, zwłaszcza w sytuacji, gdy jej towarzyszka tak ostentacyjnie spełniała dobry uczynek: dbała o nią w trudnej chwili. Usiadła wygodniej i usiłowała nie patrzeć na pierzaste chmury za oknem, gdy samolot nabierał wysokości.

Kiedy Jill wróciła z wódką z tonikiem, Julia czuła się zobowiązana do jej wypicia, a przynajmniej do udawania, że pije. Ponieważ nic nie jadła, miała uczucie, jakby rozżarzony język ognia piał się od żołądka do klatki piersiowej i gardła.

Jill i Mary wdały się w pogawędkę. Jill zainteresowała się planowaną imprezą w centrum handlowym, więc Mary opowiadała o swoich nowych perfumach i zaplanowanej trasie ich promocji. Nastrój gwiazdy wyraźnie się poprawił.

Opowiadała Jill o Legendzie, a dziewczyna słuchała z uwagą, jakby wcześniej nic się nie wydarzyło.

— Masz chłopaka? — spytała w którymś momencie Mary.

Jill skinęła potakująco głową.

— A ty, Einsteinie? — Mary spojrzała na lewą dłoń Julii i zobaczyła platynową obrączkę i skromny pierścionek zaręczynowy ze szmaragdem.

— Jak ma na imię twój mąż?

— Peter.

— Peter słodkie imię miał. Kuksaniec.

— I utrzymać żonkę chciał. Kuksaniec.

— Włożył ją do dyni. Kuksaniec.

— A dynię do skrzyni.

Jill odeszła, a Julia powzięła silne postanowienie: jak tylko wróci do domu, wyrzuci z półek Leo wszystkie rymowanki.

— Pewnie, że ta mała Jill ma chłopaka — ciągnęła Mary, nadal szturchając Julię łokciem. — Jest młoda i ma zawód, który nikogo nie odstrasza. — Sięgnęła po drinka Julii, jak po swojego, i wypijała resztę. — Nie tak jak ja. Nie mogę znaleźć faceta, bo wszyscy, z którymi się spotykam, mówią, że ich onieśmielam.

Aby opisać, jak Mary Ford działa na mężczyznę siedzącego z nią przy jednym stole podczas kolacji, Julia użyłaby innych słów — przerażać, zastraszać albo niszczyć psychicznie. W zasadzie tak samo określiłaby zachowanie Mary wobec siebie — w limuzynie, podczas promocji w dziale kosmetycznym domu towarowego, czy też w samolo-

cie. Odnotowała sobie w pamięci uwagę Mary, żeby powtórzyć ją Peterowi. Chętnie zapisałaby to w notesie — *Mary ford zupełnie nie rozumie, dlaczego odstrasza, mężczyzn* — ale pilot ogłosił, że właśnie zaczynają podchodzić do lądowania na lotnisku Reagan National.

Samolot przechylił się w lewo, w prawo, znowu w lewo i znowu w prawo. Cały ten manewr, w połączeniu z wódką w organizmie, w każdy normalny dzień wystarczyłby, żeby wyprowadzić z równowagi psychikę i układ trawienny Julii. To jednak nie był normalny dzień. To był okropny dzień. Stres towarzyszący sytuacji, w której się znalazła — obok Mary, w samolocie z którego nie ma ucieczki — i świadomość, że przez najbliższe dwa dni w Waszyngtonie i Atlancie będzie zdana na jej łaskę i niełaskę, sprawiły, że płyn w żołądku podszedł jej do gardła i zanim zdążyła pomyśleć, odruchowo macała przestrzeń przed sobą, szukając torebki na wymioty. Ponieważ jednak siedziały w pierwszym rzędzie, przed nimi nie było siedzeń. Skoro nie było siedzeń, nie było też kieszeni w oparciach, nie było czasopism i, co najważniejsze, nie było owych awaryjnych torebek. Był tylko jeden egzemplarz „USA Today” na podłokietniku między siedzeniami.

Zadzwoiła do Petera z pokoju w hotelu Hay-Adams. Leżała z zimnym kompresem na czole. Na stoliku przy łóżku stała butelka piwa imbirowego. Julia opowiadała mężowi, co się stało: jak siedząc

obok Mary zwymiotowała w gazetę, w chwili gdy samolot dotykał podwoziem ziemi, a Mary była tak oburzona, że zagroziła osobistą interwencją u Howarda Pama, żeby doprowadzić do wyrzucenia z pracy zarówno Julii, jak i Jacka. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że to wokół Julii, a nie Mary, powstało małe zamieszanie: zbiegły się stewardesy, posadzono ją na wózku, na którym została przewieziona z samolotu do czekającej limuzyny. Gdy już dotarły do samochodu, Mary nalegała, by Julia usiadła z przodu, a nie na tylnym siedzeniu obok niej.

— A jak się teraz czujesz? — zapytał Peter, gdy Julia skończyła relację.

Zamknęła oczy, przycisnęła wilgotny kompres do czoła i pod powiekami zobaczyła, jak na taśmie filmowej, wszystkie wydarzenia tego przedpołudnia. Chciałaby zapaść się pod ziemię.

— Trochę lepiej.

— Dasz radę pracować do wieczora? Obróciła się w stronę nocnej szafki, przesunęła butelkę piwa i szklanek z lodem. Podniosła harmonogram i szybko go przejrzała.

Na trzecią po południu planowany był wywiad z dziennikarką z „Washington Post” w apartamencie Mary, na piątą wizyta w studiu telewizyjnym „Live at Five”, i oczywiście najważniejsze: o szóstej promocja Legendy w Virginii po drugiej stronie rzeki. Julia nie potrafiła sobie wyobrazić, jak przetrwa przez ten dzień — nie tylko dlatego, że czekały ją wywiady dla prasy i inne publiczne wystą-

pienia, ale przede wszystkim dlatego, że po tym katastrofalnym locie obawiała się spojrzeć Mary w oczy.

— Dasz radę. Jak zawsze. Jęknęła.

— Udawaj, że nic się nie stało.

— Peter, przecież ja na nią zwymiotowałam.

— Nie na nią, tylko obok niej. W gazetę. To różnica. I cokolwiek robisz, nie przepraszaj. To znaczy... chrzań to. Nie przejmuj się.

Zasłużyła. Nie ma dla niej wybaczenia za takie *cures szpilkes* *.

Julia nareszcie się roześmiała. Wtedy po drugiej stronie usłyszała głosik Leo. Serce niemal podskoczyło jej do gardła. Jeszcze nigdy nie rozmawiali przez telefon!

— Mamusiu?

— Cześć, Scooby, co u ciebie?

— Dobrze.

— Jak było w przedszkolu?

— Dobrze.

— Fajnie się bawicie z tatusiem?

— Uhm...

— Coście dzisiaj robili?

— Byliśmy w sklepie.

— Tym dużym, z dużymi paczkami?

— Nie. Z czerwonymi autami.

Food Emporium. Leo uwielbiał wózki z czerwonymi plastikowymi samochodzikami doczepionymi z przodu.

Wchodził do środka i udawał, że prowadzi.

**cures szpilkes* (jid.) — kłopoty, nerwowa atmosfera.

— Tata kupił mi kurczaki-dinozaury. I serki. I jeszcze prezent.
— Jaki prezent?
— Pociąg.
— Który?
— Mavis. Biało-czarny.
— Chciałabym go zobaczyć.
— Hej, mamusiu?
— Tak, kochanie?
— Kiedy wracasz?
— Niedługo. Niedługo będę w domu.
— Ale chcę, żebyś już tu była.
— Będę niedługo.
— Przyjedziesz jutro?
— Nie. Nie jutro. Pojutrze.
Słyszała jego oddech, ale synek milczał.
— Hej, Scooby? Jesteś tam? — zamknęła oczy. Czuła
wypływające z kącików oczu łzy.
— Odezwij się do mamy. Ona cię nie widzi — słyszała głos
Petera w tle.
— Tak? — powiedział Leo.
— Tęsknię za tobą.
— Mamusiu?
— Co, kochany?
— Jeszcze pracujesz pełną parą?
— Tak, pełną parą — otarła łzy, a potem nos wierzchem dłoni.
Toż to żalosne! Minęły zaledwie cztery godziny, a ona już się
rozkleja. Nim zdążyła mu powiedzieć, że go kocha, słuchawkę
przejął Peter.
— No, a ja po odstawieniu Leo spotkałem się z naszą grupką.

— Pytał ktoś o mtue? — zapytała, licząc, że Peter nie pozna po głosie, że się mazgai — czy już o mnie całkiem zapomnieli?

— Tak, pytały. Powiedziałem im, że dzisiaj poleciałaś, i wszystkie były pod wrażeniem.

— No to jutro też możesz wywołać wrażenie informacją, że Julia jest w Waszyngtonie z jedną dawną gwiazdą i dochodzi do siebie po torsjach spowodowanych stresem! A co macie dzisiaj na obiad?

— Twoja mama znowu przyniosła kurczaka. Julia zamknęła oczy i sięgnęła po piwo.

— Przepraszam.

— W porządku. Chce dobrze. Wyrzucę go i wezmę Leo do „Stanz”.

Pokiwała głową i wyjrzała przez okno, odchyliwszy firankę wiszącą między połyskującymi zasłonami. Z pokoju rozciągał się wspaniały widok na Park Lafayette i Biały Dom. Gdyby nie była tak przygnębiona, zachwyciłaby się drzewami, które tutaj, na południu, w połowie października nadal były zielone, cieszyłaby się na myśl o zamówieniu posiłku do pokoju — kanapki, hamburgera czy frytek — i na myśl o oglądaniu kablówki z wyłącznością na posiadanie pilota. A jednak czuła się samotna. Smutna. Opuściła firankę, odsunęła się od okna i wróciła do rozmowy.

— Nie chcę tu być — westchnęła. — Chcę wrócić do domu. — Wiem, że ci ciężko.

Znowu poczuła wilgoć pod powiekami. Pozwoliła sobie na chwilę roztkliwienia się nad sobą: wyo-

brazila sobie, że Peter odbiera Leo wcześniej z przedszkola, pędzi z nim na lotnisko i łapią samolot do Waszyngtonu, by się z nią spotkać. Było jeszcze sporo czasu do wywiadów i pokazów w Nordstrom, a apartament, jaki jej przydzielono (bo towarzyszyła słynnej osobistości, która głośno wyrażała niezadowolenie), spokojnie pomieściłby ich troje. Pociągnęła nosem i otarła oczy. Głos Petera i głosik Leo podniosły ją na duchu na tyle, że poczuła się gotowa stawić czoło rzeczywistości.

Wzięła prysznic, przebrała się, a potem zajęła się przeglądaniem przywiezionych dokumentów, które Mary uznała za niedopracowane i niekompletne. Tak spędziła resztę wolnego czasu. O piętnastej rzuciła się w wir pracy: przeszła do apartamentu Mary, której towarzyszyła podczas wywiadu z Barbarą Starr i podczas krótkiej sesji zdjęciowej z fotografem z „Post”, sprowadzonym przez dziennikarkę. O szesnastej trzydzieści zadzwoniła po limuzynę i zaprowadziła Mary do samochodu, żeby zdążyła na wiadomości o siedemnastej; potem wróciła z nią do samochodu i na pełnym gazie pojechały do Pentagon City Mail, skąd dwaj umundurowani strażnicy eskortowali je do działu kosmetycznego Nordstrom, gdzie czekał prawie trzystuosobowy tłum i niezwykle przejęty kierownik z trzema niezwykle przejętymi sprzedawczyniami. Robiąc to wszystko, Julia czuła, że odzyskuje grunt pod nogami.

Kiedy siedziała obok Mary i podawała jej pudełeczka z Legendą, miała wrażenie, że nienagannie gra swoją rolę w przedstawieniu reklamowym pod

tytułem „Podpisywanie produktu przez gwiazdę”: precyzyjnie wykonuje eleritę choreografii (przygotować pióro, odkleić karteczkę samoprzylepną, jednocześnie przesunąć pudełko i pochylić się, by scenicznym szeptem wymówić dwukrotnie nazwisko klientki, podać pudełko klientce, jednocześnie usuwając następną karteczkę, i tak dalej...), a przy tym dobrze wie, kiedy wymienić puszkę napoju Fresca i nabój w piórze. Czuwanie nad przebiegiem tego baletowego przedstawienia, tego *pas de deux*, podpisywania w tempie ani zbyt szybkim, ani zbyt wolnym, było działalnością tyleż artystyczną, co naukową, i kiedy Mary złożyła podpis na ostatnim już pudełku, Julia poczuła ogromną ulgę. Uczucie to nie opuściło jej w limuzynie w drodze powrotnej, a potem w hotelowej windzie. Impreza odbyła się bez żadnych wpadek. O wpół do dziesiątej wieczorem dzień roboczy dobiegł końca. W każdym razie tak się jej zdawało.

— Dokąd to? — zapytała Mary, gdy Julia wsuwała kartę w drzwi swojego pokoju. Mary właśnie weszła do swojego apartamentu i spodziewała się, że Julia wejdzie za nią. — Nie jadłyśmy kolacji, a ja umieram z głodu — stwierdziła. — Zadzwoń po obsługę, a ja się przebiorę.

Mary, zdejmując żakiet, jedwabną bluzkę i szalik, przeszła z sypialni do łazienki i wróciła tylko w wielkim białym staniku, a Julia, wyczerpana, markotna i ponad miarę zażenowana częściową nagością Mary, powoli weszła do środka.

— Zamów mi sałatkę z kukurydzy i dwie wódki z martini. Weź też dla siebie coś pożywnego. Mu-

sisz nabrać sił po dzisiejszym ranku — powiedziała, jedną ręką rozpinając spodnie, a drugą sięgając do szuflady po biały szlafrok. — Chcę jeszcze przejrzeć plan na jutro i zobaczyć, co ma dzisiaj do powiedzenia ten idiota Charlie Rose, któremu jadaczka nigdy się nie zamyka.

16.

Było już po północy, kiedy Mary Ford wreszcie zwolniła Julię.

Zjadła kolację, siedząc obok Julii na sofie i oglądając Donalda Trumpa („Prymityw, chociaż właściwie całkiem mi się podoba”) w wywiadzie z Charliem Rose'em („Znowu przerywa gościowi i go zagaduje. Po co ich zaprasza, skoro nie daje im dojść do słowa?”).

Skończyła manipulować przy kuferku Clausa von Bülowa i wydłubywać resztki jedzenia spomiędzy zębów przy użyciu najróżniejszych przyrządów. Przejrzała program na następny dzień, zasypując Julię nowymi pytaniami, zarówno logistycznymi („Czy będzie ktoś do eskorty na lotnisku — w czerwonej kamizelce, z krótkofalówką i elektrycznym samochodem — kto będzie na mnie czekał na National Airport i na płycie w Atlancie i kto będzie mnie eskortował do i z samolotu?”), jak i praktycznymi („Czy wystarczy dla mnie napoju Fresca?”).

Po wyjściu z pokoju Mary Julia powiesiła na zewnątrz jej drzwi zamówienie na śniadanie (koszyk rogalików, herbata z mlekiem i cytryną, „średnio dojrzały banan średniej wielkości”) i przeszła na drugą stronę korytarza. Otwierając plastikową kartą drzwi swojego apartamentu, wciąż nie mogła uwierzyć, że wreszcie będzie sama. Radość jednak

trwała krótko, bo Julia szybko uświadomiła sobie, że zaledwie po kilku godzinach snu — zakładając, że w ogóle zaśnie — wszystko zacznie się od nowa.

Przebrała się w piżamę, umyła zęby i usiadła na łóżku. Popatrzyła na zegar, było już po północy. Zbyt późno, żeby dzwonić do domu. A tak by chciała porozmawiać z Peterem o tym, jak spędzili resztę dnia: co takiego wymyślił, żeby usprawnić płynność w przedszkolu, co jeszcze zrobił w domu, żeby zwiększyć efektywność, co jedli w „Stanz” po wyrzuceniu kurczaka, czy już zaczął prace nad piernikowym domkiem...

Rozejrzała się po pokoju i zauważyła na biurku laptop, wciąż nie wyjęty z torby. Nie miała sił, żeby go włączyć, chociaż była ciekawa, czy mama albo Peter przysłali jej nowe zdjęcia Leo, zrobione w różnych momentach: rano przy stole podczas jedzenia płatków z miodem i orzechami; gdy wychodził z domu z plecaczkiem-lokomotywą, niemal tak wielkim jak on sam, i z pudełkiem na lunch, które zajmuje całą przegródkę; podczas popołudniowej drzemki, gdy śpi na ich łóżku, przytulony do swojego kocyka, otoczony ulubionymi pluszakami (dwoma kotami, które mu kupili, gdy był jeszcze niemowlęciem, i słoniem z uszami jak u Dumbo).

Nie miała też sił napisać maila do Jacka — poinformować go, ile osób przyszło do Nordstrom (o pięćdziesiąt mniej niż na imprezie na Long Island) i ile opakowań Legendy sprzedano (314). Liczby nie napawały optymizmem. Ale złe wiado-

mości mogły poczekać, zwłaszcza że Jack nie spodziewał się niczego innego.

Położyła się na łóżku, a potem sięgnęła do kieszeni zakietu po komórkę. Kilka razy podczas całej imprezy czuła jej wibrowanie. Przejrzała listę połączeń i zauważyła, że dwa razy dzwonił Peter i raz Jonathan z domu w Brooklynie.

Odsłuchiwała pocztę głosową: były tam dwie czułe wiadomości od Petera i jedna od Jonathana, który zatroskanym i przepraszającym tonem informował, że „Atlanta Journal-Constitution” odwołał wywiad z Mary zaplanowany na następny dzień. Wyłączyła telefon i zamknęła oczy. Wiedziała, że na nią spadnie złość Mary z powodu odwołanego wywiadu, ale nie była w stanie o tym myśleć. Teraz myślała jedynie o tym, jak wspaniale jest znaleźć się wreszcie samotnie w hotelowym pokoju, w luźnej piżamie, i nie mieć nic innego do roboty poza leżeniem na brzuchu na miękkiej pościeli.

Zasypiając, wróciła jeszcze myślami do czasów, gdy była młodsza i odbywała podobne wielodniowe podróże z klientami. Po dwudziestu godzinach pracy kładła się na wielkich, wygodnych hotelowych łóżkach, żałując, że nie ma dość czasu, by rozkoszować się zadziwiająco głęboką wanną i korzystać z bogactwa kosmetyków w miniaturowych opakowaniach, oglądała w kółko *Dallas* albo *Mary Tyler Moore*, nim na tyle oderwała się od rzeczywistości, że wreszcie zasypiała.

Czasami, tuż przed zaśnięciem w tych ekskluzywnych pokojach hotelowych z miękkimi dywanami, ciężkimi draperiami, lampkami nocnymi

w kształcie chińskich waz, z abażurami z marszczonego jedwabiu, spod których wydobywa się delikatne światło, miała dziwnie przyjemne wrażenie, że przelatuje w półśnie przez dni, godziny, miasta i lotniska. Uwielbiała hotele — dobre hotele — ich dyskrecję i anonimowość, standard, wygodę, uwielbiała je za możliwość ucieczki do innego świata, oderwania się od ciasnego, niemal spartańskiego mieszkania na Manhattanie, od rachunków czekających na zapłacenie, ciuchów czekających na zanieśenie do pralni, sterty papierów, które zwykle przynosiła z pracy na noc albo na weekend.

Uwielbiała te wyzwania związane z towarzyszeniem klientom: wojskową dokładność, z jaką trzeba było zaplanować i wypełnić każdą misję, pokonywanie niespodziewanych przeszkód (problemy z transportem, złe warunki pogodowe, odwołane wywiady, niska frekwencja na imprezach), czuła dumę, że potrafi zachować zimną krew (albo przynajmniej sprawiać takie wrażenie) nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

Znała na pamięć adresy mailowe i telefony co najmniej pięćdziesięciu gazet oraz ulubione napoje i diety swoich klientów i nie musiała ich zapisywać na wewnętrznej stronie dłoni czy na karteczkach.

Zdawała sobie sprawę, że nie jest to w życiu najważniejsze, ale jednocześnie miała dużą satysfakcję. I chociaż często grubiańskie zachowanie klientów bądź brak odrobiny wdzięczności z ich strony pozbawiały ją wszelkich złudzeń, to jednak lubiła te długie podróże.

Dopóki nie poznała Petera. Wtedy nagle wyprawy z gwiazdami stały się bardziej uciążliwe. Gdzieś daleko był ktoś, za kim tęskniła, ktoś, kto tęsknił za nią, ktoś, do kogo chciała jak najszybciej wrócić.

Zasnęła w wygodnym łóżku, z telefonem w ręku, przy włączonych światłach i nagle ze snu wyrwał ją przeszywający, głośny dźwięk. Nie miała pojęcia, jak długo spała. Usiadła gwałtownie, rozejrzała się po nieznanym wnętrzu — nocne lampki, kwieciste zasłony, pościel — zastanawiając się chwilę, gdzie jest i co się stało. Przypomniała sobie:

Jestem w hotelu.

W Waszyngtonie.

Z Mary Ford.

Dźwięk, który słyszę, to hotelowy alarm przeciwpożarowy.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi. Uchyliła je w sposób, w jaki nie powinna tego robić (kiedyś, podczas niezwykle długiego pobytu w Denver, przeczytała w „Reader's Digest”, że w razie pożaru należy położyć się na ziemi, bo dym się unosi, i sprawdzić, czy drzwi nie są rozgrzane), i wyjrzała na korytarz.

Był pusty.

Żadnych zaniepokojonych gości, żadnych strażaków w wysokich butach i odblaskowych kurtkach, żadnych toporków czy gumowych węży.

Zamknęła drzwi i podbiegła do telefonu. Zadzwoiła do recepcji. Linia była zajęta, pewnie dlatego, że wszyscy goście robili w tej chwili to samo.

Znów podbiegła do drzwi i wyjrzała. Tym razem zobaczyła grupkę mężczyzn w średnim wieku, w szlafrokach i kapciach, rozglądających się niepewnie i przyglądających rozwichrzone włosy. Julia przyglądała się, jak kilku zeszło schodami pożarowymi na dół, do holu, a reszta — najwyraźniej bogaci biznesmeni, przyzwyczajeni do posiadania odpowiednich informacji, by móc podejmować świadome decyzje — wciąż czekała na wiadomość, czy istotnie w budynku wybuchł pożar, czy to tylko fałszywy alarm.

Julia stała na korytarzu i wpatrywała się w drzwi do apartamentu Mary, usiłując zmusić się do działania.

Pukaj!

Łomocz,!

Poinformuj ją, że już wkrótce hotel może wypełnić się dymem!

Nie zmusiła się jednak.

Nie dlatego, że uznała pukanie czy łomotanie za bezsensowne, skoro Mary nie słyszała rozdzierającego alarmu (po dwóch martini piła jeszcze brandy z barku), ale dlatego, iż sytuacja wymagała bardziej zdecydowanych działań.

Musiałyby użyć zapasowej karty, którą Mary dawała towarzyszącym jej osobom na wypadek, gdyby zgubiła własną, musiałyby wejść do sypialni Mary i potrząsnąć nią, by ją obudzić.

Wolałabym już, dać sobie zedrzeć paznokcie u rąk i nóg, niż wrócić do tego pokoju i jeszcze jej dotykać.

Spróbowała pomyśleć, co zrobiłby na jej miej/ scu Jack. Najprawdopodobniej byłby już w połowie drogi do holu, z komórką w jednej ręce i notesem elektronicznym w drugiej, na wypadek gdyby naprawdę był pożar i musiałyby w środku nocy zmienić rezerwację hotelu. Julia miała jednak za sobą siedemnaście bitych godzin spędzonych w towarzystwie Mary, a do tego została nagle wyrwana z głębokiego snu, więc jedynym, co mogła sobie wyobrazić, był widok Jacka w bokserkach i podkoszulku, zwinnie przeskakującego przez świecznik na swoim biurku.

Wbiegła z powrotem do pokoju i zadzwoniła do jedynej osoby na świecie, co do której miała pewność, że nie tylko będzie wiedziała, jak postąpić w takiej sytuacji, ale też nie będzie o tej porze spała.

— Możesz zrobić tylko jedno — zaczęła Patricia wyraźnie i spokojnie. Patricia za punkt honoru stawiała sobie zachowanie zimnej krwi i rozsądku, gdy wszyscy wokół wpadali w panikę. Za punkt honoru stawiała też sobie wyciągnięcie Julii z tarapatów.

— To znaczy co?

— Upewnij się, że jest pożar, zanim obudzisz bestię.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście, że jestem pewna.

— Ale... dlaczego?

— Bo istnieje możliwość, że to fałszywy alarm.

— A jeśli to nie jest fałszywy alarm? Jeśli naprawdę wybuchł pożar i ja się wydostanę, a ona nie?

Oczami wyobraźni Julia widziała już nagłówki:
„Gwiazda filmu Mary Ford ginie w płomieniach.
Specjalistka PR ratuje samą siebie”.

— Panikujesz — stwierdziła Patricia z irytującym spokojem. — Czemu tak się denerwujesz?

— To był długi dzień.

— Trudny?

— Okropny.

— Co się stało?

Julia wiedziała, że jeśli nie przerwie tej rozmowy, za chwilę Patricia dowie się o jej przygodzie w samolocie, a na omawianie tego wypadku jeszcze nie była gotowa. Poza tym ledwie słyszała własne myśli, tak głośno wyła syrena przeciwpożarowa. Więc zamiast odpowiedzi Patricia usłyszała tylko, że Julia idzie do holu i że stamtąd zadzwoni.

Zamknęła za sobą drzwi i — w bardzo wygodnej, choć nie bardzo twarzowej piżamie z gumką w talii i szerokimi nogawkami do połowy łydek — pobiegła wraz z biznesmenami w kapciach i szlafrokach korytarzem w stronę schodów, by uzyskać od recepcjonisty odpowiedź, czy hotel się pali, czy też nie.

Oczywiście usłyszała, że nie.

Na co Patricia zareagowała swoim typowym:

— A nie mówiłam?

* * *

Patricia dzwoniła do Julii kilka razy w ciągu następnego dnia, kiedy Julia i Mary były w Atlancie. Julia jednak nie miała ani czasu, ani ochoty, by opisywać to wszystko, przez co musiała przecho-

dzić. Kiedy kolejnego ranka wylądowała na lotnisku La Guardia, z tylnego siedzenia limuzyny zadzwoniła do Petera.

— No? — zapytał. — Gdzie jesteś?

— Właśnie wysadziłam Mary Ford przed Anso-nią i jadę do biura ze sprawozdaniem dla Jacka Maniaka. Muszę też zabrać to wszystko, nad czym Jonathan pracował, jak mnie nie było.

— Dostałaś zdjęcie?

Chociaż jazda samochodem wywoływała u niej uczucie mdłości, uśmiechnęła się. Nadal nie rozumiała, w jaki sposób linią telefoniczną można przesyłać obraz, ale brak tej wiedzy nie miał żadnego znaczenia. Znaczenie miało to, że takie zdjęcia pomagały jej przetrwać.

— Nieźle wyszedł, co? — stwierdził Peter, przywołując obraz Leo na sedesie, z szerokim uśmiechem na twarzy i uniesionymi w górę kciukami.

— Super — odparła. — On jest naprawdę jedyny.

— A jak było w Atlancie?

Nim doszła do Atlanty, musiała mu opowiedzieć o alarmie przeciwpożarowym w Waszyngtonie i o tym, jak Mary powitała ją rano karcącym gestem („I co, Einsteinie, miałaś zamiar mnie usmażyć?"), dowiedziawszy się o incydencie od kelnera, który przyniósł jej śniadanie. Opowiedziała mężowi, w jaką wściekłość wpadła Mary, kiedy na lotnisku National nikt nie czekał, mimo że Julia cały ranek wydzwaniała do American Airlines („Powiedz Jackowi, żeby przebukował wszystkie loty. Do końca trasy nie zamierzam korzystać z Ameri-

can"), i jak szybko odzyskała humor, gdy okazało się, że w samolocie jest pierwsza klasa („W końcu jakaś obsługa”), i gdy obaj stewardzi z miejsca ją rozpoznali („Geje zawsze mnie kochali, nie pytaj czemu”) i poprosili o autografy („Wstrzymaj się z tym telefonem do Jacka. American szybko się rehabilituje”). Jak w końcu stała się tak serdeczna i niemal ludzka, że aż chwyciła Julię za rękę podczas startu i trzymała ją, dopóki samolot nie wyrównał lotu gdzieś za Wirginią Zachodnią. Jak szczęśliwym zrzędzeniem losu w Atlancie czekał na nie ochroniarz, który wielkim pojazdem o napędzie elektrycznym przewiózł je przez płytę lotniska do punktu odbioru bagażu i dalej do limuzyny.

Opowiedziała Peterowi, jak to przy wpisywaniu się do książki meldunkowej w hotelu Mary z zadowoleniem zauważyła, że to „dobry Ritz-Carlton” (jakby istniało coś takiego jak „zły Ritz-Carlton”) w dzielnicy Buckhead, położony blisko najlepszych sklepów i posiadający jedyną pięciogwiazdkową restaurację w całym mieście (a może nawet w całym stanie Georgia). Zdążyła mu jeszcze powiedzieć, że pomimo odwołania spotkania z dziennikarzem gazety, wywiad dla wiadomości telewizyjnych NBC poszedł tak dobrze (dyżur tego dnia miała ponadpięćdziesięcioletnia producentka, co oznaczało, że w przeciwieństwie do większości pracujących w telewizji i radiu nastolatek wiedziała, kim jest Mary), że Mary nawet nie zauważyła, a w każdym razie nie skomentowała, iż na spotkaniu w Macy's było co najmniej o pięćdzie-

siąt osób mniej (około dwustu pięćdziesięciu) niż dzień wcześniej w Nordstrom poci Waszyngtonem. Dopiero w domu Julia miała czas na relację z kolacji z Mary Ford w hotelu Ritz-Carlton. W hotelowym holu Mary ponownie chwyciła dłoń Julii i trzymała ją aż do wejścia do restauracji. Tam skierowano je do boksu pośrodku sali, z siedzeniami obitymi czarną skórą. Przybycie gwiazdy wywołało wielkie poruszenie. Do stolika natychmiast podeszło sześciu kelnerów z wielkimi, oprawionymi w skórę kartami dań, ozdobionymi złotymi frędzlami. Przyjęli zamówienie na drinki i bardzo szybko podali martini dla Mary oraz wodę z cytryną dla Julii. Mary rozparła się wygodnie na siedzeniu i westchnęła z ukontentowaniem.

— Nareszcie kulturalne towarzystwo — powiedziała, wyraźnie zadowolona z obsługi, stłumionych szeptów przy kilku stolikach i szybkiego działania wódki i wermutu.

— Musi pani być zmęczona — stwierdziła Julia, która czuła się wykończona, a przecież miała prawie czterdzieści lat mniej niż Mary.

Mary uniosła kieliszek i wydeła usta w taki gwiazdorski sposób, jakby miała zamiar go pocałować. Wyglądała niezwykle atrakcyjnie. Julia mogła tylko marzyć, aby będąc w tym wieku, prezentować się choćby w połowie tak dobrze jak ona.

Jak tak dalej pójdzie — myślała — powinnam się cieszyć, jeśli uda mi się tak wyglądać w wieku czterdziestu lat.

— Jestem wyczerpana. Ale lubię to uczucie. Uczucie zmęczenia jest skutkiem zajęć i pracy, a to znaczy, że żyję. W tej branży wystarczy krótka przerwa, żeby wszyscy myśleli, że już po tobie, że już jesteś martwa. Może i jestem stara, ale martwa jeszcze nie.

Julia uśmiechnęła się uprzejmie, a Mary znowu westchnęła, poirytowana. Dzieliła ludzi na dwie kategorie — gaduły i milczków — i Julia wiedziała, że została zakwalifikowana do tych drugich.

— No więc, Einsteinie, powiedz mi coś o sobie. Julia napiła się wody, żeby zyskać na czasie.

Opowiadanie o sobie to dla pijarowca zawsze rzecz ryzykowna, nawet gdy jest o to poproszony. Mary przewróciła oczami.

— Zupełnie jak moja córka Lindsay. Nigdy nic mi nie mówi. Założę się, że twoja matka tak samo wyraża się o tobie. Mam rację?

— To bardzo łagodnie powiedziane.

Julia uśmiechnęła się na wspomnienie rodziców, pomyślała też, co mogli robić tego dnia z Leo: układali puzzle czy oglądali video, i co matka zrobiła na obiad — paluszki rybne, makaron z serem lub z masłem. Leo nie był jeszcze na tyle wybredny, żeby narzekać na kuchnię babci — dla niego było to jedzenie babuni, przygotowane i podane między pocałunkami i uściskami, i nawet jeśli nie było bardzo smaczne czy estetycznie podane, to przyprawiała je miłość i troska. Jego błoga nieświadomość i bezwarunkowa miłość dziadków świetnie się uzupełniały. W tym momencie Julia poczuła się jak nędzny mały niewdzięcznik, bo tyle razy ży-

mała się na oznaki matczynej miłości, których nie mogła przełknąć. Przysięgła sobie, że gdy zakończy tę trasę i wróci do domu, przestanie narzekać na kuchnię mamy, a nawet zacznie udawać, że jej smakuje.

Mary zaczęła zwierzać się z problemów ze swoimi dziećmi.

— Jeszcze jak moja córka była małą dziewczynką, nic z niej nie mogłam wyciągnąć. „Co dzisiaj robiłaś?”, pytałam, a ona odpowiadała: „Nic”. „Dokąd się wybierasz?” „Donikąd”. „Z kim wychodzisz?” „Z nikim” — wyjęła oliwkę ze swojego kieliszka i chwilę trzymała ją między palcami, zanim włożyła do ust. — Córki są niemożliwe — stwierdziła, żując oliwkę. — Wiem coś o tym, bo sama też taka byłam. Na szczęście mam też syna. Bruce'a. Chłopcy są mniej wymagający wobec matek niż dziewczynki.

To przypomniało Julii, co Jack powiedział jej pierwszego dnia: że żadne z dzieci Mary Ford nie rozmawia z matką. Czyżby był źle poinformowany w sprawie jej syna?

— On przynajmniej nie udziela wywiadów do „Inside Edition” i „Access Hollywood”, w których by mówił, jaką byłam złą matką. I nie pozuje nago do „Playboya” — pokiwała głową. — *Wilda czai*a, ta moja córka.

Julia uśmiechnęła się.

— Wiesz, co to znaczy? — zapytała Mary.

— Zwierzę.

— Dzikie zwierzę — sprostowała Mary. Rozparła się wygodniej, dotknęła palcami dużych kolczyków ze skromnymi brylantami.

Mimo

że wyraźnie się ożywiła, gdy Julia zrozumiała wtrącenie w jidysz, widać było, że trudno jej mówić o córce.

— Opowiedz mi o swoim mężu.

— No cóż — zaczęła Julia powoli. — Jest bezrobotny. Mary uniosła brew.

— Ja pytam o to, jaki jest twój mąż, a ty mi mówisz, że bezrobotny? No to musicie być bardzo szczęśliwym małżeństwem!

Julia poczuła, że się czerwieni.

— Nie, nie to chciałam powiedzieć. Nie wiem, czemu to powiedziałam — wyszeptała do samej siebie.

— Wiesz, wiesz.

Julia popatrzyła na nią zdumiona.

— Bo jesteś zła z tego powodu.

— Nie jestem.

— Pewnie, że jesteś. Mąż miał dbać o żonkę, miał ją wspierać, a teraz tego nie robi. Obecnie gadają, że niby nie ma znaczenia, kto zarabia pieniądze, ale ja wiem, że jest inaczej. Zawsze tak było

1 będzie — podniosła kieliszek i pociągnęła spory łyk.

— Dlatego rozpadło się moje pierwsze małżeństwo.

Bo ja więcej zarabiałam.

Julia pokręciła głową. Mary źle ją zrozumiała! Peter został wyrzucony! Szukał i szukał innej pracy, ale nic nie mógł znaleźć! A poza tym zajmował się Scoobem i domem, co przecież jest ciężką pracą (wiedziała to z własnego doświadczenia). Mary jednak nie wydawała się zainteresowana wyjaśnieniami.

— Ile lat ma twój syn?

— Trzy i pół — odpowiedziała Julia z uśmiechem. Już miała dodać, że trzy i pół roku to wspaniały wiek: mówienie, niezależność, rozwój niepowtarzalnej osobowości z jej upodobaniami (rafinowana żywność) i awersjami (owoce i warzywa), z oczekiwaniami (zabawki i prezenty) i marzeniami (pociągi, pociągi i jeszcze raz pociągi). Zdała sobie jednak sprawę, że tak samo myślała na każdym etapie życia Leo, kiedy był noworodkiem, niemowlęciem czy zaczynał chodzić: od mleka dla niemowląt do mleka krowiego, od butelki ze smoczkiem do kubeczka, od kołyski do łóżeczka, od pieluch do majteczek z Bobem Budowniczym. Obawiała się, że Mary, jak większość rodziców dorosłych dzieci, powie coś, co ostudzi jej naiwny entuzjizm.

— Jak ma na imię?

— Leo.

— Leo, czyli Lew — stwierdziła Mary. — Sierpniowe dziecko.

— Właściwie urodził się w kwietniu.

— No to czemu Leo?

Julię zaskoczyło to pytanie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nikt z najbliższych nigdy o to nie zapytał.

— Miałam brata — zawahała się, nie wiedząc, jak to wyjaśnić. — Zmarł, gdy miałam cztery latka. Miał na imię Leo.

Julia ledwo pamiętała brata. Umarł, gdy miał siedem lat, na chorobę krwi, o jakiej nikt wówczas nie słyszał, i której nazwy nawet nie potrafiła wy-

mówić. Całe życie odczuwała jego obecność, a właściwie jej brak w życiu rodziców. Zupełnie jakby pozostała po nim ogromna dziura, szeroka, głęboka, bez końca i bez dna, której nie da się wypełnić, choćby Julia nie wiadomo jak starała się uczynić ich szczęśliwymi. Co roku w jego urodziny powtarzały się te same szeptane zdania: „Miałby już dziesięć lat. Miałby już dwadzieścia. Jak by teraz wyglądał? Kim by był? Co by teraz robił?” Nie była to otchłań jej osobistej pustki i rozpacz, ale musiała w niej żyć — dorastać w pustych pokojach w cichym domu, za wszelką cenę pragnąc uszczęśliwić rodziców. Może dlatego tak wielką przyjemność sprawiało jej macierzyństwo i dlatego też wybrała ten zawód: starała się zadowalać ludzi, których zadowolić się nie da.

— Od razu widać, że ten Leo to twoje oczko w głowie. Julia uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— No to pokaż mi w końcu jego zdjęcie.

Julia zajrzała do swojej dużej czarnej torby i wyjęła komórkę z aparatem fotograficznym. Przejrzawszy zdjęcia, wybrała jedno ze swoich ulubionych: Leo w czerwonej pizamce przy swoim stolczku w kuchni, z podniesionym widelcem i buzią pełną naleśników. Przypomniła sobie tę scenę. To był niedzielny ranek przed jej wyjazdem w trasę. Rodzice przyszli na obiad. Właściwie tylko w ten sposób mogła im ofiarować choć namiastkę prawdziwej radości: rodząc Leo i sprowadzając się po jego narodzinach do Larchmont. Z tego, co matka próbowała powie-

dzieć tydzień wcześniej przez telefon, oraz ze sposobu, w jaki obdarzali Leo bezwarunkową miłością i czułością, której nigdy nie byli w stanie okazać Julii, wiedziała, że w rodzicach zaczęły odzywać wygasłe wiele lat temu uczucia.

Mary wyjęła z torebki eleganckie okulary w prostokątnych czarnych oprawkach i założyła je. Spojrzała na zdjęcie, a potem na Julię.

— Niczego sobie nochalek — stwierdziła i na kilka sekund zatrzymała wzrok na nosie Julii. Potem sięgnęła po menu.

Julia wrzuciła telefon do torby.

Mc dziwnego, że dzieci się do niej nie odzywają.

Toż to prawdziwa czaia. Wilda czaia.

Mary odłożyła ogromną kartę dań restauracji hotelu Ritz-Carlton i zdjęła okulary.

— Ciekawe, czy mają tu kotlet cielęcy.

Julia, ciągle urażona uwagą o nosie Leo, najchętniej nie kiwnęłaby palcem, by jej pomóc, ale z poczucia zawodowego obowiązku szybko zerknęła na listę dań mięsnych. Nie znalazła cielęciny. Nie przejęła się tym. Zamówienia spoza karty — typowe dla znanych osobistości — to jedna z wielu rzeczy, z jakimi zwykle muszą sobie radzić pija-rowcy.

Mary skinęła na kelnerów. Kiedy dwóch z nich — obaj po pięćdziesiątce, żaden nie był Francuzem — podeszło do stolika z otwartymi notesami, oczy Mary rozbłysły. Niczego nie lubiła tak bardzo, jak być obsługiwaną. Dosłownie.

— Oto przed wami dwie wygłodniałe kobiety — zaczęła Mary zalotnie, lecz stanowczo — z których jedna oczekuje odpowiedzi na bardzo ważne pytanie.

Lekko zgięci, z ołówkami uniesionymi nad bloczkami, pokiwali głowami, gdy zapytała o możliwość zamówienia kotleta cieleącego.

— Na pewno możemy spełnić pani życzenie, pani Ford — powiedział pierwszy.

— Zaraz to sprawdzimy — dodał drugi.

Mary podziękowała, poprosiła o rekomendację wina i zamówiła kieliszek polecanego California Merlot. Sącząc wino i oczekując na odpowiedź w sprawie zamówienia, Mary wróciła do spraw, które najbardziej łączyły ją z Julią.

— Jack Raz Dwa dzwonił do mnie dzisiaj. Pytał, jak nam idzie. Wdzięczna za odejście od wciąż bolesnego tematu nosa Leo, Julia poczuła z kolei irytację, że Jack pominął ją i zadzwonił bezpośrednio do Mary.

— Powiedziałam mu, że idzie tak dobrze, jak to możliwe. Biorąc pod uwagę okoliczności. Że jest idiotą.

/ że Mary to osobowość pograniczna.

— Kiedy decydowałam się na Howard Pam Public Relations, myślałam, że będzie się mną zajmował sam Howard — ciągnęła gwiazda. — Znamy się od dawna. Był znajomym mojego pierwszego męża. Tak, Howard jest już taki stary. Ale Howard przekazał mnie Jackowi. A ten mi doradził, żebym reklamowała w Tele-Shopie własną linię kosmetyków do twarzy, jak Victoria Principal albo Tova

Borgnine. Boże broń. Albo jakieś produkty do ćwiczeń czy diety, jak ta idiotka Suzanne Somers.

Nie wiedząc, komu wierzyć — Jack twierdził, że pomysł sprzedaży przez telewizję podsunęła Mary — Julia uznała za najrozsądniejsze milczeć i pozwolić Mary opowiadać.

— To ja wpadłam na pomysł z perfumami. Stwierdziłam, że powinniśmy się wzorować na kampanii Elizabeth Taylor — pociągnęła łyk wina i potrząsnęła głową z dezaprobatą. — Liz Taylor, która ciągle się uważa za Kleopatę na rozgrzanym blaszanym dachu. Ale co ona wyrabia z tym zwariowanym Michaelem Jacksonem, tego chyba nigdy nie zrozumie.

Julia złożyła na pół czerwoną słomkę ze swojego drinka.

Zaczynała się już denerwować, że kelnerzy tak długo nie wracają z decyzją w sprawie cielęciny dla Mary. W chwili gdy postanowiła ich odszukać, zjawili się przy stoliku.

— A więc, pani Ford — powiedział pierwszy, promieniejąc z dumy i lekko się kłaniając — właśnie rozmawiałem z szefem kuchni i uzyskałem zapewnienie, iż dysponujemy cielęciną.

Mary uśmiechnęła się i posłała mu coś, czego pewnie nigdy nie zapomni — mrugnięcie pod tytułem „zuch chłopak”.

— Świetnie — powiedziała.

— Tak — dodał drugi kelner. — Mamy szczęście.

— Szczęście? — uśmiech na twarzy Mary zbladł. Gwiazda spojrzała na kelnera z powątpiewaniem. Julia wyczuła, że nonszalanckie użycie słowa

„szczęście" w odniesieniu do jedzenia wyraźnie ją zdenerwowało.

— Tak — powtórzył znowu z dumą. — Mamy dla pani kotlet cielęcy.

— Świeży? — skrzywiła się.

— Oczywiście.

— Jak świeży?

Kelner ponownie się skłonił, przymykając na chwilę oczy, jakby temat świeżości produktów był święty.

— Bardzo świeży.

Mary wydawała się nieprzekonana. Spojrzała na drugiego kelnera.

— A według pana?

— Sprawdzimy dla pani jeszcze raz.

Mary wzniosła wzrok ku sufitowi, a kelnerzy pomknęli z powrotem w kierunku drzwi do kuchni, niczym posłuszne latające małpy z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Tym razem wrócili niemal natychmiast.

— Szef kuchni twierdzi, że kotlet cielęcy jest bardzo świeży — powiedział pierwszy kelner.

Drugi lekko się zawahał.

— Mówi, że jest świeży.

Mary Ford obróciła się w taki sposób, żeby mieć ich obu wprost przed sobą.

— No więc jak to jest? — spoglądała raz na jednego, raz na drugiego. — Ten tu Pat — wskazała kciukiem pierwszego kelnera — mówi, że kotlet jest bardzo świeży. A ten tu Pataszon — wskazała drugim kciukiem — mówi, że jest dość świeży.

— Szef kuchni powiedział mi, że cielecina została dostarczona dziś rano — odparł; IPai, trzymając się swojej wersji. y' Pataszon spojrział na Mary z wahaniem. Widać było, że też pragnie trzymać się swojej wersji.

— Szef kuchni poinformował mnie, że cielecina mogła być dostarczona wczoraj lub przedwczoraj. Co by znaczyło, że jest jeszcze dość świeża.

— Świeża. Bardzo świeża. Dość świeża — Mary popatrzyła znacząco na Julię, a potem na kelnerów. — Powinniście uzgodnić wersje, bo najwyraźniej jeden z was kłamie.

Obaj zawstydzeni kelnerzy, teraz już obserwowani przez innych gości, pognali znowu do kuchni. Tym razem wrócili wraz z szefem kuchni, który niósł przed sobą na tacy surowy kawałek cieleciny. Julia najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Mary założyła okulary, a Pat i Pataszon podstawili jej tacę niemal pod sam nos. To jednak najwyraźniej jeszcze bardziej podziałało jej na nerwy.

— Przecież nawet nie wiem, na co patrzę. Nie jestem jakimś tam rzeźnikiem!

Zdjęła okulary, westchnęła głośno i podniosła wzrok na szefa kuchni w białej marynarce i czapce.

— Skoro pan twierdzi, że to jest świeże, muszę wierzyć na słowo. Mam inne wyjście?

Szef kuchni klasnął w ręce.

— Może pani wybrać coś innego z naszej bogatej karty dań — powiedział z wyraźnym francuskim akcentem.

Wiedząc, że go zdenerwowała i uraziła, i mając świadomość, że już pora podjąć ostateczną decy-

zję, stwierdziła w końcu — takim tonem, jakby wyświadczała mu wielką przysługę — że jednak weźmie ten kotlet cielecy.

— Tylko ma być dobrze wysmażony — dodała, a gdy wszyscy trzech już odeszli, zwróciła się do Julii scenicznym szeptem — Francuzi! To dopiero egocentrycy!

Mary opróżniła swój talerz oraz zamówiła kawę i kawałek ciasta na deser, po czym wyjęła kuferek Clausa von Bülowa i podłubała wykałaczką w zębach. Julia ledwie spróbowała sałatki i smażonego łososia, którego w innej sytuacji pochłonełaby w kilka minut, tymczasem tutaj, w trzecim dniu trasy, pod wpływem krążącej we krwi adrenaliny, nie była w stanie nic przełknąć. Wreszcie podpisała rachunek i obie opuściły boks. Kiedy po wyjściu z windy szły powoli korytarzem w stronę swoich apartamentów, Mary zwolniła kroku.

— Perfumy o zapachu, który miał być odtworzony w Legendzie, podarował mi ojciec. Kiedy miałam dziewiętnaście lat, zabrał mnie do Paryża, by mi pokazać, gdzie się urodził. Zaprowadził mnie do starego przyjaciela rodziny, kreatora perfum.

Szły dalej, ale Mary — czy to celowo, czy ze zmęczenia — wyraźnie zwalniała. Julia podejrzewała, że chce mieć czas na dokończenie opowieści.

— Mój ojciec był bardzo przystojny. Kobiety za nim szalały. Życie mojej matki było piekłem, ale ja go uwielbiałam — przerwała na chwilę, żeby wy-

ssać coś spomiędzy zębów. — Wiesz, czym się zajmował?
Julia zaprzeczyła ruchem głowy.

— Sprzedawał szczotki. Był komiwojażerem. Po kilku sekundach milczenia Mary zwróciła się do Julii.

— A twoi rodzice?

Po tym, jak Mary zareagowała na widok nosa Leo, Julia nie miała już ochoty odpowiadać na żadne osobiste pytania, ale zrobiło się późno, były same, i wydawało się, że nie da się tego uniknąć.

— Są już na emeryturze — odparła wymijająco — ojciec był księgowym, a matka uczyła w podstawówce.

— No to jesteś jak ja. Z nizin społecznych, ale ambitna.

Julię zaskoczyło, że Mary uważa ją za osobę ambitną. Nigdy nie myślała o sobie w ten sposób, ale możliwe, że kiedyś, przed urodzeniem syna, taka była.

Mary szła coraz wolniej, bo zbliżały się do drzwi.

— Coco Chanel twierdziła, że kobieta powinna być zawsze spowita zapachem perfum, gdy spodziewa się pocałunku — powiedziała Mary. — A Heinrich Heine napisał, że perfumy to uczucia kwiatów. Może już nikt mnie nie pocałuje, ale wciąż używam perfum. I nadal nie jestem pozbawiona uczuć.

Zatrzymały się przed drzwiami pokoju Mary. Aktorka położyła dłoń na ramieniu Julii i delikatnie pociągnęła ją za zakiet.

— Wejdź do mnie na chwilę — powiedziała,
wsuwając kartę w zamek. — Pomożesz mi zdecy-
dować, co zamówić na śniadanie, i zobaczymy, czy
tym razem ten bałwan w telewizji pozwoli jakiemuś
innemu bałwanowi wtrącić chociaż słówko.

17.

Gdy następnego dnia Julia zjawiała się w biurze, Jack siedział przy biurku i rozmawiał z kimś przez telefon. Spojrzał na nią, lecz się nie odezwał ani nie wykonał żadnego gestu, jakby w ogóle jej nie zauważył. Julia miała ochotę pokazać mu środkowy palec, ale zamiast tego poszła z bagażem w stronę Jonathana, który pomachał do niej radośnie ze swojego boksu, wyskoczył zza biurka i ruszył za nią do gabinetu. Ledwo się oboje mieścili w tej klitce.

— Witaj w domu! — powiedział i postawił na jej biurku olbrzymi kubek kawy Starbucks. — Pomyślałem, że dobrze ci robi.

Na widok znajomego zielonego logo na kubku Julia osunęła się na krzesło. Taki miły gest!

— Chciałabym cię wyściskać!

— Oto skutki długiego przebywania w towarzystwie złośliwej, przebrzmiałej sławy. Ktoś robi coś miłego, a ty już chcesz go ścisnąć.

Jonathan cofnął się o krok, roześmiał i udał, że rysuje wokół siebie niewidzialną linię.

— Granica!

Julia też parsknęła śmiechem, a wtedy zdała sobie sprawę, że zachowuje się tak po raz pierwszy od kilku dni.

— To naprawdę bardzo wzruszające.

— Daj spokój. Przecież to nic takiego. Wiedziałem, kiedy przylatujesz, i wiedziałem, że będziesz

zmęczona. Tylko przeszedłem przez ulicę — wzruszył ramionami.

— Właśnie że nie. I do tego taka wielka kawa kosztuje mniej więcej jedną czwartą twojego tygodniowego zarobku.

Sięgnęła do torby po przywiezione dla niego drobiazgi.

— Proszę — powiedziała, wręczając mu szklaną kulę z ośnieżonym Kapitołem, którą wybrała w sklepie z upominkami, kiedy kupowała koszulki drużyny Washington Wizards dla Petera i Leo. A ponieważ wciąż nie mogła opanować wzruszenia po tak sympatycznym powitaniu, podarowała Jonathanowi jeszcze zestawy mydełek, szamponów i czepków pod prysznic, zabrane z obu hoteli z myślą o sobie. — Pomyślałam, że się ucieszysz. Postanowiła też, że później wsunie dziesięciodolarówkę do jego czarnej torby. Twarz Jonathana, rozpromieniona na widok kiczowatej, staromodnej „śnieżnej kuli”, rozjaśniła się jeszcze bardziej, gdy Julia wyjęła te wszystkie miniaturowe kosmetyki.

— Jeju! — szepnął z niemal nabożną czcią. — Są super! A ja właśnie potrzebuję szamponu.

Julia uśmiechnęła się. Dobrze pamiętała czasy, kiedy ledwo wiązała koniec z końcem, żyjąc z pensji asystentki. Jaką czuła wówczas ulgę, gdy nie musiała płacić za lunch, bo ktoś z biura zapraszał ją na koszt firmy, jaką gratką były darmowe bilety do kina — niczym wygrana na loterii!

Gdy Jonathan usiadł i Julia zaczęła opowiadać mu o podróży, zadzwonił Jack. Wzywał ją do sie-

bie. Grymasem twarzy dała Jonathanowi do zrozumienia, jak bardzo się „cieszy”, zabrała kawę i powlokła się do Jacka.

— Mamy problem — powiedział, gdy weszła do jego gabinetu. Julia usiadła na jednym z krzeseł dla gości.

— A cóż takiego zrobiłam? — wiedziała, że przebłyski ludzkich zachowań Mary z poprzedniego wieczoru były zbyt piękne, by mogły być prawdziwe.

— Nic nie zrobiłaś.

— To nie z mojej winy Legenda nie schodzi — dodała, mając na myśli słabe wyniki sprzedaży z ostatnich dni, które przesłała mu mailem.

Jack potrząsnął głową.

— Chodzi o córkę Mary, Lindsay. Tę z Los Angeles. Aktorkę łamane przez pisarkę łamane przez działaczkę bez sprawy.

— Co z nią?

— Właśnie znalazła sobie sprawę. Albo sprawa znalazła ją. Prawa zwierząt. PETA*.

— No i co? — Julia zmarszczyła czoło. — Co to ma wspólnego z Legendą?

— Wiele. PETA przygotowuje się do wydania oświadczenia, w którym wymienia Heaven Scent Cosmetics jako jedną z pięciu głównych firm naruszających ustawę o prawach zwierząt. Ta ustawa określa zasady humanitarnego traktowania zwie-

* PETA — People for the Ethical Treatment of Animals (Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt), ruch broniący praw zwierząt w USA.

rząt wykorzystywanych w laboratoriach, opieki nad nimi i ich transportu. A Lindsay Green, córka naszej Mary Ford, propaguje te hasła, atakując w swojej kampanii nowe perfumy lansowane przez matkę.

— To dopiero! — Julia opadła na oparcie krzesła.

Wyobraziła sobie wiadomości telewizyjne, w których agresywni działacze ruchu atakują kobiety w futrach czerwoną farbą w sprayu i kawałkami tofu. Jeszcze tego brakowało, żeby Leo, Peter i rodzice zobaczyli w telewizji, jak ona i Mary wychodzą z domu towarowego i zasłaniają twarze, jakby opuszczają sąd po głośnym procesie. Pomyślała o metodach działania obrońców praw zwierząt i o ich wybrykach (nie tylko oblewali kobiety w futrach czerwoną farbą, ale też czatowali na słynne gwiazdy noszące futra, by podczas lunchu rzucić im martwe zwierzę na stół). Przerazona, rozważała, jak mogą zaszkodzić Mary i w jaki sposób są w stanie zakłócić dalszy przebieg zorganizowanej trasy.

— No nie — szepnęła.

— Jeszcze dzisiaj ta wiadomość trafi do radia i telewizji, a jutro znajdzie się w prasie i w porannych programach. Świetny moment.

Istotnie świetny moment, nie ma co.

— Cholera!

Pragnęła wrócić wreszcie do domu i zacząć weekend. A teraz nagle poczuła się tak, jakby to nigdy nie miało nastąpić. Zdjęła skuwkę z pióra i przerzuciła kartkę w notesie. Napila się kawy.

— To znaczy, że Heaven Scent wciąż testuje produkty na zwierzętach? — zapytała.

— Najwyraźniej.

— Przecież większość dużych firm kosmetycznych zarzuciła już takie praktyki właśnie z powodu podobnych nacisków i obaw przed ostracyzmem w branży.

— I co z tego?

— Jak to co? Chyba powinniśmy wcześniej o tym wiedzieć — stwierdziła.

— Pewnie, że powinniśmy — odparł Jack ostro. Julia wiedziała, że nie znosił być niemile zaskakiwany. — I pamiętam, że kazałem twoim poprzedniczkom zająć się tą sprawą. Ale one nie bardzo się przykładały. Julia pomyślała, że aż trudno uwierzyć, by Jack nie sprawdził Heaven Scent przed podpisaniem z nimi umowy. Widziała, jak był przygotowany do spotkania z Davidem Cassidym, i dlatego nie mieściło się jej w głowie, że nie dopilnował czegoś, co było istotne z punktu widzenia interesów Mary. Nie miała jednak czasu, by się dłużej nad tym zastanawiać. Jack stał przy biurku, przewracając kartki i otwierając segregatory. Po tych niecierpliwych gestach i sposobie, w jaki poprawiał pasek u spodni (jak ona tego nie lubiła!), widać było, że za chwilę zacznie wydawać rozkazy.

Przede wszystkim Jack nakazał jej odnaleźć syna Mary, Bruce'a — pediatrę, który miał prywatny gabinet na Manhattanie i pracował w przychodni w Bronksie. Wręczając jej numery telefonów do obu miejsc, wydał polecenie, by spróbowała namówić

Bruce'a do publicznego wystąpienia, najlepiej przed kamerami, w którym broniłby matki i równoważył „negatywną reklamę”, jaką fundowała Mary jego przyrodnia siostra.

Kiedy jednak Julii udało się odnaleźć Bruce'a na Manhattanie i z nim porozmawiać, lekarz grzecznie odmówił mieszania się w coś, co określił jako „brudną publiczną batalię”, w co jego matka i siostra zawsze pragnęły się wdać.

Skoro rzucenie Bruce'a na żer mediom okazało się niemożliwe, Julia uznała, że musi odwieść PETA od publicznych protestów i akcji, które mogłyby kolidować z promocją Legendy. Wiedziała, że będzie to niezwykle trudne, zważywszy że ci z PETA znani są z zaciętości, pomyślała jednak, że powinna spróbować. Po dwóch godzinach rozmów — najpierw z rzecznikiem prasowym PETA, potem z „siostrami Olsen” i radcą prawnym z Heaven Scent — Julia wróciła do gabinetu Jacka, by mu obwieścić osiągnięcie chwilowego rozejmu.

— Jeśli Mary zgodzi się na publiczne wystąpienie, w którym potępi wykorzystywanie zwierząt do testów, a my wycofamy zdjęcia Mary w futrze z bobrów, PETA zaniecha protestów przeciwko Legendzie.

Jack otworzył usta ze zdumienia.

— Co?!

Julia powtórzyła warunki umowy. Nagle zdała sobie sprawę, że on zachowuje się tak, jakby nie wiedział, o czym mowa.

— Oczywiście, nic nie poradzimy na początkową falę czarnego pijaru. Jak sam mówiłeś, wszyst-

kie stacje mają już gotowy materiał i w najbliższych dniach chcą to puszcząć wraz z wywiadami z Lindsay i fragmentami starych filmów z Mary Ford. Ale zaczyna się weekend, i dobrze, bo wtedy nadają mniej wiadomości i możemy nieco zyskać na czasie.

— Kto wymyślił te publiczne wystąpienia? - J a .

— A kto wymyślił, żeby zaprzestać protestów? *Czy to nie było oczywiste?*

— No, też ja — odpowiedziała.

— Trzeba to było ze mną uzgodnić.

Tym razem to ona nie potrafiła ukryć zdziwienia.

— Dlaczego?

— Ponieważ ja, podobnie jak rząd Stanów Zjednoczonych, nie uznaję negocjacji z terrorystami.

Julia parsknęła śmiechem.

— No nie! Jack! Właśnie udało mi się przekonać najbardziej zażartych, najbardziej fanatycznych obrońców zwierząt, by zawiesili broń, a ty żałujesz, że wcześniej nie poprosiłam cię o pozwolenie?!

— Chyba nie rozumiesz.

— Wybacz, ale chyba nie — teatralnym gestem rozłożyła ramiona, po czym opuściła je, głośno uderzając rękami w uda.

— Słuchaj... Chodzi o to, że... kampania Legendy jest... i od początku było wiadomo, że będzie... porażką. Żeby wywiązać się z zadania zawartego w kontrakcie, czyli zorganizować powrót Mary w światła jupiterów, musieliśmy wymyślić jakiś

sposób — wykorzystać Legendę jako punkt wyjścia, jako środek, a nie cel. Wreszcie zrozumiała.

— Wiedziałeś o Heaven Scent. Wiedziałeś o testach na zwierzętach.

Skinał głową.

— I to ty poinformowałeś tych z PETA. Wzruszył ramionami z udawaną skromnością.

— I córkę Mary też — dokończyła. Te wszystkie kawałki nagle ułożyły się w logiczną całość. — Musimy oddzielać osobę od produktu. Tak powiedziałeś.

Jack uśmiechał się, wyraźnie zadowolony. Widać było, że niewiele rzeczy sprawia mu większą przyjemność, niż gdy ktoś cytuje jego własne słowa.

— Więc do tego to wszystko zmierzało? — zapytała Julia. — To był twój pomysł na rozwiązanie problemu Mary? Czarny pijar i zamieszanie wokół Heaven Scent jako siła napędowa jej powrotu?

Jack mrugnął porozumiewawczo.

— Nie sądzę, żeby miała szansę na coś lepszego. Już wstępne badania rynku pokazały, że liczba jej fanów jest minimalna.

Dlatego wprowadziłem PETA i córkę Mary. Zamieszanie wywołane protestami odwróci uwagę od tych cholernych perfum, a skieruje zainteresowanie mediów bardziej w stronę samej Mary.

— Ale zainteresowani będą do niej wrogo nastawieni! Dawna gwiazda zwolenniczką okrucieństwa wobec zwierząt. Córnica publicznie atakuje matkę i sabotuje jej przedsięwzięcia. Czy to może przynieść pozytywne rezultaty?

Jack wzruszył ramionami.

— Zawsze jest jeszcze ludzki aspekt. Ludzie lu biał przegranych. Polityczne kwestie całej sprawy szybko pójdą w zapomnienie, a ludzie będą współczuć Mary, że jej własna córka występuje przeciwko niej, nawet jeśli robi to tylko dlatego, by zwrócić na siebie uwagę. Julia, choć dostrzegając — a nawet potrafiła docenić — przewrotną inteligencję tego planu, miała opory, by się pogodzić z jego cynizmem.

— No a Mary? Kiedy jej powiemy i c o masz zamiar jej powiedzieć?

— Zadzwońię do niej jeszcze dzisiaj i uprzedzę, co się święci. Ale nie powiem, że sam to nakręciłem...

Julia wyczuła w głosie Jacka cień rozczarowania, że coś, co uważa za jedno ze swoich najbardziej kunsztownych dzieł, zostanie na zawsze pogrzebane w otchłani tajemnicy zawodowej, będącej częścią umowy między firmą a klientem.

— A jeśli się dowie? Nie lepiej, żeby się dowiedziała od ciebie, a nie od córki albo jakiegoś producenta telewizyjnego show?

— Lindsay jej nie powie.

— Skąd ta pewność?

— Bo to część umowy. W zamian za wyświadczenie nam tej drobnej przysługi zyskuje zainteresowanie mediów i okazję związania się z politycznie poprawną sprawą.

Julia aż wzdrygnęła się, słysząc, że Jack uważa ją za współniczkę w tej intrydze.

— Mówiłem ci już podczas naszej pierwszej rozmowy — dodał, sięgając po słuchawkę telefonu, co było jasnym sygnałem, że pora kończyć. — Bywają przypadki, gdy dawna gwiazda nie powinna myśleć o powrocie. I tutaj mamy do czynienia właśnie z takim przypadkiem.

* * *

W przypadku Julii było zupełnie inaczej. Upragniony powrót do domu na weekend — bieg do drzwi, przekroczenie progu i szukanie Scooba, by się przywitać — został nagrodzony mocnym uściskiem, tak długim, na jaki Leo pozwolił (dłuższym, niż się spodziewała, ale i tak krótszym, niż by pragnęła). Przebierając się w ulubione spodnie (wydało się jej, że są luźniejsze niż przedtem), zasiadając do kolacji (sałatka grecka z kurczakiem na wynos z restauracji w sąsiedztwie) i w końcu leżąc we własnym łóżku między Peterem a Scoobem (wiedziała, że nie powinna pozwalać mu spać z rodzicami, ale po kilku dniach poza domem nie liczyły się żadne książkowe teorie) — czuła całą sobą, jak wspaniały może być smak powrotu.

18.

Zapowiadało się, że ten weekend minie jeszcze szybciej niż inne. W sobotę wieczorem miała przyjść na kolację Patricia. Zawsze gdy przyjeżdżała do nich w czasie weekendu, zostawała na noc. Dla niej wyjazd do Larchmont był wyprawą „za miasto”, a taka wyprawa nie miała sensu, gdy odbywała się w pośpiechu. Poza tym, wbrew głoszonym przez nią hasłom o wielkomijskiej niezależności, Patricia nie zносиła wracać w nocy sama do pustego mieszkania. Julia bardzo cieszyła się z tych wizyt. Patricia była u nich dużo spokojniejsza, mniej spięta niż w warunkach wielkiego miasta. Obdarowywała Leo uwagą i prezentami niczym dobra ciocia, a Julii i Peterowi przywoziła coś, czym cieszyli się jeszcze przez wiele dni i tygodni — mnóstwo tematów do rozmów o jej klientach, mężczyznach i jej życiu, które w porównaniu z ich życiem wydawało się takie barwne.

Zwykle Patricia docierała do Larchmont dopiero koło siedemnastej. Jak przystało na prawdziwą „supermankę” była wiecznie zabiegana. Jej sobotni grafik był tak samo przepełniony jak rozkład innych dni tygodnia. Musiała pojechać do pralni, odsiedzieć swoje u kosmetyczki, a także dostarczyć organizmowi odpowiednią dawkę ruchu — wcześniej rano, przed załatwianiem innych spraw, pójść na zajęcia pilates, a potem na zajęcia z bikram jogi.

W tę sobotę, z powodu dodatkowego zabiegu pielęgnacyjnego, dotarła do Larchmont dopiero po osiemnastej.

— Przepraszam, że tak późno — powiedziała, gdy Julia odebrała ją z dworca — ale w ostatniej chwili zwolnił się termin na thermage i miałam okazję się wcisnąć.

— A co to takiego? — zapytała Julia, sięgając po jedną z trzech toreb Patricii.

— To najnowsze osiągnięcie w dziedzinie nie-chirurgicznej likwidacji zmarszczek i zapobiegania im.

— Brzmi jak komunikat dla prasy.

— Bo jestem żywą reklamą. Thermage to klient. Julia włożyła torby Patricii do bagażnika.

— A po co ci zabiegi przeciwzmarszczkowe? Przecież nie masz zmarszczek.

— Ale będę miała.

— Ale jeszcze nie masz.

— Pewnie bym miała, gdybym nie robiła takich rzeczy.

— Masz dopiero trzydzieści sześć lat.

— Ty też.

— Wiem.

— No to o co ci chodzi? — zapytała Patricia, która w obcisłych dżinsach, ze świeżo rozjaśnionymi włosami i idealnie umięśnionymi pośladkami zdawała się przeczyć prawom natury: im starsza, tym atrakcyjniejsza.

— Że jesteś za młoda na zmarszczki. Patricia roześmiała się i wsiadła do samochodu.

— Jedyną osobą, którą jest za młoda na zmarszczki, jest mój słodki Scoob. A teraz zabierz mnie do niego.

Wyjechały z parkingu i jeszcze na chwilę zatrzymały się przed supermarketem, żeby kupić parę drobiazgów potrzebnych Peterowi do kolacji. Przygotowywał lazanie z warzywami, o bardzo skomplikowanej nazwie, i z czterema gatunkami sera (odstąpił od pierwotnego zamiaru zrobienia lazanii o równie skomplikowanej nazwie z trzema gatunkami mięsa, kiedy sobie przypomniał, że Patricia jest wegetarianką). Przepis znalazł w „Kuchni Ilustrowanej” — czasopiśmie z tak szczegółowymi i skomplikowanymi opisami, tyloma wskazówkami i wykresami, że idealnie pasowało do charakteru Petera, miłującego porządek i dokładność. Potem zatrzymały się przed wypożyczalnią video, żeby wybrać film na wieczór.

Obeszły wszystkie półki, przejrzały niemal wszystkie nowości — większość z nich w sobotę wieczorem była już wypożyczona — i w końcu, nie będąc w stanie wybrać czegokolwiek, częściowo dlatego że Patricia już wszystko widziała, a Julia prawie nic, Patricia zaproponowała, żeby wzięły stare filmy z Mary Ford. — Musimy? — próbowała oponować Julia. Chciała zapomnieć o Mary Ford, a nie organizować przegląd jej filmów we własnym domu.

— Tak.

— Czemu?

— Bo tak się robi, gdy się jest pijarowcem z prawdziwego zdarzenia. Chwalisz się swoim klientem każdemu, kto tylko chce słuchać.

W domu przywitały je zapachy kolacji. Leo miał na sobie ulubioną piżamkę w planety i księżycy, która już była za mała, ale ani Peter, ani Julia nie potrafili mu tego wytłumaczyć. Kiedy Patricia zobaczyła Leo, a on zobaczył ją, ich twarze momentalnie się rozjaśniły. Ona z radością chwyciła go w ramiona, a wtedy Julia zauważyła jej napięte bicepsy i tricepsy oraz jędrne ciało pod ramieniem. Zdążyła nawet pomyśleć, czy ten thermage wpływa też na inne części ciała poza twarzą.

Po długim powitalnym uścisku Patricia wręczyła Leo torbę pełną prezentów: kurtkę o fasonie kurtek pilotów z francuskiego sklepu z odzieżą dziecięcą na Madison, dwie kasety z *Bobem Budowniczym*, zestaw lokomotyw i zoo. Zachwycony i szczęśliwy, pobiegł do salonu, gdzie przepadł przez następną godzinę, kiedy Peter kończył przygotowania do kolacji.

— Zawsze mówiłaś, że on nie umie gotować — powiedziała Patricia, wyraźnie zdumiona, gdy Peter wreszcie postawił na stole lazanie, wyglądającą dokładnie jak na zdjęciu w czasopiśmie, sałatkę i chleb czosnkowy, po czym znowu zniknął w kuchni.

— Nie umiał. Aż poszłam do pracy. Na początku gotował, bo musiał, ale teraz chyba go wciągnęło. Jest tym tak przejęty jak Martha Stewart. O kurczę, to zabrzmiało, jakbym narzekała. Ale tak nie jest.

Patricia uniosła brwi.

— Właśnie, że jest.

— Nie.

— Tak, tak. Myślisz, że już powinien znaleźć pracę, taką prawdziwą.

— To też jest prawdziwa praca. Zajmowanie się domem, opiekowanie się dzieckiem. Przecież ja to dobrze wiem. Robiłam to prawie cztery lata — Julia omiotła oczami wewnątrz i wybuchnęła nienaturalnie głośnym śmiechem.

— Przecież ja cię nie winię. Sama pewnie bym tak myślała, gdyby mój mąż za bardzo polubił zajmowanie się domem. Chociaż... muszę przyznać — Patricia przerwała, żeby się dokładniej rozejrzeć po lśniącym czystością pokoju i poczuć zapach jedzenia — chyba mogłabym się przyzwycząić.

Julia ze zrozumieniem kiwała głową. Ona już się przyzwycząiała.

— No to w czym problem? — naciskała Patricia.

— Nie ma problemu.

— Ale?

— Ale masz rację — przyznała w końcu. — Chyba myślę, że już dawno powinien znaleźć sobie pracę.

— Ma jakieś pomysły? Julia wzruszyła ramionami.

— Nie wiem.

— Nie rozmawiacie o tym?

— Już nie.

Julia zakładała, że Peter przestał opowiadać o wizytach w biurze pośrednictwa, ponieważ jej podróże wprowadziły spory zamęt w organizację życia rodzinnego, ale teraz przyszło jej do głowy, że może poszukiwanie pracy zarobkowej przestało go interesować.

Miał przecież pełne ręce roboty: zajmował się Leo i Batmanem, i jeszcze spotykał się z matkami po odprowadzeniu dzieci do przedszkola. Do tego gotowanie, zakupy, domowe porządki, których nie zanedbywał, a nawet — co musiała przyznać — był w nich dużo lepszy niż ona.

Nie uszło też jej uwagi, że Peter zaczął już pracować nad halloweenowym domkiem. Gdy wróciła w piątek do domu, czuła zapach piernika, a w lodówce zobaczyła starannie zawinięte upieczone części, czekające na złożenie. Wszystkie dekoracje oblane czarną polewą były już kupione i nawet grafik rodzinny został tak zaktualizowany, że uwzględniał planowany postęp prac (skupisko niebieskich kwadratów podpisanych „piernik”). W sobotę rano części domku zostały połączone, a kiedy Julia pozałatwiała swoje sprawy i wraz z Patricią wróciła wieczorem, dach zdołały czarne dachówki, a do okien przymocowane były okiennice.

Nie zauważyła żadnych śladów piekła, przez które kiedyś przechodziła.

Chciała wyjaśnić Patricii, że istnieje różnica między tym, że nie tęskni do prac domowych i całego trudu związanego z prowadzeniem domu, w którym jest dziecko, a tym, że tęskni do samego Scooba, jednak wydało się jej to nieco pokrętne i trudne do wytłumaczenia.

A może sama tego nie rozumiała.

Peter wrócił do jadalni z butelką białego wina w jednej ręce i aparatem cyfrowym w drugiej.

Patricia odruchowo pochyliła się w stronę Julii i uśmiechnęła jak do zdjęcia. Peter wyraźnie się zmieszał.

— No dobra — powiedział po chwili, jakby dopiero teraz zrozumiał, jaką popełnił gafę. — Najpierw sfotografuję jedzenie, a potem pstryknę wam parę fotek.

Gdyby danie nie wyglądało i nie pachniało tak smakowicie, Patricia pewnie bezlitośnie nabijałaby się z tego, że Peter chce je uwiecznić. Ponieważ jednak spróbowała lazanii, sałatki i chleba, nie odezwała się ani słowem. Gdy na stole pojawił się deser — tort czekoladowy wykonany według kolejnego niezwykle skomplikowanego przepisu z „Kuchni Ilustrowanej” — Patricia sama chwyciła aparat i zrobiła kilka zdjęć. Zaskoczona i zachwycona talentami Petera (gotowanie, reorganizacja, rekonfiguracja i tworzenie „nowej, ulepszonej płynności”, o których opowiadał przy kolacji, do tego kolorowy wykres, który widziała w kuchni), Patricia wpadła w jeszcze większy podziw, gdy Julia koło dziewiątej poszła położyć Scooba, lecz wróciła po chwili, mówiąc do męża z wymuszonym uśmiechem:

— Chce ciebie.

Potem obróciła się w stronę Patricii, nie przestając się uśmiechać, jakby od tego zależało jej życie. Biorąc pod uwagę, jak wrażliwa była w tym czasie na punkcie swego macierzyństwa i losu pracującej matki, nie można wykluczyć, że ten uśmiech rzeczywiście utrzymywał ją przy życiu.

— Zwykle chce, żebym ja go usypiała. Ale zdaje się, że od mojego wyjazdu przywiązał się do Petera.

Peter starał się nie zwracać na to uwagi, ale nie potrafił powstrzymać uśmiechu satysfakcji.

— Zaczęliśmy się bawić w taką nową zabawę — powiedział. — Nazywamy ją „rolmops” — wstał, otarł usta, przełknął ostatni kęs ciasta i pociągnął łyk kawy. — Po czytaniu bierzemy tę długą poduszkę z naszego pokoju i zawijam w nią Leo.

— Odkąd to on wie, co to jest rolmops? — zapytała Julia z niedowierzaniem, zdziwiona, że jej dziecko w tak krótkim czasie mogło aż tyle się nauczyć.

— Nie wie — odparł Peter. Położył dłoń na ramieniu Julii i pocałował ją w policzek, chcąc podnieść ją jakoś na duchu. — Nazywa to rolmopsem, bo ja użyłem tego słowa, jak zobaczyłem go pierwszy raz zawiniętego w poduszkę.

Peter poprosił, żeby zostawiły naczynia i poszły oglądać film bez niego, bo jego nieobecność może chwilę potrwać. Julia wzięła więc kasety i przeszła do salonu, gdzie z werwą zajęła się ustawianiem magnetowidu, chcąc ukryć przed Patricią swoje zmieszanie, poczucie zawodu i przykrości. Przyjaciółka rozgryzła ją bez trudu.

— Nie rozumiem — stwierdziła Patricia, sadowiąc się na kanapie z kieliszkiem wina. — Nie cieszysz się? To znaczy... dzięki temu możesz chwilę odpocząć.

Julia spojrzała na sufit. Z sypialni na górze dobiegały wybuchy śmiechu, których starała się nie słuchać.

— Zwłaszcza po ciężkim tygodniu z białą limuzyną i alarmem w hotelu.

Julia westchnęła. Patricia miała rację. A przecież nie znała nawet połowy jej problemów. W ciągu kilku minut Julia opowiedziała jej o wszystkim, z wyjątkiem nieszczęsnego pierwszego lotu — opowiedziała o incydencie z cielęcina, konflikcie z PETA, o tym, jak rozwiązała tę sprawę, a Jack uznał, że tylko pogorszyła sytuację Legendy, i tak skazanej na porażkę.

— Ta Lindsay Green wygląda mi na niezłe ziółko — podsumowała Patricia.

— W końcu uczyła się u mistrzyni.

— Taka córka wystarczy za całą armię wrogów.

— Wiesz coś o niej? Patricia wzruszyła ramionami.

— Niewiele. One nigdy się nie zgadzały, bo Mary zawsze stawiała siebie i swoją karierę na pierwszym miejscu. Jak każde dziecko ignorowane przez rodziców w okresie dorastania Lindsay Green prawdopodobnie spędzi resztę życia, usiłując zwrócić na siebie uwagę matki.

Julia przypomniała sobie słowa Jonathana, który powiedział, że dla takich ludzi jak córka Mary zainteresowanie, nawet w negatywnym kontekście, jest lepsze niż brak zainteresowania.

— Tak bardzo im na tym zależy — stwierdził.

Julii trudno było sobie wyobrazić, by komuś mogło tak bardzo zależeć na zainteresowaniu innych. Gdy jednak śmiechy na górze ucichły i wyobraziła sobie Petera przytulonego do Leo, nagle zrozumiała, że sama byłaby w stanie robić masę

głupich, infantylnych rzeczy, byle tylko odzyskać zainteresowanie Leo.

— Pamiętam, że kiedyś próbowała wydać swoją powieść — powiedziała Patricia, podając Julii kasetę. — Ale nie było chętnych. Może gdyby to nie była powieść, miałyby więcej szczęścia.

Julia zgasiła światło, usiadła w drugim kącie kanapy i za pomocą pilota włączyła *Cenę miłości*.

— Pamiętam, kiedy pierwszy raz widziałam ten film — szepnęła Patricia, gdy pojawiły się napisy. — Miałam wtedy czternaście lat. Wiesz, pierwsze zainteresowania chłopakami, imprezy, na których uczyliśmy się palić i całować... I kiedyś pojechaliśmy z kumplami pociągiem z Greenwich na Manhattan, do Thalii, gdzie puszczały stare filmy. Film był taki romantyczny, a ona taka piękna. Wszyscy beznadziejnie zakochaliśmy się w Mary Ford, tak samo zresztą jak w Rayu Millandzie.

Nieszczęśliwy romans toczący się w Anglii pod koniec drugiej wojny światowej, nakręcony na czarno-białej taśmie, był typowym produktem dawnych studiów filmowych, służącym promowaniu gwiazd. Wysoka, smukła, wytworna, o delikatnej karnacji i subtelnym, melodyjnym, uwodzicielskim głosie, Mary Ford była dokładnie taka, za jaką uchodziła.

* * *

Późnym wieczorem Julia weszła do kuchni. Umieściła już Patricję w pokoju gościnnym, włączyła zmywarę, bo Peter zasnął razem z Leo, wyjęła kasetę z magnetowidu i wsunęła do pudełka,

które z kolei włożyła do nowego koszyka, oznakowanego „Do wyniesienia”. Było cicho, spokojnie. Poza szumem zmywarki w całym domu nie rozlegał się żaden dźwięk. Stojąc przy zlewie, czuła się samotna, ale spokojna. Wszyscy spali. To zawsze była jej ulubiona pora — ciemność i cisza nastrajały do tego, by przed snem przemyśleć różne sprawy. Te ostatnie tygodnie były tak nerwowe i męczące, że nie miała nawet chwili dla siebie.

Aparat fotograficzny ciągle leżał na stole, wyjęty z futerału. Julia uśmiechnęła się na wspomnienie Petera wchodzącego do jadalni z zamiarem sfotografowania jedzenia, podczas kiedy Patricia spodziewała się, że to ona ma być na zdjęciu. Julia zaczęła przeglądać fotografie. Na dwóch ostatnich były lazania i tort. Przesuwała wstecz — oglądała wszystkie zdjęcia, jakie Peter zrobił, gdy ona była w pracy i w podróży: zapiekany makaron z serem niczym z lat pięćdziesiątych, złocista zapiekanka z warzywami na półmisku, sterta naleśników ze stopionym masłem i syropem spływającym po bokach. Gdyby utrwalone były tylko potrawy, Julia mogłaby uznać, że Peter przejawia nienaturalną skłonność do fetyszyzowania jedzenia — tworzy dania o smakowitym wyglądzie, ustawia je w sposób działający na zmysły i fotografuje, by w przyszłości czerpać z tych obrazów przyjemność — ale na wszystkich zdjęciach (z wyjątkiem robionych tego dnia i tych z zapiekanką z kurczaka) był też Leo, dumny jak paw: „To dzieło tatusia. To potrawa, którą tatuś zrobił dla mnie, dla nas dwóch do podziału”.

Julia rozglądała się, chcąc się dowiedzieć, jak Peter i Leo spędzali czas bez niej. Przy wejściu znalazła mały plecak (oczywiście w głębokim metalowym kubku podpisanym „Plecaki”), a na półce ponad nim duże czarne pudełko, opisane „Prace Leo”. Wewnątrz były wszystkie dzieła, które Leo robił w przedszkolu: odciski dłoni, liście z woskowanego papieru, dynie wycięte z pomarańczowego brystolu, nietoperze z czarnego papieru. Nagle dotarło do niej, że jest już środek jesieni, wielkimi krokami zbliża się Halloween, a ona jeszcze nawet nie pomyślała, za co przebierze się Leo i jaki kostium mu przygotować. Uważnie przeglądała zawartość pudełka, oglądała każdą kartkę, którą Leo przyniósł do domu. Czasem była na niej tylko jedna naklejona gwiazdka albo jakiś mazaniec kredką, czy też nalepka na środku, ale wszystkie były wyraźnie podpisane imieniem Leo przez jedną z nauczycielek. Julia przypomniała sobie, że jej rodzice trzymali prace córki w szufladzie w kuchni. Nadal mieszkali w tym samym domu, ale nie mieli już tamtej szuflady. Czasami przyczepiali jakiś rysunek taśmą klejącą do drzwi lodówki, ale na ogół jej prace nie były rozwieszane po całym domu jak u innych dzieci, których rysunki i malowidła wisały na szafach, drzwiach, ścianach sypialni i łazienek. To były domy szczęśliwych dzieci. Jej dom rodzinny był inny. Jej dom był cichy, ona była cicha, i nikt nie umiał się bawić. Pochylona nad stertą rysunków Leo, przypomniała sobie zalecenie jednej z książek o wycho-

wywaniu dzieci: że zamiast wywieszać wszystkie prace pociechy, rodzice powinni dokonywać wyboru i eksponować na przykład jedno dzieło na tydzień, żeby dać dziecku poczucie wyjątkowości. Starając się zachować jaki taki obiektywizm, a zarazem nie będąc w stanie wybrać jednego „dzieła”, Julia w końcu wyjęła z pudełka trzy kartki — po jednej za każdy tydzień jej pracy — i przyczepiła je kolorowymi magnesami do drzwi lodówki.

Kiedy już miała wyjść z kuchni, jej uwagę przyciągnął olbrzymi harmonogram wykonany przez Petera.

Poczuła nagłą chęć wprowadzenia kilku zmian.

Wyjęła z szuflady garść pomarańczowych kwadratów i przymocowała je w miejscu oznaczającym aktualny weekend oraz w miejscu przyszłego piątku, kiedy wróci z kolejnej trasy z Mary Ford. Odsunęła się od planszy, żeby lepiej przyjrzeć się swojemu dziełu — obrazowi ich obecnego życia rodzinnego — i od razu poczuła się lepiej, gdy między niebieskimi polami oznaczającymi „Julię w pracy” ujrzała te pomarańczowe, obwieszczające:

Julia w domu!

Julia w domu!

Julia w domu!

19.

Podczas gdy Julia zabawiała Patricię, Lindsay Green zajmowała się krytyką perfum matki, a właściwie ich producenta, w programach telewizyjnych „Entertainment Tonight”, „Access Hollywood”, „In-side Edition”. A kiedy Lindsay Green nie udzielała wywiadów, handlowała bielizną Mary na aukcjach internetowych.

— Jezu, Jack! — zawołała Julia, kiedy szef zadzwonił do niej w niedzielę po południu. — Od kogo się dowiedziałeś?!

— Od nikogo.

— To skąd wiesz?

— Lepiej nie pytaj.

Z uwagi na całe to zamieszanie sklepy Blooming-dale's i Macy's w Chicago i Detroit odwołały promocyjne spotkania Mary Ford z klientami, zaplanowane na koniec nadchodzącego tygodnia, a Jack spodziewał się jeszcze odwołania spotkań w Bloomingdale's w Bostonie i Macy's w Orlando. Wszyscy detaliści wiedzieli już, że sklepy na Manhattanie będą musiały stawić czoło demonstracjom i protestom PETA, bo jest to ulubiony teren działań tej organizacji (ogólnokrajowe media zawsze zajmują się wydarzeniami na Manhattanie). A przecież organizacja takich spotkań wymagała ze strony sklepów nakładu pracy i energii. I to wszystko dla perfum, które ani ładnie nie pachniały, ani się dobrze nie sprzedawały!

Rezygnacje nie były zaskoczeniem, zwłaszcza dla Jacka, który cieszył się, że jego przebiegły plan się powiódł. W jego głosie dało się słyszeć jednak dziwną mieszaninę satysfakcji i rozdrażnienia.

— Zdaje się, że jesteś zawiedziony — stwierdziła Julia. Sama poczuła wielką ulgę na wieść, że z planowanej trasy odpadły jej dwa miasta.

— Jestem. Myślałem, że do tej pory wycofa się więcej sklepów. Ale na razie Boston, Orlando i Zachodnie Wybrzeże wciąż się trzymają.

— Jestem pewna, że jeśli użyjesz trochę więcej swojej diabelskiej mocy, reszta trasy zawali się jak domek z kart.

— Lindsay Green świetnie wypadła w telewizji — powiedział. — Nawet lepiej, niż się spodziewałem. Idealny rzecznik prasowy! Konkretna, elo-kwentna, mówi z uczuciem. Nawet miała na sobie stanik, czego nie mogę powiedzieć o tych dwóch razach, gdyśmy się spotkali. — Nie wiem, czybym to zauważyła.

— Ale oglądałaś?

Nie, nie oglądała. Leo nigdy nie pozwalał jej oglądać tego, co chciała, bo nie wiedzieć czemu uważał telewizor za swoją własność.

Jack milczał. Julia mogłaby się założyć, że usiłuje dociec, w którym miejscu popełnił błąd. Opracował przewrotną strategię, by utrudnić wprowadzenie na rynek wybrakowanego produktu i przywrócić popularność zapomnianej gwiazdzie, zorganizował przeciek informacji do odpowiednich osób, zrobił wyjątkowo mało dla opanowania kryzysu (cały piątek się ukrywał).

Czemuż więc cała ta farsa jeszcze się nie skończyła?

— Nawet gdyby sklepy się nie wycofały, byłem pewien, że Mary zrezygnuje. Nie podejrzewałem, że będzie to ciągnąć. Kto by chciał się pakować w taką rozróbę?

Jak to kto? Zdesperowana, narcystyczna była gwiazda, oto kto!

— Może nie będzie tak strasznie, bo przecież ugadałam się z PETA. Dzięki naszej szybkiej reakcji zyskaliśmy parę punktów, a w każdym razie więcej czasu. Jeszcze trochę się wstrzymają z protestami.

Mogłaby przysiąc, że słyszy, jak Jack drapie się po brodzie.

— Mimo wszystko to nie najlepsze okoliczności do przypominania o sobie ludziom, którzy ledwie ją pamiętają. Ale Mary jest zbyt dumna, żeby pozwolić córce zdobyć przewagę. Nie uwzględniłem tego w swoich kalkulacjach. Przekora to potężna siła napędowa.

— Mary to twarda sztuka, silna jak tur.

— Chętnie odstrzeliłbym tego tura, gdybym się nie bał tych przeklętych działaczy z PETA.

Oczyrna wyobraźni Julia ujrzała grupę zawziętych protestujących działaczy ścigających Jacka, wymachujących prowizorycznymi transparentami i puszkami z czerwoną farbą. Gdy obraz zniknął, pojawiła się ciekawość, w jaki sposób udało mu się namówić córkę Mary do takiej zdrady.

— Nie przedstawiłem tego jako zdradę, ale jako sposób pomocy matce. Możliwość ochrony matki przed wstydem i przed poniesieniem porażki na

forum publicznym. To nie wina Mary, \że Heaven Scent wykorzystuje do badań oczy królików albinosów.

Julia parsknęła śmiechem.

— Chcesz mi powiedzieć, że Lindsay Green zgodziła się sabotować kampanię promującą jej matkę, bo tak dobrze jej życzy?

— Nie. Chcę tylko powiedzieć, że udało mi się ją przekonać, ponieważ wiedziałem, że jedyną rzeczą, na której zależy jej bardziej niż na zainteresowaniu mediów i opinii publicznej, jest zainteresowanie ze strony matki. I wiedziałem, że to idealny sposób, by matka zwróciła na nią uwagę.

Tyle jej wystarczyło.

— Wracaj do szukania bielizny sław w Internecie. Zadzwoń do ciebie z trasy.

Tym razem, pakując się na wyjazd, Julia wiedziała, od czego zacząć. Zdążyła już poznać wymagania Mary, jej przyzwyczajenia, rozkład dnia, upodobania kulinarne, obsesję na punkcie Pata i Pataszona oraz kotletów cielecych, znała harmonogram wywiadów, numery pokojów, wiedziała wszystko o ulubionym napoju gwiazdy i co należy jej zamówić na śniadanie, więc nawet nie zwracała sobie głowy małą walizką na kółkach czy niewielkimi pojemniczkami i kieszonkami z Container Store. Po prostu nie było warto — potem musiałaby jedną ręką wlec własną walizkę, w drugiej nieść ciężką torbę od Louisa Vuittona, mając jeszcze na ramieniu torbę z dokumentami i laptopa w po-

krowcu. Przedtem całe trzy dni chodziła w tym samym czarnym garniturze, bo nie miała nawet chwili, by pójść do toalety czy wyczyścić zęby, a co dopiero rozpinać torbę z ubraniami i zmieniać kostiumy.

Rozłożyła więc czarny garnitur, w który miała się ubrać. Potem do czarnej torby na ramię zapakowała dwie pary rajstop, dwa podkoszulki, cztery komplety bielizny i małą kosmetyczkę.

Przepakowała aktówkę i sprawdziła, czy ma wszystko, co niezbędne: portfel z gotówką na cele reprezentacyjne, komórkę, laptop, bilety lotnicze i harmonogramy w wersji papierowej, bo jeszcze nie opanowała obsługi palmtopa. Wzięła też resztę dokumentów, choć po wszystkich zmianach, które nastąpiły, były już właściwie bezużyteczne.

Następnego dnia Mary usiadła w samolocie obok Julii, zapięła pasy i spędziła pięćdziesiąt osiem minut lotu do Bostonu na wyrażaniu swoich obaw i żądań: Czy będzie na nie czekał ktoś z ochrony lotniska, kto zabierze je elektrycznym pojazdem do punktu odbioru bagażu? Czy Julia upewniła się, że dom towarowy Bloomingdale's na Chestnut Hill jest odpowiednio wyposażony (miękkie krzesło, stolik z białym obrusem i białymi kwiatkami, zapas piór Sharpie i co najważniejsze, puszki schłodzonej Freski i wody Volvie o temperaturze pokojowej)? Czy w porannej prasie pojawiły się doniesienia o wystąpieniach jej córki w programach rozrywkowych i czy są jakieś wzmianki o ewentu-

alnych demonstracjach PETA związanych z Heaven Scent i Legendą? Julia starała się jak mogła odpowiadać na te wszystkie pytania. Najtrudniejsze okazało się wyjaśnienie, dlaczego nastąpiła zmiana w rezerwacji noclegów.

— Myślałam, że mamy mieszkać w Four Seasons.

— Bo tak jest.

— Ale w nowym programie podany jest Westin.

— Westin? — Julia rozłożyła swój egzemplarz zmienionego programu, który w niedzielę wieczorem przysłał jej Jack i który wydrukowała, ale dokładnie nie przeczytała. — Nic mi o tym nie wiadomo.

Mary wzniosła oczy ku niebu.

— Znowu Pat i Pataszon. Nie wie lewica, co robi prawica.

Julia po raz pierwszy uważnie przeczytała informację o noclegach. Zauważyła, że Jack zmienił hotele na niższą kategorię: z Ritz-Carlton i Four Seasons na Westin i Hyatt. Przerewerwował też bilety lotnicze z pierwszej klasy na klasę business i turystyczną. Chciał w ten sposób nie tylko zaoszczędzić, ale i sprowokować Mary do zagrania kartą gwiazdorskich wymagań i rezygnacji z dalszej podróży.

Na Mary Ford tymczasem wcale to nie podziałało.

— Słyszałam sporo dobrego o sieci Westin. Mają w ofercie coś, co nazywają „niebiańskim łóżkiem” i „niebiańskim prysznicem”, czyli kołdry i poduszki z gęsiego puchu oraz wyjątkowe przybory toale-

towe — stwierdziła, po czym zacisnęła zęby i poprawiła fryzurę. — Widziałam ich reklamę w telewizji. Próbują konkurować z droższymi hotelami w pozyskiwaniu biznesowych klientów.

Julia aż zamrugła ze zdziwienia. Była tak samo zaskoczona tym, że udało się jej uniknąć spodziewanego wybuchu gniewu Mary, jak i tym, że Mary tak uważnie śledzi kampanię reklamową Westin.

Wtedy Mary przechyliła się w stronę Julii i dźgnęła ją palcem w ramię.

— Nie myśl, że nie wiem, co knuje nasz Jack Raz Dwa.

Kuksaniec.

— Może i moje perfumy się nie sprzedają, może nawet moja córka próbuje wejść mi w paradę, ale ja się tak łatwo nie poddam. Wytrzymałam w Hollywood tyle lat tylko dlatego, że niełatwo mnie wygryźć.

Kuksaniec.

Rozparła się wygodnie na siedzeniu. Samolot kołował na pasie.

— A co to za głupek z „Boston Globe” ma przyjść do mojego niebiańskiego pokoju, żeby zrobić wywiad? Jak się okazało, żaden głupek z „Boston Globe” nie miał przeprowadzić z nią wywiadu. Był to kolejny odwołany punkt programu, co Julia odkryła dopiero w hotelu. Przyczyny jednak nie miały nic wspólnego z PETA. W mieście pojawił się George Clooney, który szukał scenerii dla swojego nowe-

go filmu. Rozniosła się pogłaska, że ogląda rezydencje na plaży i wszyscy reporterzy tam właśnie pognali. Tak więc, mając przed sobą całe popołudnie, którego jedyną rozrywką miały być wiadomości o siedemnastej, Julia zaproponowała, by w wolnym czasie przed wieczorną imprezą w podmiejskim Bloomingdale's wybrały się na lunch gdzieś na Newbury Street.

Tym razem obyło się bez większych problemów. Siedziały w niedawno odnowionej Locke-Ober Cafe naprzeciwko Boston Common. Aktorka, która była tam wiele lat wcześniej z „grupą Kennedych”, uznała swojego homara za „bajecznego”. Kiedy Mary już wydlubiła wszystko spomiędzy zębów, a Julia uregulowała rachunek, gwiazda oznajmiła, że ma ochotę iść na zakupy.

— To jeden z moich ulubionych sklepów — powiedziała Mary, kierując się w stronę Louis, odpowiednika nowojorskiego Barney's. Podobnie jak Barney's na początku był to sklep z ofertą tylko dla mężczyzn. Po przekroczeniu progu dziewiętnastowiecznego kamiennego budynku, Mary ruszyła w stronę windy. Wcisnęła guzik, by wjechać na trzecie piętro do działu damskiego.

Julia szła za Mary przez niemal pusty sklep, między półkami ze swetrami, spódnicami i bluzkami od Prądy i Gucciego, które sprawiały wrażenie, jakby były przeznaczone dla pięciolatek. Duży fragment przestrzeni zajmowała jedna kolekcja.

— Jil Sander — westchnęła z lubością Mary, przeglądając kolekcje wiszące na ciężkich drewnia-

nych wieszakach. — Moja ulubiona nieamerykańska projektantka.

Julia patrzyła, jak gwiazda wyjmuje dwa garnitury — jeden czarny, drugi kremowy — oraz dwie bluzki i rozgląda się za sprzedawcą. Nim jednak ktokolwiek zdążył ją zauważyć i zaprowadzić do przebieralni, Mary zdjęła bluzkę i włożyła jeden z kompletów Jil Sander.

— Ten jest naprawdę bajeczny — powiedziała, zapinając guziki. Sięgnęła po czarny żakiet. — Nikt nie zna się tak na tkaninach i kroju jak Jil. Prawdziwa niemiecka precyzja. Nawet Donna nie potrafi tak skroić kostiumu. Julia rozglądała się nerwowo po sklepie, starając się zorientować, czy zachowanie Mary wzbudziło czyjeś zainteresowanie. Mary zdjęła dopiero co przymieraną bluzkę i żakiet i przygotowywała się do kolejnej przymiarki. Stała w samym staniku pośrodku salonu, a Julia z przerażeniem myślała, że w każdej chwili może zdjąć spodnie, aby przymierzyć cały kostium. Zanim jednak do tego doszło, pojawił się drobny młody człowieczek w nienagannie skrojonym sztuczkowym garniturze, spod którego wystawał kołnierzyk i mankiety fioletowej koszuli w kwiaty. Zgiął się przed Mary uniesieniem. — Pani Ford! — zawołał, ciężko dysząc, w ogóle nie zdziwiony jej częściowym negliżem. Julia pomyślała, że przedwczorajsze gwiazdy pewnie nagminnie robią takie rzeczy — rozbierają się w miejscach publicznych, żeby zwrócić na siebie uwagę — tyle że ona do tej pory nigdy nie była z kimś takim na zakupach.

— To zaszczyt i przyjemność panią obsługiwać — powiedział ekspedient.

Mary zwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła w taki sam sposób, w jaki podbita serce Julii podczas ich pierwszego spotkania w pracowni fotograficznej.

— Az kim to mam przyjemność, Mały Eleganciku?

— Nazywam się Flint.

— Flint? — Mary uniosła brwi. Skinął potakująco.

— A cóż to za nazwisko?

— Pseudonim.

Mary spojrzała na Julię znacząco: „Mówiłam, że geje mnie kochają”.

— Flint — powtórzyła drwiąco. Zaczerwienił się i skłonił jak po występie.

— To pseudonim sceniczny.

Mary ponownie posłała Julii wymowne spojrzenie.

— Aktor.

— Performer — uśmiechnął się łobuzersko.

Gdy Mary i Flint — ze stertą ubrań przewieszonych przez przedramię — szli w stronę przy-mierzalni, Julia nie mogła wyjść ze zdumienia i podziwu okraszonego nutką zazdrości, że on tak umiejętnie radzi sobie z Mary. Postanowiła wykorzystać wolną chwilę i zadzwonić do biura.

Telefon Jacka natychmiast przekierował połączenie na pocztę głosową, za to Jonathan odebrał po drugim sygnale. Usłyszawszy jego głos, Julia wiedziała, że coś nie gra.

— Poranne gazety pełne są wiadomości o Lindsay Green i PETA — powiedział. Był wyraźnie zde-nerwowany. Nie zdziwiła się, przecież w kryzysowej sytuacji został w biurze sam z Jackiem. — „New York Post”, „New York Times”, „USA Today”, „Wall Street Journal”, „Variety” — przerwał, by zaczerpnąć tchu. Ona też musiała wziąć oddech, bo liczba wymienianych tytułów ją zaskoczyła. Wiedziała tylko o „Post” i „USA Today”, które zdążyła kupić przed wejściem do samolotu.

— No nie!

— Wiemy o dwóch planowanych protestach — ciągnął Jonathan. — Jeden przed budynkiem Heaven Scent na Piątej Alei, a drugi przed Blooming-dale's na Lexington.

— Kiedy?

— Dzisiaj po południu, w godzinach szczytu. Chcą zacząć przed Heaven Scent i przemaszerować przez miasto do Bloomingdale's, żeby zwiększyć zamęt. Jack uważa, że oba protesty będą miały duży oddźwięk w skali lokalnej i całego kraju, i że ta informacja przedostanie się z programów rozrywkowych do informacyjnych.

— Cholera.

Julia rzuciła spojrzenie na przymierzalnię. Słyszała zachwyty Mary nad takim czy innym ciuchem, wróciła więc do rozmowy.

— A Bloomingdale's tutaj, w Bostonie?

— Na razie cisza. Nic nie słyhać o żadnych planach protestów. Sklep nie odwołał imprezy.

Julia kiwała głową, całkiem dezorientowana.

— Moja piątkowa rozmowa i umowa z PETA miała na celu właśnie zapobiec temu Wszystkiemu.

— Zdaje się, że Jack/złamał tę umowę.

— Jak to?!

Jonathan milczał. Julia była pewna, że idzie do jej gabinetu i zamyka za sobą drzwi.

— Znalazłem faks, który wysłał do nich w piątek po twoim wyjściu. Słyszała szelest przierzucanych kartek. Wreszcie znalazł to, czego szukał: list, który, jak przyznał, skopiował i ukrył w jej gabinecie.

— Napisał im: „Wbrew warunkom ustalonym z moją współpracownicą w sprawie udziału Mary Ford w publicznym odżegnaniu się od testowania kosmetyków na zwierzętach, pani Mary Ford odmówiła udziału w waszej szlachetnej akcji. Chociaż kocha zwierzęta i oczywiście uważa okrutne ich traktowanie i wykorzystywanie za godne potępienia, to jednak obecnie zajęta jest promowaniem swoich perfum o nazwie Legenda”. — Przecież to kłamstwo. Mary by mi powiedziała, gdyby Jack do niej dzwonił. A już nigdy nie wycofałaby się z danego słowa. Zwłaszcza w tej sprawie. Chociaż nienawidzi ludzi, kocha zwierzęta. Zanim Julia zdążyła przeanalizować paradoksy strategii Jacka, opartej na negatywnym rozgłosie, Mary wyłoniła się z przymierzalni. Julia złożyła telefon i wsunęła go do kieszeni.

— I co? Udane zakupy? — zapytała z wymuszonym uśmiechem.

Mary mrugnęła do Flinty, który na ten sygnał zgarnął wybrane przez nią ubrania, jakby to były małe dzieci. Potem mrugnęła do Julii.

— Zdaje się, że Jack DeMarco jest mi winien garnitur.

Julia wpatrywała się zdumiona w Mary, potem we Flinta, a w końcu odszukała wzrokiem metkę przyczepioną do lewego rękawa marynarki: 3700 \$.

— Co takiego? — zapytała.

— Opłata reparacyjna. Gdyby nie jego nieudolność... i twoja... nie byłabym teraz w takich tarapatkach. Po pierwsze, moje perfumy miałyby ładny zapach, a po drugie, nie miałabym na głowie tych zagorzałych radykałów.

Julia szukała wzrokiem pomocy u Flinta, ale on tylko wzruszył ramionami. Nie zdziwiła się, bo najwyraźniej mógł liczyć na sporą prowizję.

— Mój mały przyjaciel poinformował mnie właśnie, co się dzisiaj dzieje w Nowym Jorku. A dotarło też do niego pocztą pantoflową, że bardzo możliwe, iż tu w Bloomingdale's będziemy miały kłopoty. Właśnie dlatego muszę wyglądać jak najlepiej. Dała Julii kuksańca i popchnęła ją w kierunku kasy.

— Wyciągaj kartę kredytową i wyrównaj rachunki, Einsteinie. Czas zacząć występ.

Julia sądziła, że jest przygotowana na to, co czeka je wieczorem w Bloomingdale's, ale gdy ich czarny sedan musiał minąć sklep, ponieważ tłum demonstrantów z transparentami blokował wejścia z frontu i z tyłu, zrozumiała, że sytuacja jest poważniejsza, niż myślała. Wiedziała już, bo w piątek

przeprowadziła szybki rekonesans, że PETA potrafi nadzwyczaj sprawnie organizować protesty w całym kraju, gdyż zagorzali działacze czekają przy komputerach, gotowi w każdej chwili stawić się na przesłane mailem wezwanie do boju. Nie spodziewała się jednak takiego tłumy. Protestujący trzymali transparenty i skandowali: „Heaven Scent sieje śmierć!”, „Dać królikom żyć!”. Julia nagle zrozumiała, z kim mają do czynienia. Z ludźmi, którzy chcieli dobrze wypaść w wiadomościach o dwudziestej trzeciej.

Julia przesunęła się na skraj siedzenia i przywarła nosem do szyby.

— Proszę podjechać za tę restaurację — powiedziała, poklepując kierowcę po ramieniu.

Kiedy samochód się zatrzymał, Mary szturchnęła Julię.

— Co robimy?

Julia wyjęła komórkę i harmonogram i zaczęła wybierać numer.

— Chwilę tu poczekamy. Muszę się skontaktować z kimś ze sklepu i zrewidować plan gry.

— Jaki plan gry? Widać po tych tłumach, że nikt tu nie ma żadnego planu. Przecież tu są co najmniej dwie setki ludzi. I trzy ekipy telewizyjne.

Czekając na połączenie, Julia patrzyła na tłum. A jednak był jakiś plan. Na wszelki wypadek wzmocniono ochronę. Personel miał czekać na miejscu, na tyłach sklepu, by eskortować je do środka.

— Ten tłum jest dużo większy. Ze dwa razy większy

— Julia nie mogła się powstrzymać od skorygo-

wania Mary — ale ekipa jest tylko jedna. Reszta to tylko duże wozy terenowe.

Mary niecierpliwie wierciła się na siedzeniu. Zanim zobaczyła gniewnych ludzi, którzy nie tylko otaczali sklep, ale też wysypywali się na przyległy parking, sprawiała wrażenie gotowej do walki. Teraz jednak wyglądało na to, że ma wątpliwości.

Julia nie mogła mieć do niej o to pretensji.

Ona też nie miała ochoty pakować się w ten tłum! Przeciskać się przez rozgniewaną, politycznie poprawną tłuszcę! Ryzykować, że będą popychane, potrącane, opluwane. I w imię czego? Żeby sprzedać kilka buteleczek perfum i na zawsze zszargać reputację Mary, gdyż jej próba *comebacku* będzie kojarzona z wizerunkiem oślepiaczki królików? Postanowiła, że jeśli sklep nie odwoła imprezy, ona sama to zrobi.

Nerwowo obskubując nowiutki beżowy garnitur z kolekcji Jil Sander i głośno cmokając, Mary czekała, aż Julia skończy rozmowę.

— No, nastąpiła zmiana planu. I nic dziwnego — poinformowała ją Julia, po czym zamknęła telefon. — Możemy jechać.

Mary odetchnęła z ulgą, ale natychmiast zaczęła narzekać i deklarować gotowość do walki.

— A czemuż to? Z powodu drobnej niedogodności? — wyrzała przez okno i szturchnęła Julię w ramię. — Ci chuligani mnie nie przerażają.

— Ale mnie przerażają. I prawników Blooming-dale's. Sklep nie chce ryzykować odpowiedzialności, w razie gdyby ktoś został uszkodzony w trakcie demonstracji.

— Gadanie tchórzy - syknęła Mary.

Julia udała, że nie słyszy. Nie było jeszcze osiemnastej. Gdyby teraz pojechały do hotelu, mogłyby zjeść kolację w Palm obok Westin i wcześniej się położyć. Julia liczyła też na to, że zanim dotrą do Orlando, uda jej się załatwić sprawę z PETA i zażegnać kryzys.

— Zadzwoń do Jacka Raz Dwa — warknęła Mary.

— Przecież on nie ma z tym nic wspólnego — Julia spojrzała na nią zaskoczona.

— Słyszałaś, co powiedziałam. Tak czy inaczej dzwoń do niego. Chcę wyjaśnić.

Między Jackiem sabotującym program a Mary zachowującą się niczym diva operowa, a nie dawno zapomniana gwiazda, Julia czuła się jak w potrzasku. Miała wrażenie, że za chwilę głowa jej pęknie.

— Chce pani wyjaśnić? — burknęła w końcu — to proszę bardzo, chętnie ich udzielię. Tam na ulicy czeka jakieś pięćset osób gotowych do spryskania tego eleganckiego garniturku za trzy tysiące siedemset dolców czerwoną farbą, ponieważ firma, która produkuje pani perfumy, spryskuje chemikaliami oczy małych królików. A ja muszę chronić swoją inwestycję. Nie mam zamiaru płacić za następny garnitur.

Jak to zwykle bywa w kontaktach z awanturnikami, w chwili gdy doszło do konfrontacji, Mary skuliła się i zamilkła.

Julia odwróciła się, pytając w duchu samą siebie, co u diabła tu robi: na tylnym siedzeniu,

z gwiazdą, o której mało kto pamięta, uciekając przed rozwścieczonym tłumem ekstremistów. Żałując, że w ogóle przyjęła tę pracę, a równocześnie pragnąc zmiażdżyć Jacka DeMarco, poleciła kierowcy jechać do hotelu. Resztę drogi spędziły w milczeniu.

Kiedy dotarły na miejsce i szły przez hol do wyjścia w pobliżu Palm, Mary zatrzymała Julię.

— Wyjaśnienie, którego oczekiwałam — powiedziała stanowczo, ale w zadziwiająco kulturalny sposób — miało dotyczyć tego, dlaczego protesty w ogóle się odbywają, skoro zgodziłam się na to publiczne wystąpienie.

Julia nie wiedziała ani co, ani ile może powiedzieć. Wiedziała, że powinna zachować się dyplomatycznie i profesjonalnie — nie wplątywać Mary w osobiste zatargi między sobą a Jackiem — ale miała już dość tego, że on na każdym kroku podważał jej autorytet. W ogóle wszystkiego miała powyżej uszu.

— Podejrzewam, że Jack zerwał umowę, którą udało mi się wynegocjować z PETA w zeszłym tygodniu.

— Jak to zerwał?

Julia wzruszyła ramionami.

— O ile mi wiadomo, umowa... chociaż zaledwie słowna... została zawarta w piątek po południu. Ugoda miała zapobiec demonstracjom takim jak ta, przed którą właśnie uciekłyśmy, i tym, które odbyły się dziś na Manhattanie. Nie dość, że zgodziła się pani na nagranie publicznego oświadczenia, to jeszcze Heaven Scent zaczął rozmawiać z PETA.

Chcieli się dowiedzieć, co mogą zrobić, żeby wypaść z „czarnej listy” firm testujących produkty na zwierzętach i trafić na „białą listę”. Uzgodnili nawet, że rozpoczną coś, co PETA nazywa „moratorium” na obecne praktyki. To wszystko wystarczyło, żeby odwołać psy i pozwolić nam robić swoje. Przynajmniej do tej pory.

— Co się więc stało?

— Wygląda na to, że w piątek wieczorem, po moim wyjściu, Jack poinformował PETA, że pani nie chce nagrać tego oświadczenia, ponieważ musi pani poświęcić całą energię na promocję swoich perfum.

Mary kiwała głową.

— I co teraz?

— Teraz wiem tylko, czego nie wolno nam zrobić.

— Czego mianowicie? — Mary przyglądała się jej uważnie.

— Zrezygnować.

Ani Julia, ani Jonathan nie mogli dowiedzieć się niczego na temat planów PETA w Orlando, toteż Julia postanowiła kontynuować program. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było pozwolić Jackowi DeBilowi wygrać, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było dopuścić, by morale Mary i jej własne podupadło jeszcze bardziej. W obliczu tak silnej wrogości — nie tylko ze strony demonstrantów PETA, ale też Jacka — potrzebowały sporo siły. Właśnie dlatego Julia uznała, że podróż na Florydę będzie najlepszym rozwiązaniem.

Tego wieczoru, siedząc na „niebiańskim łóżku”, chwilę po wyjściu spod „niebiańskiego prysznicza”, Julia zadzwoniła do pokoju Mary.

— No to trzymamy się harmonogramu.

— Dobrze.

— Jest pani pewna, że da radę?

— Jestem gotowa, Einsteinie. Pytanie tylko, czy ty też. Julia poprawiła poduszki za plecami i wyłączyła telewizor.

— Jeśli o mnie chodzi, możemy kontynuować.

Zanim się położyła, zadzwoniła do Petera. Nie rozmawiali ze sobą cały dzień. Chciała mu opowiedzieć o małej ciężarówce i betoniarce, jakie kupiła dla Leo po incydencie z kolekcją Jil Sander, a przed rozróbą pod Bloomingdale's. Podczas rozmowy patrzyła na zapakowane zabawki, leżące na podłodze przy biurku. Ten widok sprawiał, że miała ochotę uściskać swojego malca. Tak bardzo chciała już wrócić do domu!

— Skończyłeś piernikowy domek? — zapytała. Był poniedziałek. Halloween wypadało w środę. Wtedy miała wrócić.

— Skończyłem i rano zaniosę do szkoły. Postawią go na wystawie, żeby wszyscy mogli podziwiać.

— No, no. Jestem pod wrażeniem. A co z kostiumem dla Leo?

— Też prawie skończyłem.

— Zdziwiasz mnie.

Czemu ona nie umiała tak sobie radzić? Bywało, że całe noce zastanawiała się, jak Wszystko skutecznie zorganizować. Może jednak nie nadawała się do roli opiekunki domowego ogniska?

— Nie zdradziłeś jeszcze, kim będzie.

— Karczochem.

— Karczochem? — powtórzyła Julia. — Jak to karczochem?

— W zeszłym tygodniu zrobiłem te pyszne karczochoy... pamiętasz... jak poszłaś do rodziców podziękować im za opiekę i pomoc przy Leo. Przyszło mi wtedy do głowy, że to dobry pomysł na kostium... różne warstwy zielonego i tylko twarz widoczna. Julia milczała. Peter najwyraźniej spędzał za dużo czasu w kuchni nad książkami kucharskimi i pismami o gotowaniu. Nie chciała zgasić jego entuzjazmu, ale też nie umiała się pogodzić z myślą, że Leo będzie maszerował w paradzie w swoje pierwsze Halloween przebrany za jakieś durne warzywo.

— A nie może być po prostu strażakiem? Albo piratem? Bobem Budowniczym, Supermanem albo Scoobym? Przecież dzieci w jego wieku lubią takie postaci. Pomyśl, że inne dzieci... na przykład Adam na pewno będzie Batmanem.

— No właśnie. Wszyscy jego kumple z przedszkola — próbował wyjaśnić Peter — Ali-Jou, Ian, Adam, Zanny, Deika, Mia, George też będą przebrani za warzywa. I wszyscy ustaliliśmy... wszystkie mamy, no i ja... że rodzice i dzieci będą chodzić po domach razem, więc moglibyśmy być sałatką.

Widać w tym było rękę Petera. Temat związany z jedzeniem, organizacja planu, koordynacja i spójność elementów (warzywa) tworzących całość (sałatka). Julia wreszcie dostrzegła komizm całego przedsięwzięcia. Im więcej myślała o tej paradzie, tym bardziej pragnęła już na niej być i wlec się za nimi z aparatem w rękę.

— O której zaczynacie?

— Zbieramy się koło osiemnastej. Gdybyś przyleciała planowo, moglibyśmy iść razem jako oliwa i ocet. Albo szczypcę do sałatki.

20.

Całe poważanie, jakie Julia zyskała w oczach Mary, gdy uratowała je od nieuchronnej krwawej jatki w Bloomingdale's oraz nie dała się zastraszyć Jackowi i namówić na rezygnację z trasy, zniknęło, w chwili w której kierowca białej limuzyny na lotnisku w Orlando zapytał, czy ma jechać prosto do Disney World Magic Kingdom Hotel.

Julia, zapinając pas, znacząco spojrzała na Mary.

— To dopiero!

— Wyobrażasz sobie? — powiedziała Mary. — Już ta biała gondola to wystarczający koszmar.

Julia potrząsnęła głową. Pomyślała o Meredith Baxter Birney.

— Chybabym się zabiła.

— Nie musiałybyś, bo ja bym cię zabiła wcześniej. Kierowca, ponadsześćdziesięcioletni mężczyzna z siwymi włosami i silnym nowojorskim akcentem, który wyglądał jakby wcześniej zajmował się łamaniem nóg albo patroszeniem ryb, ustawił sobie lusterko wsteczne w taki sposób, żeby móc im się lepiej przyjrzeć. W jego szyi ział otwór wielkości dziesięciocentówki. Julia, choć zafascynowana tą dziurą w ciele (kula? hak na mięso? szpikulec do lodu?), starała się mimo wszystko patrzeć w oczy kierowcy. Te oczy lśniły rozbawieniem, gdy powtarzał:

— Disney World Magic Kingdom Hotel?

Twarz Julii znieruchomiła ze strachu i gniewu. Czuła, że bezwiednie otwiera i zamyka usta. Nie zdarzyło się jej to od tamtego razu w limuzynie z Mary w drodze na Long Island. Z przerażeniem pomyślała o powtórcie z „rozdymki” i towarzyszących jej kuksańcach. Mary jednak chwilowo ją zignorowała. Spokojnym tonem zapytała kierowcę, jak się nazywa.

— Nick.

— Nick jaki?

— Po prostu Nick — wzruszył ramionami, jakby dokładnie cytował akt swojego urodzenia.

— No to posłuchaj, Po Prostu Nicku — zaczęła Mary, w pełni świadoma, że tego kierowcę należy oczarować. — Mimo że nie wyglądasz na kogoś, kto mógłby się pomylić, jakiś idiota zrobił błąd. Bo na pewno widzisz, że my dwie nie pasujemy do Magicznego Królestwa.

Julia przeglądała program. Poczowała drganie lewej powieki. Miały nocować w Marriott Grande Vista — już i tak gorszym niż hotele, do jakich były przyzwyczajone — ale widocznie Jack zmienił rezerwację, żeby im dopiec.

— Wie pani, pani Ford — Po Prostu Nick powiedział powoli, z szerokim uśmiechem, który wyraźnie świadczył, że chociaż zdarzało mu się wozić sławne osobistości, to Mary Ford jest dla niego kimś szczególnym — tak samo sobie pomyślałem, kiedy dyspozytor zlecił mi odebranie pani z lotniska. Sprawdziłem to dwa razy, w firmie i w hotelu... i naprawdę ma pani tam rezerwację.

Mary, której cierpliwość i poczucie własnej Wartości w ostatnich dniach zostały wystawione na ciężką próbę — począwszy od informacji, że córka przeszkadza jej w odzyskaniu popularności, aż po wiadomość, że Jack sabotuje wysiłki Julii zmierzające do ratowania tego przedsięwzięcia — zwróciła się w stronę Julii i zrobiła to, co robiła zawsze w chwilach silnego stresu: szturchnęła ją.

— Połącz się z tym Jackiem Cwaniakiem — szepnęła ostrym tonem.

— Właśnie próbuję — Julia wystukała już kilka cyfr numeru Jacka, gdy Po Prostu Nick włączył się do ruchu.

— Takim jak pani musi być ciężko — powiedział, opuszczając osłonę przeciwsłoneczną. Zdjął z kierownicy swoją wielką dłoń ze złotym sygnetem na małym palcu. Sygnet był wielkości otworu w jego szyi (może tak właśnie powstał ten otwór? zrobił go czyjś sygnet?). — Kariery pełne wzlotów i upadków. W jednej chwili jest się na wozie, na samym szczycie, a w następnej już pod wozem. Takie cykliczne obroty, jak w pralce — wykonał dłonią kilka szybkich ruchów na poparcie swoich słów. — Dzisiaj Disney's Magic Kingdom Hotel. Jutro Ritz-Carlton Orlando Grande Lakes. Mam rację? Mary mruknęła coś pod nosem. Julia wciąż wybierała numer. Nie mogła skontaktować się z Jackiem, Jonathanem, ani nawet Vicky, a potem w ogóle nie miała sygnału. Wyłączyła więc telefon i opadła na oparcie.

Nick trajkotał, że ten hotel w zasadzie należy do jego ulubionych, że w kwietniu ubiegłego roku za-

brał tam swoją jedenastoletnią wnuczkę, która przyjechała do niego na ferie wiosenne z Los Angeles, że każdy pokój w owym hotelu ma klimat związany z disneyowską postacią i że jest tam mnóstwo możliwości spędzania czasu z całą rodziną.

— Słyszała pani o Ukrytym Mickeyu? — zapytał, próbując pochwycić spojrzenie Mary w lusterku.

— W moich czasach, Po Prostu Nicku, mówiło się o tych środkach po prostu „mickey” — odparła Mary. — Mam nadzieję, że nie miałeś zamiaru wsypać mi ich do drinka.

Nick roześmiał się, znowu odwrócił głowę do tyłu i zdjął dłoń z sygnetem z kierownicy, żeby wyjaśnić, że Ukryty Mickey to nie środek nasenny, ale wizerunek Myszki Mickey ukryty wśród atrakcji parku i hotelu. Po raz pierwszy pojawił się jako żart krążący wśród rysowników Walta Disneya. Często ukrywali oni sylwetkę Myszki Mickey w najbardziej widocznych miejscach.

— No i ludzie w kinach i parkach rozrywki szukają „Ukrytych Myszek Mickey”. Większość hoteli organizuje konkursy z tym związane.

— A co z nagrodą? — zainteresowała się Mary.

— Pyta pani, co można wygrać?

Widać było, że Mary ma na końcu języka: „Nie, co można przegrać”, ale Nick wyglądał na tyle groźnie, że wolała trzymać język za zębami.

— Tak, co można wygrać.

— Bilety na atrakcje Disneylandu.

— Aha. Bilety — powtórzyła Mary. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. — Też mi nagroda.

— Była pani na Kosmicznej Górze? Albo w Krainie Zwierząt?

Mary wyjrzała przez szybę.

— Dawno temu. Z dziećmi.

Julia nigdy nie była w Disneylandzie, a Peter ciągle mówił o zabraniu tam Scooba, gdy tylko podrośnie. Ciekawiło ją, co Mary ma na ten temat do powiedzenia.

— To był najgorszy tydzień w moim życiu — powiedziała, poprawiając włosy i sprawdzając stan szminki na ustach w lusterku małego czarnego pudzderka. — Straszny upał i wilgoć, ani porządnego posiłku, ani porządnego noclegu, i jeszcze tłumy domagające się autografów. Nawet nie przypuszczałam, że jeszcze raz będę przez to przechodzić. I oto znowu trafiłam do tego siódmego kręgu piekieł.

Nick wjechał na parking o dziwacznym półkolistym kształcie i obrócił się w stronę tylnego siedzenia z promiennym uśmiechem:

— Widzicie?! Ukryty Mickey! — zawołał, wskazując na kształt parkingu, na który wjechali (głowa Myszki Mickey), a potem na dwa przyległe parkingi (uszy Myszki Mickey).

Mary sięgnęła do torby po okulary słoneczne i chustkę na głowę — widocznie nie chciała zostać rozpoznana — a Julia spojrzała przed siebie i jęknęła.

Hotel wyglądał jak wielobarwny baśniowy zamek.

Wokół niego kręciły się postaci z filmów Disneya o rozmiarach dorosłych ludzi.

Jack jeszcze za to zapłaci, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi! — pomyślała.

Nick otworzył bagażnik. Zanim Julia wyszła z samochodu, Goofy otworzył już drzwiczki od strony Mary i wyciągnął do niej wielką łapę.

— Witamy w Krainie Magii! — odezwał się ludzkim głosem. Julia była zdezorientowana. Czy nie czytała gdzieś, że postaci Disneya nie mówią? A może to chodziło o oryginalne Królestwo Magii, a nie o hotele?

Mary obrzuciła łapę niechętnym spojrzeniem, a potem popatrzyła na Julię, powoli wysiadającą z samochodu.

— To jakiś koszmar — powiedziała. Julia podeszła do Nicka, żeby poinstruować go, jak obchodzić się z bagażem Mary, ale było już za późno. Goofy, który przekazał właśnie Mary w ręce Śpiącej Królowej, wyjmował z bagażnika torby i podawał je Dumbo.

— Popatrz tylko na te cholerne torby — odezwał się stłumiony głos z wnętrza słonia.

— Sprowadzę Śpieszka i Gburka do pomocy — odparł Goofy i pomachał w stronę dwóch z Siedmiu Krasnoludków stojących przy wejściu do hotelu.

Przez moment Julia czuła się, jakby opuściła własne ciało i unosiła się w powietrzu, obserwując tę absurdalną scenę z góry. Żałowała jednocześnie, że nie ma aparatu fotograficznego, żeby to wszystko uwiecznić: Oto Goofy pomaga Mary Ford wysiąść z kiczowatej limuzyny, ich kierowca ma w szyi wielką dziurę niewiadomego pochodzenia, Dumbo jest wściekły, bo ma dużo bagażu do dźwigania, więc Śpieszek i Gburek biegną mu na pomoc tak

szybko, jak pozwalają im na to krótkie nóżki. Przecież nikt w to nie uwierzy! Gdy jednak wróciła do rzeczywistości, zrozumiała, że nawet gdyby miała aparat, i tak nie byłoby czasu na utrwalanie tego, co się dzieje. A działo się coraz gorzej.

W recepcji usłyszały, że Mary ma nocować w apartamencie Myszki Minnie, a Julia w pokoju Kaczora Donalda. Mary pokiwała głową i z rezygnacją ruszyła za Dumbo i dwoma Krasnoludkami do windy, a z windy długim korytarzem prowadzącym do apartamentu. Julia szła za nimi. Mary zamknęła drzwi bez słowa pożegnania. Zrugła jeszcze trzech tragarzy za złe obchodzenie się z bagażami. To był kolejny dzień, kolejne miasto, kolejny rozdział życia Mary Ford w roli zapomnianej gwiazdy, która odgrywa się na wszystkich, mających nieszczęście znaleźć się w jej pobliżu.

Stojąc w korytarzu z torbą przewieszoną przez ramię i komórką bez zasięgu w ręku, Julia nie była w stanie zniweczyć sadystycznych planów Jacka, tak jak nie była w stanie powstrzymać Mary przed torturowaniem przebranych chłopców hotelowych (zwłaszcza dwóch Krasnoludków, które obrywały najbardziej). Mogła tylko wyjąć z torby portfel z okazałym plikiem dwudziestek. Chociaż żadne pieniądze nie mogły zrekompensować bólu i upokorzeń zadawanych przez Mary, to po wyjściu Dumbo, Śpieszka i Gburka Julia wręczyła każdemu z nich po banknocie i wyszeptała:

Przepraszam.

Przepraszam.

Przepraszam.

Do siedemnastej trzydzieści, kiedy to Nick miał przyjechać, żeby je zawieźć na imprezę promocyjną do Macy's, nie miały nic do roboty. Julia weszła więc do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. To już prawie koniec trasy i całej tej farsy. Jeszcze tylko jeden dzień, jedna impreza w Macy's (zakładając, że nie pojawią się demonstranci) i już będzie w samolocie w drodze do domu, do Nowego Jorku i Larchmont. A tam będzie obchodzić Halloween z Peterem i Karczochem.

Ponieważ nie miała nic do rozpakowania i postanowiła nie zmieniać hotelu, jeśli Mary nie zacznie wywierać na nią presji, położyła torbę i laptop na biurku, po czym usiadła na łóżku. Było cicho, spokojnie. Julia rozejrzała się, zdumiona, że dotarły już tak daleko i upadły tak nisko.

Tydzień temu były w Hay-Adams w Waszyngtonie, potem w Ritz-Carlton w Atlancie, zaledwie wczoraj w Westin na Copley Square.

Raz czy dwa podskoczyła na materacu, żeby sprawdzić jego sprężystość (daleko mu do „niebiańskiego”), przesunęła dłonią po śliskiej syntetycznej pościeli i wreszcie sięgnęła do lampki przy łóżku. Najpierw wcisnęła nos, potem dziób wielkiego Kaczora Donalda. Następnie przejrzała kartę dań dostępnych u obsługi. Po niemal piętnastu minutach wczytywania się w dwie strony oferty — jak to dobrze, że już jutro kończą trasę, bo w przeciwnym razie Jack pewnie zarezerwowałby im Motel 6 albo Best Western, czy też Holiday Inn Express — w końcu zdecydowała się na „sałatkę Królowny

Śnieżki", „frytki Pinokia" i dzbanek kawy „Buzz Astral". W ciągu dwudziestu minut, zanim Pluto przyniósł lunch, Julia zauważyła co najmniej cztery ukryte Myszki Mickey w widocznych miejscach: mydło do rąk w łazience, papier toaletowy ze wzorkiem, kolorową pościel i budzik. Potem dostrzegła jeszcze trzy na tacy: kształt masła, kształt kostek cukru i chipsów. Wpatrując się w sałatkę i przebierając w długich frytkach, zdała sobie sprawę, że chociaż poprzedniego wieczoru nic nie jadła, w ogóle nie czuła głodu. Zaskoczona, zdumiona — nie pamiętała, kiedy ostatnio nie miała apetytu — ale też zbyt zmęczona, by się tym cieszyć, wystawiła tacę za drzwi. Potem zadzwoniła do Jonathana, żeby się dowiedzieć, co słyhać, sprawdzić, czy w biurze spokój (tak) i czy nie ma zapowiedzi jakichś protestów w Macy's na ten wieczór (nie było). Rozsunęła dopasowane kolorem do pościeli zasłony. Wydało się jej, że za Zamkiem Kopciuszka widzi Main Street USA. Mimo iż nigdy tam nie była, wiedziała, że Królestwo Magii jest podzielone na pięć krain: Krainę Jutra, Krainę Fantazji, Krainę Przygraniczną, Plac Wolności i Krainę Przygód. Kiedyś czytała, że Walt Disney, który miał obsesję na punkcie kontrolowania sytuacji, pragnął zbudować rozległą sieć podziemnych tuneli, łączących wszystkie krainy, aby goście nie widzieli żadnych „zakulisowych" działań ani postaci przechodzących z jednej krainy do drugiej. Nie chciał, żeby cokolwiek burzyło iluzję fantastycznego świata.

W tej chwili Julia pożałowała, że nie ma z nią Leo. Wyobraziła sobie jego zachwyty, gdyby wszedł do tego pokoju, zobaczył lampy i kinkiety z Kaczorem Donaldem, pościel z Myszka Mickey i kreskówki w telewizji dostępne całą dobę. Dotarło do niej, że prawdopodobnie nie będzie nawet miała czasu, żeby się wymknąć do parku z aparatem i zrobić kilka zdjęć czy kupić jakieś pamiątki. Zresztą nawet gdyby znalazła chwilę, Mary nie chciałyby tam iść, bo łączyły jej się z tym miejscem przykre wspomnienia. A jednak, ku wielkiemu zaskoczeniu Julii, wybrały się jeszcze tego samego dnia: najpierw do Królestwa Magii, a potem do Królestwa Zwierząt. Pojechały tam po imprezie w Macy's, która — choć bez zamieszek (nawet personel nie słyszał o demonstracjach PETA) — miała bardzo niską frekwencję. Pomimo ogłoszeń w prasie i akcji promocyjnej na terenie sklepu po dziale kosmetycznym kręciło się zaledwie około trzydziestu kobiet, tylko mniej więcej połowa z nich kupiła perfumy z autografem Mary.

Kiedy po imprezie wsiadały do limuzyny, Nick zapytał, jak poszło. Mary lekceważąco machnęła ręką. — Katastrofa — powiedziała.

— No cóż, impreza nie należała do najbardziej udanych — stwierdziła Julia.

Mary podniosła wzrok ku niebu.

— Cała Einstein. Królowa względności. Julia niechętnie przyznała:

— To faktycznie była katastrofa.

W chwili szczerego entuzjazmu, wywołanego obecnością sławnej osobistości ogarnięta zapalem ekspedientka spryskała Legendą miejsce przeznaczone na spotkanie Mary z klientkami (łącznie z lnianym obrusem i miękkimi krzesłami). Kiedy Julia i Mary usiadły przy stoliku, poczuły świdrowanie w nosach i łzawienie oczu. Podeszła sprzedawczyni z buteleczką w rękę, gotowa rozpylić kolejną dawkę perfum. Mary omal jej nie pobiła. — Niech się pani wynosi z tą butelką albo wezwę ochronę — warknęła, sięgając po komórkę Julii, żeby pokazać, że nie żartuje. Ekspedientka wyglądała na dezorientowaną, a nawet wystraszoną. Spojrzała na buteleczkę, chcąc się upewnić, że to Legenda, a nie zapach innej gwiazdy. Gdy się przekonała, że nie popełniła tak głupiej pomyłki, uśmiechnęła się. — Ależ to pani perfumy, pani Ford! A my jesteśmy tak podekscytowani pani obecnością! — Nie obchodzi mnie, jacy jesteście podekscytowani. Albo pani odłoży tę przeklętą butelkę, albo każę panią stąd zabrać. Julia pod wpływem intensywnego zapachu zaczęła odczuwać mdłości. Uśmiechnęła się nerwowo. Kichnęła. — Mam alergię — skłamała, aby nie sprawiać przykrości bliskiej płaczu ekspedientce i nie dopuścić do pogorszenia sytuacji. Kilka klientek stojących najbliżej w kolejce usłyszało groźby padające z ust Mary. Złość na osobę o połowę od siebie młodszą i drobniejszą nie pasowała do wizerunku dostojnej gwiazdy sceny i ekranu, legendy Hollywood.

Julia przez chwilę rozważała, czy dla zwiększenia wiarygodności swoich słów o alergii nie udać kilku kichnięć, ale nim cokolwiek postanowiła, bez udawania kichnęła trzy razy pod rząd.

Nim skończyła, zalanej łzami ekspedientki już nie było, a Mary wreszcie usiadła przy stoliku. Buteleczka Legendy znajdowała się teraz w jej dłoni, co znaczyło, że Mary musiała wyrwać biedaczce perfumy z ręki. Może dlatego pierwsze trzy klientki położyły swoje opakowania perfum na stoliku i odeszły, mruczając pod nosem „suka”. Sprawy wyraźnie przybierały coraz gorszy obrót.

Kiedy wróciły do samochodu, Nick chwilę czekał na wskazanie celu podróży, a gdy się nie doczekał, wyjechał z parkingu i zaproponował, że pokaże im, gdzie można się dobrze zabawić.

— A co to znaczy: dobrze się zabawić? — zapytała Julia.

— Kolacja w Chacie na Odludziu — odparł — a potem pokaz sztucznych ogni w Królestwie Magii. Idealne zakończenie nie dość udanego dnia. — Obrócił się do tyłu i dodał, że do bocznych kieszeni drzwi włożył kilka broszur, które mogą przejrzeć.

Julia wyjęła broszurę o pokazie sztucznych ogni i rzuciła wzrokiem na tekst: „Wymów życzenie na widok gwiazdy i patrz z zachwytem, jak nocne niebo ożywa...”.

Spojrzała na Mary, która czytała tę samą broszurę.

„Świerszcz Jiminy prowadzi Pinokia, Kopciuszka, Arielkę, Piotrusia Pana i inne Disneyowskie postaci podczas opowiadania fantastycznej historii

pośród gwiazd. Przekonaj się, że marzenia się spełniają, że możesz wziąć udział w przedstawieniu tak wielkim, że tylko niebo jest w stanie je: ogarnąć".

Mary założyła swoje eleganckie czarne okulary i odczytała na głos:

— „Ten pokaz ma być pocałunkiem na dobranoc dla naszych gości".

— Myślą o wszystkim — powiedział Nick. Mary zdjęła okulary.

— No cóż, ja się nie całuję na pierwszej randce. Nick się roześmiał.

— Sama pani mówiła, że to już drugi raz. Skrzywiła się. Włożyła broszurę z powrotem do kieszeni na drzwiach.

— Wolałabym jechać do Królestwa Zwierząt. Lubię zwierzęta. Wbrew temu, co myśli moja córka i ta jej banda radykałów. Właściwie wolę zwierzęta od ludzi. Gdy Nick powiedział, że jego kolega może załatwić bilety na „wieczne safari", Mary wzruszyła ramionami, jakby myślami wciąż była przy Lindsay i PETA. Potem kazała mu zwolnić i nie przekraczać sześćdziesięciu mil.

— Nie przesadzaj z pedałem gazu.

Nick przycisnął pedał hamulca i za pośrednictwem wstecznego lusterka puścił oko do Julii.

— Rozumiem, że to oznacza zgodę.

To się stało po kolacji w Chacie na Odludziu, po tym jak Nick zapłacił koledze za zdobycie elektrycznego pojazdu do przejażdżki po sawannie, po

tym jak Nick pomógł im obu wsiąść do dużego samochodu terenowego z plandeką i siedzeniami umieszczonymi na takiej wysokości, że można było oglądać krajobraz, po tym, jak Nick usiadł obok Mary zaraz za kierowcą, a Julia za nimi, po tym jak minęli dwa czarne nosorożce i trzy żyrafy. Wtedy właśnie zadzwonił telefon Julii.

Wieczorne powietrze było chłodne, nawet jak na południową Florydę w październiku, a park, skąpany w świetle imitującym blask księżyca, zdawał się pusty. Mary, która sprawiała wrażenie zadowolonej — żadnych kolejek z klientkami do obsługiwania, żadnego chodzenia, no i cały czas miejsca w pierwszej klasie — obróciła się w stronę Julii, gdy ta nerwowo grzebała w torbie, szukając komórki.

Kiedy Julia ujrzała numer rozmówcy — biuro Patricii — i uświadomiła sobie, która jest godzina — grubo po dwudziestej drugiej (nawet jak na Pa-tricję późna pora na pobyt w biurze) — wiedziała, że coś jest nie w porządku.

— Możesz rozmawiać? — zapytała Patricia rzeczowo. Julia popatrzyła ponad głowami Mary i Nicka na kierowcę pojazdu. Właśnie minęli nosorożce i żyrafy i jechali prawdopodobnie w kierunku stada żerujących antylop.

— No, mów — odwróciła się plecami do pozostałych, aby nie mogli jej słyszeć, i opisała Patricii całą tę surrealistyczną scenę, tak niezwykłą i jednocześnie dziwnie upokarzającą. — Wiesz, jak to jest.

— Ano, niestety, wiem.

Julia niespokojnie wierciła się na siedzeniu i obserwowała antylopy, czekając, aż przyjaciółka wyjawি, co ma do powiedzenia. Zwierzęta wyglądały na prawdziwe, chociaż w disneyowskim parku rozrywki niczego nie można być pewnym. Julia uznała, że skoro nie ma możliwości zadawania pytań kierowcy, będzie musiała odbyć przejażdżkę, domyślając się jedynie, co jest czym.

— Słuchaj — powiedziała wreszcie Patricia. — Dzwonię, żeby cię uprzedzić.

Julia zaśmiała się nerwowo.

— Czyżbyś odkryła coś lepszego niż thermage? Ale nie rozbawiła Patricii.

— Chodzi o córkę Mary Ford.

— Jak to córkę Mary Ford?

— Ma wydać książkę.

— Kolejną powieść?

— Nie. To nie powieść. Wspomnienia. Literatura faktu.

— Jak *Ukochana mamusia*?

— Ma tytuł *Ukochana Mary*. Ale tak, ten sam pomysł — Patricia zamilkła na chwilę. — Wynajęła Puls... mnie osobiście... żeby ją prowadzić i pomagać w zwalczaniu nieprzychylniej prasy przedstawiającej ją jako „złą córkę”, bo na pewno takie komentarze pojawią się po wydaniu książki. — Znowu zamilkła, po czym ciągnęła: — Wiem, że to jeszcze bardziej komplikuje twoją sytuację. Pomyślałam, że powinnaś to usłyszeć ode mnie, żebyś nie czuła się oszukana, gdy za dwa dni zacznie się zamieszanie. Julia mrugała nerwowo, usiłując zebrać myśli.

— Zaraz... a jak ona cię znalazła?

— Przysłał ją Jack DeMarco.

— Jack DeMarco?

Julia z niedowierzaniem kręciła głową. Cała ta sprawa coraz bardziej ją wkurzała. Najpierw śmierdzące perfumy, potem Jack i Lindsay sabotują cały program, a teraz przymierzają się do ostatecznego ciosu. Cała kampania promocyjna rozpadała się niczym domek z kart. W ciągu tylu lat pracy w tej branży Julia nigdy jeszcze nie miała do czynienia z podobną sytuacją.

— Rozumiem, że to czytałaś? — zapytała Julia, choć w zasadzie nie musiała.

— Powiedzmy, że żadnych niespodzianek.

Przecież jej córka jest nikim, a Mary Ford to niegdysiejsza gwiazda! Kto poza Leezą Gibbons czy Deborah Nondlle w ogóle się nimi zainteresuje?

— To mnie zresztą nie martwi. Ta książka po tygodniu pójdzie w zapomnienie — Julia wiedziała, że nie najlepiej wychodzi jej udawanie obojętności.

— Ale to nie książka narobi rozgłosu — powiedziała Patricia — tylko prawa do filmu. W tej historii są świetne role kobiece, jedna dla starszej aktorki. Taka okazja nieczęsto się zdarza aktorkom w pewnym wieku, więc można się spodziewać, że wywoła spore zainteresowanie.

Julia wiedziała, że Patricia ma rację. Faye Dunaway, która wspaniale grała w takich filmach, jak *Bonnie i Clyde*, *Chinatown* i *Sieć*, i tak najbardziej zasłynęła przerysowaną rolą Joan Crawford w filmie *Ukochana mamusia*.

Spojrzała na Mary siedzącą z przodu obok Nicka i po raz pierwszy poczuła dla niej szczerą współ-

czucie. Mary i Nick zgadali się przy kolacji, że oboje wychowywali się w Brooklynie, o kilka ulic od siebie. Teraz gdy pojazd przejeżdżał przez wygięty most ponad sadzawką z krokodylami, wciąż rozmawiali o tamtych czasach. W oddali widać było kilka hipopotamów u podnóża wodospadu. Na widok świateł samochodu zwierzęta uniosły głowy.

Julia nie miała pojęcia, jak przekazać tę wiadomość Mary, nie wiedziała też, jakie stanowisko w tej sprawie przedstawić mediom. Wiedziała natomiast, że musi poinformować Mary jak najszybciej. Nie mogła ryzykować, by ta dowiedziała się od kogoś innego. Podskakując na wybojach, zapytała jeszcze Patricię o ramy czasowe projektu.

— Maszynopis ma zostać przedstawiony wydawcom i producentom w piątek. Będą mieli czas przez weekend, żeby go przejrzeć. W poniedziałek powinniśmy wiedzieć więcej.

Julia złożyła telefon i chwilę wpatrywała się w blask księżyca.

Był wtorkowy wieczór.

Następnego popołudnia powinny być z powrotem w Nowym Jorku.

Będzie więc miała prawie cały czwartek na przemyślenie strategii działania. Trzeba będzie przygotować oświadczenie Mary wyrażające jej stanowisko wobec książki córki, podjąć szybką decyzję, kogo umówić z Mary — Katie Couric? Dianę Sawyer? Barbarę Walters? — na jej pierwszy wywiad telewizyjny. Mary Ford może i nie jest najpopularniejsza, ale telewizja uwielbia osoby — aktorki,

matki, zgasłe gwiazdy — które są pod ostrzałem krytyki. Gdy Julia zastanawiała się, kiedy przekazać tę wiadomość Mary — po powrocie do hotelu? następnego dnia przy śniadaniu? przed odlotem? przy pożegnaniu, gdy samochód zatrzyma się przy krawężniku i będzie czekał, by zawieźć Julię do Larch-mont na obchody Halloween? — ta obróciła się i krzyknęła:

— Kto dzwonił? Julia zawahała się.

— Moja przyjaciółka, Patricia.

— Ta, o której wspominałaś?

— Tak.

— Czemu tak późno?

Nic nie uszło uwagi Mary. Nawet przy tych wszystkich odgłosach dżungli, z lornetką na podczerwień przy oczach, trzymała rękę na pulsie.

Julia zamarła. Chciałaby, żeby czas się zatrzymał. Chciałaby odwlec ten moment, żeby móc lepiej przygotować się do tego, co i tak musiała zrobić — powiedzieć Mary, że jej córka napisała o niej nieprzychylną książkę, która za czterdzieści osiem godzin ma podbić Nowy Jork i Hollywood. W głębi duszy Julia wiedziała, że wspomnienia Lindsay Green można przedstawić tylko w jeden sposób: jako próbę publicznego upokorzenia matki, czyli szczyt nielojalności.

Wiedziała też, że odwlekanie tego, co nieuniknione, na dłuższą metę nie przyniesie niczego dobrego. Mary byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała, że Julia ukrywała przed nią tę informację.

Pochyliła się więc do przodu, klepnęła Nicka w ramię i wskazała palcem kierowcę.

— Zatrzymajmy się na chwilę. \ Pojazd zaczął zwalniać. Stanęli pośrodku polany porośniętej krzewami, na której zgromadziła się rodzina małp. Ich futra lśniły w sztucznym świetle. Wyglądały na niezwykle spokojne, wśród drzew poszukiwały liści i jagód.

— Masz dla mnie złe wieści, prawda? — zagadnęła Mary.

Julia skinęła głową i westchnęła ciężko.

— No — szturchnęła ją gwiazda — wyduś je w końcu.

Zacząła mówić.

Kiedy skończyła, patrzyły na siebie nawzajem i milczały.

Mary grzecznie poprosiła Nicka, żeby usiadł z przodu, obok kierowcy, aby mogły spokojnie porozmawiać. Gdy Nick się przesiadł, Mary spojrzała na las, na gęstwę zwisających gałęzi i bujnych traw — roślinność, która, jak Julia podejrzewała, w naturalnym świetle dnia miała piękny odcień głębokiej zieleni.

— Przykro mi — powiedziała Julia.

— A czemuż to? — burknęła Mary. — Przecież nie odpowiadasz za zachowanie mojej córki.

— Mogę to naprawić.

— Nie.

— Ależ tak. Kiedy wrócę do biura, natychmiast opracuję strategię i plan działania. Jeśli mamy się bronić, możemy przynajmniej stworzyć mały zamęt, kontratakując.

Mary powoli kiwała głową.

— Nie kłopotz się. Szkoda czasu.

Julia zaczęła nerwowo relacjonować, co można zrobić, aby obrócić sytuację na ich korzyść — jakich wywiadów Mary mogłaby udzielić, jakie oświadczenie opublikować w prasie, aby podważyć wiarygodność Lindsay Green, może nawet udałoby się tym razem namówić Bruce'a do publicznego wystąpienia w obronie Mary.

Mary jednak podniosła dłoń, by ją przerwać.

— Mam już dość — powiedziała zmęczonym głosem.

Julię zaskoczyła ta nagła rezygnacja.

— Ale... przecież zaszłyśmy już tak daleko — próbowała oponować. — Nie możemy teraz się poddać.

Pomyślała o tym, ile czasu i energii Mary włożyła w promocję Legendy na długo przed pojawieniem się Julii u Jacka — wszystkie sesje zdjęciowe i spotkania z Heaven Scent — i ile czasu i energii obie poświęciły temu projektowi w ciągu ostatnich miesięcy, a szczególnie ostatnich dwóch tygodni. Po tym wszystkim, co Julia przeszła: była świadkiem kradzieży ubrań przez Mary, znosiła słowne molestowanie w limuzynie z Long Island, przeżyła lot do Waszyngtonu, aferę z kotлетem cielęcym, te wszystkie wieczory spędzone z Mary na oglądaniu Charliego Rose'a i pomoc w układaniu zamówień na śniadanie, podczas gdy mogła być wtedy w domu z Leo, i po tym wszystkim, przez co przeszła Mary: upokorzeniach związanych z paskudnym zapachem perfum, malejącą liczbą klientek, demon-

stracjami PETA i apartamentem Myszki Minnie — aż trudno było uwierzyć, że eksgwiazda chce się po prostu poddać.

— Tym sposobem pozwala pani wygrać Jackowi.

— Jack DeMarco obchodzi mnie mniej niż zeszłoroczny śnieg.

— No to Lindsay.

— Może zasługuje na wygraną po tym wszystkim, co przeze mnie przeżyła.

Mary wolno przesunęła dłonią po włosach i popatrzyła na zwierzęta. Małpy czyściły sobie wzajemnie futra. Potem wszystkie objęły się w zbiorowym uścisku. Patrząc na nie, Mary zbierała myśli. Wyglądała, jakby przed oczami przesuwało się jej całe życie, niczym nagrane na taśmie filmowej amatorską kamerą.

— Zamieniłam to, co powinno być najważniejsze — dzieci i rodzinę — nawet nie na puszcę małp, ale na jedną głupią małpę. Sławę. Z natury krótkotrwałą, przemijającą, niestałą.

Julia szukała w pamięci czegoś, co pomogłoby jej zrozumieć te słowa. Mary zorientowała się, że jej rozmówczyni nie ma pojęcia, o co chodzi, i potrząsnęła głową.

— Ten twój beznadziejny college! Jak można wypuścić absolwenta, który nie czytał *Kupca weneckiego*!

— Przepraszam — odparła Julia odruchowo. Mary znowu pokiwała głową.

— Słyszałaś o Shylocku?

Oczywiście, że słyszała. Właściwie nawet czytała *Kupca weneckiego*, ale widocznie już zapomnia-

ła, bo zajęcia, które sobie wybrała — Szekspir z perspektywy feministycznej — były o feminizmie, a nie o Szekspirze.

— W tej sztuce Shylock ma córkę, którą kocha nad życie, i daje jej taki pierścień... który należał do jej matki. Kiedy się dowiadyje, że jego córka poślubiła chrześcijanina, a nie żyda, i sprzedała pierścień za jakąś głupią małpę, jest zdruzgotany i woła: „Mój to był turkus — Mary podniosła głos w uniesieniu godnym teatralnej sceny. — Nie oddałbym go za całą puszcę małp!"*

Julia milczała.

— Schrzałam to, Einsteinie. Wszystko. Moje aktorstwo, filmy, sława, majątek... wszystko było ważniejsze od rodziny.

— No więc popełniła pani parę błędów. Błędów w ocenie. Zgoda. Wszystkim rodzicom się to zdarza.

— Nie rozumiesz. Twój Leo to jeszcze dziecko. Wciąż kocha cię jak nikogo innego. Moja córka spędziła większość życia, próbując udowodnić mnie i wszystkim dokoła, jaką złą jestem matką. I ma na to dość dowodów.

Julia próbowała odczytać coś z wyrazu twarzy i oczu Mary, ale blask księżyca, sztuczny czy nie, nie pozwalał dostrzec takich niuansów. Widziała jedynie pochyloną głowę Mary i piękne złote bransoletki ze szlachetnymi kamieniami na jej lewej ręce.

* W. Shakespeare, *Kupiec wenecki*, przeł. Maciej Słomczyński, w: William Shakespeare, *Dwanaście dramatów*, tom 1, Warszawa 1999.

— Kiedy dawno temu przyjechałam tu z dziećmi, był okropny upał. Pewnego popołudnia Lindsay i Bruce jedli lody i, jak to dzieci, ubabrali się, bo wszystko lało im się po brodzie na koszulki — próbowała się roześmiać, ale wypadło to do^Ać sztucznie. — Pamiętam, że na chwilę odeszłam od nich do cienia i rozglądałam się za jakąś toaletą, żeby ich doprowadzić do porządku. Wtedy nie było tak jak dzisiaj, że matki zawsze mają pod ręką jakieś wilgotne chusteczki, szmatki czy inne jedno-razówki... To trwało tylko moment, ale kiedy znów spojrzałam na miejsce, gdzie zostali, ich tam nie było. Jakby się rozplynęli. To było niewiarygodne. Dopiero po paru sekundach dotarło do mnie, że musieli się wmieszać w tłum. Wrzeszczałam jak opętana.

Takiej sytuacji Julia najbardziej się bała. Nie chciała nawet myśleć, że mogłaby zgubić Leo w centrum handlowym, na plaży czy gdziekolwiek indziej.

— Strażnik zabrał mnie do najbliższego punktu służb ochrony i w ciągu kilku minut ich znaleziono. Oboje byli przerażeni. Chwycałam ich i mocno objęłam. Bruce przytulił się do mnie, ale Lindsay nie. Nie wybaczyła mi tego. Strażnik próbował podnieść mnie na duchu i powiedział, że w Disneylandzie nie ma zaginionych dzieci. Są tylko zagubieni rodzice. Kiedy dzieci odłączają się od rodziców, najbardziej boją się... oprócz, oczywiście, tego, że są same... że rodzice będą się gniewać, kiedy je znajdą. Przerzucają winę na rodziców... Zresztą, Julio, mają rację.

Julia poczuła ścisnięcie w gardle. Mary po raz pierwszy zwróciła się do niej po imieniu.

— To nie wina Lindsay — mówiła aktorka. Siedziała wyprostowana jak struna, z zaciśniętymi ustami, a po policzku spływała jej samotna łza. — To nigdy nie była jej wina. To moja wina. Mnie należy winić. To ja się zgubiłam i teraz muszę ponieść konsekwencje.

21.

Po tym wszystkim nie pozostało już wiele do powiedzenia ani do zrobienia. Trzeba było wracać — najpierw do hotelu, gdzie tym razem Mary nie namawiała Julii do oglądania Charliego Rose'a. Następnego ranka pojechały limuzyną z Po Prostu Nickiem na lotnisko, a potem na La Guardia i do limuzyny, w której czekał na nie Radu, by zawieźć je do centrum.

Tym razem Mary, inaczej niż podczas wcześniejszych podróży, sprawiała wrażenie obojętnej na wszystko: nie zareagowała, gdy Sindbad i Dzwoneczek upuścili jedną z jej toreb podczas wkładania do bagażnika, nie zareagowała, gdy Nick podarował im na pamiątkę po małej Myszce Mickey z przyczepioną do ucha wizytówką o treści „Po Prostu Nick — Po Prostu Dzwon”, nie zareagowała, widząc, że po raz pierwszy o właściwej porze przed wejściem na lotnisko czeka na nie ochroniarz w czerwonej kamizelce z radiem w ręku, który przewiózł je pod bramki kontrolne, a potem aż do samolotu.

Nie poruszyło jej też, że Jack zmienił rezerwację ich biletów na klasę turystyczną, ani to, że Julia spędziła dwadzieścia minut, próbując przekonać szefową personelu pokładowego — która była za młoda, by mieć pojęcie, kim kiedyś była Mary — do zamiany miejsc na pierwszą klasę, ani nawet to, że ta dyskusja nie przyniosła żadnego rezultatu.

To już był koniec — koniec wszystkiego. Kiedy Mary, idąc w kierunku Ansonii, odwrócona tyłem do samochodu, uniosła dłoń na pożegnanie, Julia wiedziała, że nastąpił przełomowy moment: Mary Ford się poddała.

Tego popołudnia po powrocie do biura Julia była tak wściekła na Jacka, że aż nie mogła na niego patrzeć. Mijając jego gabinet, dostrzegła, że siedział w narożniku dla gości, ubrany w kolejny tani garnitur, z ramionami szeroko rozłożonymi na oparciu sofy, i rozmawiał z Denisem Franzem i jego oddanym agentem. Napuszony jak zwykle, przedstawiał im siebie jako zbawcę i wskrzesiciela karier. Julia usiadła za biurkiem i przywitała się z Jonathanem, którego ciepła i troskliwości brakowało jej w podróży, gdy dopadała ją twarda rzeczywistość. Szybko jednak skupiła się na konkretach. Musiała wyprowadzić klientkę z kryzysu, a czas naglił. Przystąpiła więc do działania. Najpierw z rozwagą opracowała ogólną strategię (przedstawienie Mary jako ofiary, osoby wykorzystywanej, i zaatakowanie napastnika), a potem zajęła się szczegółami (konspekt oświadczenia Mary, które powinno zostać przesłane do prasy w piątek rano, zanim sprawa nabierze rozgłosu, lista wywiadów, o które warto się postarać w najbliższym tygodniu, plan rozmów telefonicznych z różnymi producentami i reporterami, które trzeba by odbyć w piątek po południu).

To było wszystko, co mogła zaplanować. Reszta była nieprzewidywalna. Reakcja nowojorskich wy-

dawców i filmowców z Hollywood na maszynopis Lindsay Green, reakcja mediów na wiadomość o książce, a także ich dalsze zainteresowanie działaniami PETA — na razie pozostawały/w sferze domysłów. Julia mogła jedynie przygotować się możliwie najlepiej: ustalić listę spraw do załatwienia na następny dzień, wprowadzić Jonathana w sytuację i kazać mu odwołać pozostałe spotkania Mary z klientkami na Zachodnim Wybrzeżu. Potem mogła wreszcie pojechać do Larchmont, by się wymieszać z innymi składnikami sałatki.

Biegając z dworca na róg Larchmont Avenue i Putnam, gdzie każdego roku zaczynała się parada, Julia dojrzała w świetle lampy ulicznej zbiorowisko różnorodnych dziwacznych postaci — brokuła (Alison), kalafiora (Adam), czerwoną cebulę (Zanny), pęd szparaga (George), pomidora (Deika), marchewkę (Ian), buraka (Mia) i oczywiście karczocha (Scoob) — pozujących do grupowego zdjęcia, które robiła Pinar aparatem cyfrowym. Julia nie widziała jej tak dawno, że nawet nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska. Miała wrażenie, że nadal jest w Disneylandzie, albo przynajmniej na sesji zdjęciowej przed promocją odzieży dziecięcej.

Przeciskała się przez tłum z niemal pustą torbą i z laptopem na ramieniu. Nim aparat błysnął i dzieci powykrzywiały buzie w uśmiechu, omal nie stanęła jak wryta na widok dzieła wykreowanego przez Petera, z kartonu, kolorowych szmatek, folii alumi-

niowej i barwnych sreberek. Zobaczyła nie tylko osiem warzyw, ale też grupę rodziców przebranych za duże liście sałaty i kapusty, grzanki i młynki do soli i pieprzu, a na ich czele parę w kapeluszach obleczoną folią, tak że przypominała kształt szczypiec, oraz własnych rodziców przebranych za butelki z oliwą i octem.

Tłum zaczął się przesuwać i sałatka utworzyła luźny krąg na środku ulicy. Rodzice obserwowali, jak dzieci poruszają się niezgrabnie w swoich kostiumach oraz z dumą machają do gapiów i innych przechodzących grup dzieciaków. Wszyscy kierowali się w stronę remizy po hot dogi i kandyzowane jabłka. Oświetlały ich tylko latarnie z dyni. Julia pomachała do rodziców. Mieli na sobie te same bluzy, co zawsze, džinsy i buty na grubej podeszwie. Kiwali do niej, wysunawszy ręce spod prostych kartonowych przebrań, które wykonał dla nich Peter. Leo, ukryty pod zielonymi warstwami liści karczocha, pękał z dumy. Julia chwyciła go za rękę, żeby nie zginął w tłumie. Peter pomachał do niej z innej części sałatki, ponad gigantycznym liściem kapusty (tata Zanny'ego), i uśmiechał się od ucha do ucha.

— Fajnie, co? — krzyknął, wskazując na otaczających go rodziców, dzieci i całą paradę.

Mocniej ścisnęła rączkę Leo. Pomachała Peterowi w odpowiedzi.

— Tak! — krzyknęła, chociaż nie miała pewności, czy mąż ją słyszy. — Masz rację! Świetna zabawa! Super!

Tego wieczoru, po powrocie do domu, kiedy przejrzeni uzbierane przez Leo słodycze, kiedy Leo zasnął w przebraniu karczocha na podłodze w salonie (podczas gdy Peter i Julia rozmawiali o wszystkim, z wyjątkiem najświeższych problemów z Mary Ford), kiedy Julia bez wyrzutów sumienia zjadła dwie czekoladki Reese's i dwa batony Kit-Kat i kiedy zanieśli Leo na górę do sypialni — poszli do łóżka i w słodkich oparach tych wszystkich okoliczności kochali się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Tydzień wcześniej zmieniono czas na jesienno--zimowy i mimo nie bardzo późnej pory w sypialni już było ciemno jak w piwnicy. W tych ciemnościach splekli dłonie w czułym uścisku.

— O czym myślisz? — szepnęła Julia. Oddychał głęboko.

— Myślę, że na Święto Dziękczynienia zrobię indyka Wielkiego. Przyjdą twoi rodzice, moi rodzice, Patricia. Moglibyśmy zaprosić wszystkie mamy z przedszkola na podwieczorek. Upiekłbym jakieś ciasta, ciasteczka, może tort — obrócił się w jej stronę. — Jak ci się to podoba?

Zasypiając, poklepała go po ramieniu. Pomysł bardzo się jej podobał.

22.

Następnego ranka Julia wpadła na pomysł, jak z powodzeniem zakończy sprawę Mary. To było nagłe olśnienie — mała bańka myślowa, która zupełnie niespodziewanie wypłynęła z jej podświadomości. Prosty sposób, za pomocą którego mogłaby rozwiązać nie tylko problemy Mary, ale i swoje. Wiedziała już, jak załagodzić kryzys medialny, jak odegrać się na Jacku i jak pokazać Patricii, że chociaż uważała Julię za nie przygotowaną do pracy w lepszym miejscu niż Howard Pam Public Relations, to jednak udało jej się wrócić do gry.

Trzeba tylko przekonać Mary.

Pojechała pociągiem do centrum, a tam złapała taksówkę do Ansonii. Mary już na nią czekała, uprzedzona telefonem. Julia powiedziała, że potrzebuje jej podpisu na dokumentach upoważniających firmę do odwołania wszystkich spotkań promocyjnych. Julia miała pewność, że nawet gdyby pojawiła się bez pretekstu, Mary nie byłaby zaskoczona. Aktorka zdawała sobie sprawę, że jej nagła decyzja była dla Julii szokująca i że tak łatwo się to nie skończy.

Mary Ford otworzyła drzwi. Julia znalazła się w dużym mieszkaniu, zajmowanym przez aktorkę od ponad trzydziestu lat. Wysokie ściany zapełnione były regałami z książkami, a pomieszczenia pięknymi, gustownymi meblami. Na kominku stały stare, czarno-białe fotografie. W przedpokoju wi-

siały pamiątki z Hollywood — stare plakaty z filmów *Cały czas i Cena miłości* — oraz imponujące dzieła sztuki współczesnej, wśród któryck odznaczał się olbrzymi portret Mary wykonany przez Andy'ego Warhola techniką sitodruku, z gatunku tych popularnych w latach siedemdziesiątych. Mary poprowadziła Julię do dwóch sof w salonie i gestem zaprosiła, by usiadła.

— Rozumiem, że przyszedłś mnie namawiać, żebym nie rezygnowała — zaczęła Mary.

Julia przytaknęła.

— Muszę przyznać, Einsteinie, że podziwiam twój upór. Nie spodziewałam się tego po tobie.

Ze wszystkich pseudokomplementów i bezpośrednich obelg, jakimi Mary obrzucała ją w minionych tygodniach, ta uwaga obeszła ją najmniej. Może dlatego, że była prawdziwa. Julia też się tego po sobie nie spodziewała.

Mary patrzyła na nią uważnie.

— To już koniec. Wiesz o tym. Nie da się nic poradzić na zamieszanie, które wywołała ta książka.

— Myślę, że się da.

— Czyżby? — odparła Mary z powątpiewaniem. — Co mianowicie?

Zdając sobie sprawę, jak paradoksalnie mogą zabrzmieć jej słowa, Julia pochyliła się do przodu i wzięła głęboki wdech.

— Promować tę książkę. Mary parsknęła śmiechem.

— Promować?

— Nie wiem, jak lepiej to nazwać.

— Chyba żartujesz!

— Nie. Nie żartuję.

— No to pewnie brak ci piątej klepki. Bo jak inaczej wyjaśnić propozycję, bym popierała coś, co ma mnie poniżyć, upokorzyć, pokazać w niekorzystnym świetle?

Julia usiadła wygodniej i splotła dłonie.

— To jedyna słuszna decyzja. Nie ma pani innego wyjścia. Mary odgarnęła włosy. Zaciśnęła usta. Nie lubiła, gdy ją pouczano, a co dopiero, gdy czuła się wręcz przyciśnięta do muru.

— A kto twierdzi, że to słuszna decyzja? - J a

Mary machnęła lekceważąco dłonią i powiedziała złośliwie:

— Jakbyś się na czymkolwiek znała! Ledwie miesiąc temu siedziałaś w domu i oglądałaś *Bameya* ze swoim małym Cyrankiem de Bergerac.

Ta uwaga dotkliwie Julię ubodła. Wiedziała, że Mary, zagrywając kartą spraw osobistych, chciała jej dopiec. Wiedziała też, że robiła tak zawsze, gdy czuła się atakowana i przybierała postawę obronną, ale mimo to za każdym razem, gdy Mary wspominała o Leo, matczyne uczucia Julii brały górę nad wszystkim, wywołując gwałtowną złość.

— Zaczniemy od tego — odparła Julia — że nie było mnie nawet w pobliżu, gdy Jack umawiał się z Heaven Scent. Po drugie, to nie Lindsay powiadomiła PETA, ale Jack. A po trzecie, Leo i ja nigdy nie oglądamy *Bameya*. Oglądamy *Toma i Jerry'ego* — jej oczy zrobiły się wąskie jak szparki, skrzyżowała

ramiona na piersiach. Nie miała zamiaru w ogóle reagować na wzmiankę o Cyranie de Bergerac.

Mary wyglądała na zbitą z tropu. Julia zrozumiała, że to ani czas, ani miejsce na obronę siebie i swojego dziecka przed idiotycznymi zarzutami, zmusiła się więc, by wrócić do tematu. Opowiedziała Mary, w jaki sposób Jack przekazał informację o Heaven Scent do PETA i jak potem skontaktował się z Lindsay i wysłał ją do tej organizacji, wiedząc, że ona chętnie zaangażuje się w szlachetną sprawę, dzięki której znajdzie się w centrum zainteresowania.

Mary kręciła głową. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Jack miałby sabotować interesy własnej klientki i po co torpedowałby swój własny projekt — Legendę?

— Bo wiedział na długo przedtem, zanim panią poinformował, że z tymi perfumami będą kłopoty. Wiedział, że Heaven Scent musiał ciąć koszty na etapie produkcji i że nieudany zapach będzie bardziej przeszkadzał, niż pomagał. Żeby odwrócić uwagę od okropnych perfum i przenieść zainteresowanie na pani osobę, postanowił zorganizować reklamę w inny sposób. Czarny pijar był jego strategią na zapewnienie rozgłosu wokół pani nazwiska, przy jednoczesnym odwróceniu uwagi od faktu, że perfumy okazały się antyreklamą.

Mary słuchała w skupieniu.

— Kiedy zaczęłam negocjować z PETA, żeby zaniechali protestów, plan Jacka został zagrożony. Zanosiło się na to, że znowu uwaga wszystkich skupi się na perfumach, czego właśnie chciał unik-

nać, więc usiłował jak najszybciej przerwać naszą podróż i zredukować swoje straty.

— Stąd apartament Myszki Minnie?

— No właśnie. A co do Lindsay, to kiedy już media się nią zainteresowały, Jack pomógł jej sprzedać książkę w zamian za pomoc w pogrzebaniu Legendy.

— Jack mógł jej pomóc w sprzedaży — stwierdziła Mary — ale nie dał jej motywacji. Inicjatywa wyszła od niej.

Motywacja!

Może Jack mówił prawdę.

— A może Lindsay, włączając się w całą tę intrygę, nie chciała pani zaszkodzić, tylko pomóc? Może zaangażowała się w działania PETA, by panią chronić przed publicznym upokorzeniem, bo kierując uwagę na kwestię praw zwierząt, odwracała ją od pani?

— To jakiś absurd — powiedziała Mary.

— Wcale nie.

Julia znowu pochyliła się do przodu.

— Oczywiście, że Lindsay ma do pani żal. To publiczne występowanie przeciwko perfumom było jej sposobem zwrócenia na siebie uwagi. Lindsay najwyraźniej postanowiła włączyć się do gry. Ale możliwe, że walczyła przy tym sama z sobą. Może druga część jej osobowości... ta, która panią kocha i pragnie silniejszej więzi między wami, też postanowiła grać. Możliwe, że dla niej udział w planie Jacka i całe to pisanie wspomnień były sposobem na zbliżenie się do pani.

Mary wpatrywała się w Julię szeroko otwartymi oczami.

— To już chyba dość naciągane.

— Może. A może nie. Zresztą, jakiegokolwiek były jej pobudki, w tej chwili są i tak nieistotne. Trzeba się zastanowić, co zrobić z tym zamieszaniem... Jak się zachować w tych najgorszych z możliwych okolicznościach i wyjść z całej sytuacji zwycięsko. Mary rozejrzała się i znowu westchnęła. Oparła się o poduszki na kanapie.

— Chcesz mi powiedzieć, że jedynym ratunkiem jest zaniechanie walki z tą książką? Pozwolenie mojej córce mówić o mnie, co zechce, niezależnie od tego, czy to prawda? Chociaż... w większości to pewnie prawda.

— To tylko część mojej rady.

— A reszta?

Właśnie ta „reszta” była najważniejsza. Miała nie tylko uratować reputację Mary, ale też umożliwić jej powrót do aktorstwa, co przecież było nadrzędnym celem. — Musi się pani postarać o zagranie samej siebie w tym filmie.

Ze zdumienia Mary aż otworzyła usta. Po raz pierwszy, odkąd się poznały, Julii wydało się, że stał się cud: Mary Ford zaniemówiła.

— Wiem, co pani sobie myśli. Że zwariowałam. Ale mówię poważnie. Włączając się w sprawę tej książki i filmu, stępi pani ostrze zarzutów wysuwanych przez Lindsay i pokaże wszystkim, że jest pani myślącą osobą, że ma pani poczucie humoru, dystans do samej siebie i w ogóle do rodzicielstwa. Oczywiście, córka pani rzekomo nienawidzi. Ale przecież wszystkie córki czasami nienawidzą swo-

ich matek. Bo wszystkie matki popełniają błędy... nawet sławne gwiazdy. Żaden rodzic, choćby nie wiem jak się starał, nigdy nie wygra.

Mary milczała, więc Julia ciągnęła dalej.

— To dla pani okazja do zagrania życiowej roli. Samej siebie, takiej jak teraz: starszej i mądrzejszej Mary Ford. Taka rola to idealny sposób na odzyskanie popularności.

Mary nadal się nie odzywała, więc Julia przekonywała dalej.

— A może najważniejsze jest, że byłaby to dobra okazja, aby zbudować nowe relacje między panią a Lindsay? Sama pani mówiła, że żałuje niektórych decyzji z przeszłości. Tego, że pani potrzeby były ważniejsze od dzieci. Jeśli to prawda, jeśli naprawdę pani żałuje, to czemu nie skorzystać z okazji, żeby to naprawić? Możecie zacząć od nowa. Współpraca przy takim twórczym projekcie bardzo ludzi łączy.

Mary przełknęła ślinę. Podobnie jak wtedy, na skąpanej w świetle księżycyca sawannie, po jej policzku spłynęła samotna łza.

— A jeśli ona mnie odrzuci? — powiedziała cicho, załamującym się głosem.

— Ona pani potrzebuje, a pani potrzebuje jej. Wszystko inne się ułoży.

Mary wyjęła chusteczkę z rękawa swetra i wytarła nos, wykorzystując tę krótką chwilę na podjęcie ostatecznej decyzji, czy zaufać Julii w pokierowaniu marnymi resztkami jej kariery.

— Tam na zewnątrz jest dżungla — powiedziała po chwili Mary.

— Wiem.

— Jesteś pewna, że dasz sobie radę? Julia nawet nie mrugnęła.

— Byłam tam już — odparła — i myślę, że jeszcze pamiętam, jakie panują w niej prawa.

Teraz, gdy Mary się zgodziła, Julia musiała jedynie dobrze to rozegrać.

Jadąc taksówką do centrum, wiedziała, że musi działać szybko, żeby zdążyć wszystko zorganizować, zanim maszynopis Lindsay Green zostanie rozesłany następnego dnia do wydawców i producentów filmowych. Minęła gabinet Jacka po drodze do własnego i choć widziała szefa, siedzącego przy biurku i rozmawiającego przez telefon, udała, że go nie dostrzega. Wezwała Jonathana, zamknęła za nim drzwi i przedstawiła mu swój plan rozwiązania sytuacji Mary.

Oczy Jonathana zrobiły się wielkie jak talerze. Kiwał energicznie głową.

— Świetny pomysł!

— Tak sądzisz? — zapytała Julia, łaknąc wsparcia choćby ze strony niemal o połowę od niej młodszego asystenta, który nosił hipisowskie koraliki i spodnie tak szerokie, że prawie z niego spadały.

Skinał głową z entuzjazmem, co miało oznaczać zdecydowane poparcie.

— Kto by ją podejrzewał o popieranie córki w takiej sytuacji? To prawdziwe zaskoczenie. Wywrócenie wszystkiego do góry nogami.

Odetchnęła, chyba po raz pierwszy tego dnia, a może tygodnia.
J V Jonathan.

— No to czemu tak się boję zadzwonić do Patricii? — sama się zdziwiła, że zadała mu to pytanie.

— Masz powody.

— Jakie powody?

— Bo z tego, co o niej opowiadałaś — zaczął Jonathan — rozumiem, że ona jest... no... zainteresowana sobą.

— Niby racja.

— Ale zdaje się, że nie jest to chorobliwy narcyzm. Chyba można stwierdzić, że z jej osobowością wszystko w porządku.

— Znowu racja.

— Iz tego, co o niej mówiłaś, wynika, że lubi być panią sytuacji.

— O, tak, zdecydowanie tak — od tych potwierdzeń Julię aż rozboleła szyja. — Ale czemu się boję? — powtórzyła pytanie z nadzieją, że on postawi kropkę nad i.

— Bo to naprawdę dobry pomysł i boisz się, że Patricia będzie zazdrosna, iż to ty na niego wpadłaś, a nie ona.

— Więc co mam robić?

Przeanalizował lewą i prawą stronę równania.

— Kiedy do niej zadzwonisz, musisz zrobić dwie rzeczy: odwołać się do jej ambicji i odwrócić uwagę od faktu, że to ty chcesz manipulować nią. Powinna myśleć, że doprowadzenie do tego, że Mary skorzysta na filmie Lindsay, to jej pomysł.

Dwadzieścia minut później Jonathan wrócił z kawą i pączkami tak starannie lukrowanymi, że wyglądały na plastikowe. Zamknął drzwi i usiadł przy biurku na wprost Julii.

Jonathan Leibowitz Buchman. Drugi pilot Pomocnik. Przyjaciel.

Wyjęła nowy notes oraz jeden z tandetnych długopisów znalezionych w szufladzie z materiałami biurowymi, które już nawet zaczynała lubić, i podniosła słuchawkę bezprzewodowego telefonu. Wybrała numer Patricii, przebrnęła przez jej asystentkę i po chwili rozmowy z przyjaciółką przystąpiła do interesów.

— No i jak tam maszynopis Lindsay?

— Z tego, co wiem, jak na razie nieźle.

— Duże zainteresowanie?

— Aha.

— Na pewno?

— Oczywiście.

Obie zamilkły, a po chwili Patricia głośno westchnęła.

— Julia?

— Tak?

— Masz jakąś sprawę, czy tak dzwonisz, bo się nudzisz?

— Mam sprawę.

— To słucham.

Julia potrzebowała paru sekund, żeby zebrać myśli.

— Słuchaj, Mary Ford chce pomóc w promocji tej książki.

Patricia zamilkła.

— Jak to pomóc? — powiedziała po chwili.

— To znaczy, że nie będzie publicznie krytykować ani książki, ani córki, ani przed wydaniem, ani po.

— Ty chyba nie rozumiesz, co to za tekst. To niepochlebny obraz egoistki, której bardziej zależało na własnych sukcesach i wizerunku niż na zapewnieniu szczęścia córce, że nie wspomnę o synu. To naprawdę nie za bardzo przyjemne i nie wyobrażam sobie, żeby Mary Ford była zainteresowana wspieraniem promocji takiej książki. Ty też, jako jej przedstawicielka, nie powinnaś się w to w ten sposób angażować.

Już drugi raz tego dnia Julia poczuła wewnętrzny bunt.

— Ależ ja wiem, co to za książka — powiedziała z przekonaniem i wystawiła język. Jonathan zachichotał.

— No to jak możesz mówić, że Mary Ford chce ją poprzeć?

— Bo taką podjęła decyzję.

— Ale dlaczego?

— Bo uważa, że jej córka ma prawo do swoich pięciu minut.

— A gdzie w tym wszystkim kruczek?

— Nie ma żadnych kruczków.

— Zawsze jest jakieś drugie dno. Julia uśmiechnęła się z wyższością. *Ba!*

— Posłuchaj — powiedziała, a odwagi i adrenaliny w takim samym stopniu, jak cukier i kofe-

ina, dodawało jej pragnienie Wygrania tej ostatniej rundy. — Wkrótce sprzedasz bardzo subiektywne wspomnienia o matce, która była gwiazdą Hollywood, autorstwa córki, która jest nieudacznicą i niewdzięcznicą. Prawda?

Patricia nie odpowiadała.

— Czy nie zostałyby odebrane pozytywnie, gdyby matka poparła prawo swojej niewydarzonej córki do wyrażania własnych opinii? Nie byłoby wzruszające, gdyby ta matka chciała nawet towarzyszyć niewdzięcznej córce w wystąpieniach telewizyjnych i wywiadach, aby pokazać światu, jak obie potrafią zapomnieć o różnicach i niesnaskach i żyć w zgodzie? Patricia milczała, ale Julia wiedziała, że przyjaciółka intensywnie myśli. Na pewno już wyobrażała sobie wywiad z Ophrą, program Diany Sawyer, rozmowę z Larrym Kingiem i godzinną debatę z dr. Philem, oczyma wyobraźni widziała już Mary i Lindsay, które opowiadają o swoich problemach i o tym, jak uzdrowiły swoje relacje.

— To by pomogło pokazać Lindsay Green w lepszym świetle, jako bardziej ludzką, bo na razie wygląda to tak, że wykorzystuje sławę matki i zdradza wszystkie rodzinne sekrety, żeby zgarnąć kasę — dodała Julia.

— Mam rację?

— Masz.

— Wtedy dopiero powstałaby wspaniała opowieść. Nie zwyczajna opowiastka dorosłej córki wściekłej na matkę gwiazdę, ale historia upadku i odkupienia, ludzi, którzy potrafią do siebie powrócić po wielu latach krzywdzenia się nawzajem.

Julia była gotowa sypać najbardziej naukowymi zwrotami i powiedzonkami — które Jonathan, zanosząc się śmiechem, zapisywał w notesie dużymi drukowanymi literami — aby nadać swemu przemówieniu bardziej pompatyczny charakter. Gdy Jonathan już zapisał całą stronę, a Julia przebiegła po tym wzrokiem i odczytała frazy w stylu „CYKL CIERPIENIA” i „ŚWIAT BÓLU”, z trudem utrzymała powagę.

— Powiesz mi wreszcie, gdzie tkwi podstęp? — nie dawała za wygraną Patricia.

Julia narysowała olbrzymi haczyk na rybę i obróciła się wraz z krzesłem, żeby pokazać rysunek Jonathanowi.

— Już ci mówiłam, że tu nie ma żadnego podstępu.

— Jakoś ci nie wierzę — roześmiała się Patricia.

— Trudno — odparła Julia najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było ją stać. — Masz prawo.

— Wiem.

— Wiem, że wiesz.

— Dobrze.

— To dobrze.

Dla lepszego efektu Julia głęboko westchnęła, jakby nie pozostało jej nic innego, tylko odłożyć słuchawkę.

Patricia nie zareagowała.

— No to do roboty — powiedziała Julia, jakby tym razem mówiła całkiem serio i naprawdę miała zamiar skończyć rozmowę. Zamknęła oczy, wstrzymała oddech i zaczęła odliczać w myślach.

— Zaczekaj — odezwała się Patricia, gdy Julia doliczyła do trzech. Niepokój w jej głosie wyraż-

nie sygnalizował, że szala przechyliła się na korzyść Julii. —
Przyjmijmy dla dobra dyskusji, że mówisz prawdę.

— Bo tak jest. *Mniej więcej.*

— I przyjmijmy dla dobra dyskusji, że Mary Ford jest szczerze zainteresowana wspieraniem córki w tej sprawie. Albo przynajmniej... naprawdę chce stworzyć wrażenie, iż popiera ten projekt.

— Bo tak jest. *Mniej więcej.*

— I co z tego wynika? O co tu chodzi?

Julia z chęcią pottrzymałaby Patricję jeszcze jakąś minutę czy dwie w niepewności, ale miała już dość zabawy w kotka i myszkę. Wyprostowała się w krześle i spojrzała na Jonathana.

— O rolę w filmie.

— Rolę? — Patricia zachichotała nerwowo. Julia знаła ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że

jej przyjaciółka nie denerwuje się, tylko usiłuje zdobyć kontrolę nad sytuacją, obrócić wszystko na swoją korzyść.

— Jest chyba trochę za stara, żeby grać samą siebie?

— Oczywiście, że jest za stara, żeby grać siebie w młodości.

Żaden botoks ani zabiegi thermage by tu nie pomogły. Ale nie jest za stara, żeby grać siebie w późniejszym okresie.

Patricia milczała, lecz Julia wyraźnie słyszała, jak obracają się trybiki w jej mózgu.

— A więc Mary Ford chce zagrać samą siebie w filmie opartym na krytycznych wspomnieniach jej córki.

Julia zaczynała się pocić.

— Ma ostatnią szansę, żeby się uwiecznić w roli *Ukochanej Mary*.

Kolejne krople potu.

— Pamiętasz Faye Dunaway?

— Tak, ale ona nie była prawdziwą matką Christiny Crawford.

Julia otarła pot z czoła i podniosła się.

— Słuchaj. Mając po swojej stronie Mary Ford gotową do współpracy przy filmie, łatwiej będzie przekonać producentów i reżyserów, bo będą mieli pewność, że ona nie będzie im rzucać kłód pod nogi i wytaczać procesów. Poza tym proponowanie utworu wraz z Mary Ford czyni sam utwór bardziej atrakcyjnym i przez to cenniejszym czy to w przypadku książki, czy filmu.

Czekała z biciem serca. Po chwili usłyszała skrzypnięcie fotela Patricii.

— Złotko?

— Tak?

— Czyj to jest pomysł?

Julia zawahała się. Przez moment zastanawiała się, co powiedzieć. Kiedy jednak zobaczyła Jonathana, patrzącego na nią z taką dumą, jakby niezależnie od rezultatu bitwy wygrała całą wojnę, zmrużyła oczy i odpowiedziała:

— Twój.

Patricia roześmiała się głośno i wkrótce obie zanosily się histerycznym śmiechem.

— Teraz rozumiem, czemu tak mi się spodobał.

23.

Osiągnawszy zamierzony cel, Julia postanowiła zwolnić się na resztę dnia. Jonathanowi też pozwoliła wyjść wcześniej. Wysłała do Jacka maila z tą informacją (nawet nie próbowała szukać wymówek), spakowała torbę, wysłała SMS-a do Petera i wraz z Jonathanem zjechała windą na parter. Kiedy wyszli z budynku, Jonathan westchnął:

— Jejku, jak jasno! Chyba nigdy nie zdarzyło mi się wyjść z biura za dnia.

— Mnie też — dorzuciła Julia. Jonathan przełożył przez głowę pasek czarnej torby, tak żeby ułożyć go w poprzek piersi. Kiedy stali chwilę na przejściu, uśmiechnął się do niej.

— Fajnie by było — powiedział — gdyby nie trzeba było wracać, co?

Minęło południe, kiedy wsiadała do pociągu. Wiedziała, że jeśli nie będzie opóźnień, zdąży odebrać Leo z przedszkola. Już się nie mogła doczekać, by zrobić mu niespodziankę, znaleźć się znowu w ciasnej szatni wraz z innymi matkami, które czekają, aż dzieci skończą drugie śniadanie.

Dotarła na miejsce minutę czy dwie przed pierwszą. Lisa już czekała. Tak samo Pinar, Monika i Hilary. W ciągu tych kilku minut dzielących je od wyjścia dzieci — z kurtkami, pudełkami na drugie śniadanie i małymi dziełami sztuki w poplamio-

nych rączkach — otoczyła Julię grupka mam, które natychmiast zarzuciły ją gradem pytań na temat pracy, podróży służbowych i wszystkiego, o czym nie mogły porozmawiać poprzedniego dnia na paradzie, gdy wszystkie były w sałatkowych kostiumach. Zaskoczona, że tak się cieszą na jej widok, zachwycona tym, że powrót do rodzicielskich obowiązków okazał się tak przyjemny i bezbolesny, Julia zapragnęła częściej odbierać Leo i pozostawać w kontakcie z tą grupką mam. Nie umknęło jej uwagi, że każda z nich trzymała czarny segregator: własny Organizator Rodzinny. Pinar otworzyła swój organizator, żeby pokazać Julii jego zawartość.

— Dostosowujesz go do własnych potrzeb. Wkładasz plastikowe i kolorowe strony działowe, wizytowniki, kartki i w jednym miejscu możesz trzymać niemal wszystko, co potrzebne w organizacji życia rodzinnego.

Hilary z entuzjazmem kiwała głową.

— W przyszłym tygodniu Peter pokaże nam, jak zrobić Harmonogram Rodzinny. Chce, żebyśmy nauczyły się widzieć linię czasu w różnych kolorach, żeby łatwiej, efektywniej rozporządzać czasem.

— A najlepsze jest to, że zajął się organizacyjną stroną naszej współpracy z przedszkolem. Zamiast co tydzień marnować czas na spotkaniach, na których w nieskończoność dyskutowaliśmy, kto ma się czym zająć i kiedy... a i tak kończyło się na gadaniu o przepisach i pralniach... teraz Peter po prostu przysyła każdej z nas maila z zadaniem do wykonania i z ostatecznym terminem.

Wreszcie drzwi się otworzyły i dzieci zaczęły wysypywać się do szatni, w ramiona czekających mam. Julia przesunęła się na przód, by móc zajrzeć do sali, w której grupka maluchów w puchowych kurtkach, z plecaczkami na plecach wyglądała jak drużyna astronautów czekających na start. W samym środku, odwrócony do Julii plecami, stał Leo. Z ożywieniem rozmawiał z Adamem i wskazywał palcem na coś w rogu sali. Julia podeszła bliżej drzwi i wspięła się na palce. Zobaczyła, co demonstruje Leo: domek z piernika zrobiony przez Petera. Stał na stole, oświetlony od środka przez maleńkie lampki choinkowe. Z miejsca, w którym się znajdowała, domek prezentował się nadzwyczajnie, a Julia była przekonana, że z bliska efekt jest jeszcze bardziej imponujący. Leo wyglądał na niezwykle dumnego.

— Mój tatuś to zrobił! — słyszała, jak mówił do Batmana, do nauczycielki i do każdego, kto tylko chciał słuchać. Nareszcie znalazła się o parę kroków od syna. Gdy ją zobaczył, pokazał palcem i krzyknął:

— Hej! To moja mama! Moja mama!

Kłęcząc i ściskając Scooba, była trochę zażenowana tym, jak bardzo ucieszył się na jej widok. Nie czuła jednak najmniejszego zażenowania własną radością na jego widok. Była nie tylko szczęśliwa, ale i wdzięczna: jej świat zadrżał, zmienił się, ale wciąż była w nim obecna, wciąż była jego częścią, trwała na swoim miejscu, trzymając się tego, co najważniejsze.

EPILOG

W poniedziałek po południu nie ukończony maszynopis Lindsay Green został sprzedany wydawnictwu za sześciocyfrową kwotę. Potem został odsprzedany jeszcze do kilkunastu innych krajów, za pieniądze większe niż zwykle w przypadkach książek dzieci gwiazd, skazanych na błyskawiczne, ale chwilowe zainteresowanie. Nie to jednak było najważniejsze.

Dużo istotniejsza była wiadomość o sprzedaży praw do filmu *Ukochana Mary* za — bagatela — dwa miliony dolarów, o czym doniosło „Variety” tydzień później. „Transakcja warta swojej ceny, gdyż produkt został sprzedany wraz z gwiazdą, którą jest nie kto inny, jak *Ukochana Mary* we własnej osobie”, pisano. Zgodnie z przewidywaniami Julii Patricia chętnie umieszczała swoje nazwisko we wszelkich materiałach reklamowych, ale trzeba przyznać, że nie zapomniała o przyjaciółce. Napisała o niej: „Julia Einstein, specjalistka public relations i rzeczniczka Mary Ford, która doprowadziła do spotkania dwóch stron — matki i córki — przy jednym stole”.

Gdy nadszedł czas na podpisywanie kontraktów i omawianie kwestii finansowych, Julia usunęła się w cień, ustępując pola całej gromadzie managerów, agentów i prawników, którym przez lata Mary nie dawała na sobie zarobić, a którzy teraz mieli pełne ręce roboty. Mary dostawała coraz więcej propozy-

cji występów w reklamach, ról filmowych, wywiadów i uczestnictwa w programach telewizyjnych. To był jeden z najbardziej spektakularnych przypadków odwrócenia kolei losu. Julia z trudem oswajała się z myślą, że projekt wymknął się już z jej rąk i zaczął żyć własnym życiem.

Z trudem też przychodziło jej uwierzyć, że podczas tych czterech stresujących tygodni pracy schudła cztery i pół kilograma. Każda kobieta, która urodziła dziecko i miała problemy z pozbyciem się zbędnych kilogramów, wie, że to najlepszy probierz udanego powrotu do pracy.

Po Lindsay Green, Mary Ford i Patricii korzyść ze sprzedaży *Ukochanej Mary* odniosła też agencja Howard Pam Public Relations.

Zapomniane gwiazdy z całego kraju zaczęły zjeżdżać do biur w Nowym Jorku i Los Angeles, szukając porad, jak obudzić ich uspione kariery. Cały następny tydzień Jack, Julia, Jonathan i Vicky pracowali bez wytchnienia, organizując spotkania, biorąc w nich udział, serwując wodę, przygotowując kontrakty i przyjmując honoraria. Każdy chciał podpisać kontrakt z „zespołem cudotwórców, którzy potrafią odwracać złą passę” (jak określono ją i Jacka w materiałach reklamowych, co okropnie Julię denerwowało, bo według niej Jack nie miał nic wspólnego z ożywieniem kariery Mary, chyba że za „pomoc” uzna się rzucanie pod nogi kłód, które Julia szczęśliwie usunęła), każdy chciał spróbować jeszcze raz, każdy chciał otrzymać drugą

(albo i trzecią) szansę na udany powrót do zawodu. I każde z nich miało do tego pełne prawo.

Kolejnym beneficjentem została Legenda. Sprzedaż perfum niemal z dnia na dzień gwałtownie wzrosła, a to zmusiło Mary do zmiany wcześniejszej decyzji o odwołaniu trasy promocyjnej. Konflikt z PETA został zażegnany, gdyż Heaven Scent zreformował metody badań i rozpoczął produkcję nowej, ulepszonej wersji zapachu Legendy, która miała trafić do sklepów w okresie bożonarodzeniowym. Wszystkie wcześniej zaplanowane imprezy w domach towarowych zostały przywrócone. Julia i Jonathan pracowali po godzinach, żeby odtworzyć to, co wcześniej tak szybko się rozpadło. Znowu w programie pojawiły się pięciogwiazdkowe hotele i loty pierwszą klasą.

Wrócili fani i klientki, które ustawiały się w kolejkach, sięgających czasami aż do działów galanterijnych i obuwniczych. Wróciły ekipy telewizyjne, wrócili reporterzy z kamerami i magnetofonami, polujący na legendę kryjącą się za Legendą, zabiegający o możliwość przeprowadzenia choćby krótkiego wywiadu z Mary Ford — gwiazdą sceny i ekranu, która odzyskała blask. Tym razem jednak, kiedy nowy harmonogram był gotowy i trzeba było wyruszyć w trasę, Julia przekazała pałeczkę Vicky. Chociaż Julia opanowała do perfekcji sztukę towarzyszenia Mary, to nadszedł czas, by ktoś młodszy, bardziej spragniony sukcesu, bez męża i Scooba czekających w domu, zajął jej miejsce i skorzystał z jej ciężko zdobytych doświadczeń. Wszelkie przydatne wskazówki dla swojej następczyni Julia zapisała w instrukcji zaty-

tułowanej „Co robić i czego nie robić podczas trasy z Mary Ford”.

Niestety, następny w kolejce do profitów był Jack. I na niego spadła niczym nie zasłużona manna z nieba — wprost w jego rwące się do intryg i machlojek ręce. Przebrzmiały sławy waliły teraz drzwiami i oknami. Tony Danza, Morgan Fairchild, Joan Lunden, Joan Collins, Carol Burnett, Phil Donahue, Alee Baldwin, Richard Chamberlain i David Cassidy (który wrócił skruszony) — to tylko niektórzy z całej rzeszy pragnących skorzystać z usług Jacka. Bez asystentki (zaledwie kilka razy zdobył się na odwagę, by poprosić Julię o „wypożyczenie” Jonathana) czuł się przytłoczony mnogością zadań, a zarazem pozbawiony wiary w sens działania. Wiedział, że będzie musiał jak najszybciej zacząć rozbudowę agencji, żeby obsłużyć wszystkie nowe zlecenia, wiedział, że będzie musiał zatrudnić nowych pracowników i przeszkolić ich w tej specyficznej dziedzinie, jaką jest sztuka przywracania sławy zapomnianych gwiazd, oraz że będzie musiał przeżyć co najmniej pół roku, pracując po godzinach i wieczorami, aby dać radę zrealizować wszystkie przyjęte zlecenia. I po co? Żeby spiskować, kłamać i manipulować dla kolejnego nic nie znaczącego awansu i niewystarczającej podwyżki w podrzędnej firmie?

Kiedy więc zadzwoniła do niego Lindsay Green z Zachodniego Wybrzeża, nie posiadał się ze szczęścia.

Po sprzedaniu praw do wydania książki Lindsay znalazła się w centrum zainteresowania mediów. Stale proszono ją o wywiady, proponowano pisanie artykułów i sesje zdjęciowe w czasopismach o modzie. A przecież musiała jeszcze skończyć książkę i zacząć ją adaptować do potrzeb scenariusza, jak przewidywała umowa. Błagała więc Jacka, aby został jej osobistym doradcą do spraw kontaktów z mediami.

Proponowała mu atrakcyjne zarobki (dwa razy tyle, ile zarabiał w Howard Pam) i zakwaterowanie (domek na jej działce w Beverly Hills, który stał pusty, gdyż jej poprzedni doradca łamane przez chłopak już się wyprowadził), a także bilet w pierwszej klasie (w jedną stronę, typu open), który była gotowa posłać mu kurierem. Jeśli dodać do tego fakt, że tak wyraźnie do siebie pasowali w łóżku i poza nim, że tak dobrze im się razem pracowało i wszystko wskazywało na to, że będzie tak dalej — ich narcystyczne osobowości łączyła bowiem pasja ściągania na siebie uwagi i zdobywania tego, czego pragną — była to propozycja partnerstwa w życiu i biznesie, której Jack nie mógł odrzucić.

Jack Raz Dwa.

Jack DeBil.

Jack po rozwodzie długo nie kwitł. Przyszła też kolej na Julię. Minął niecały tydzień od sprzedaży praw do książki i filmu *Ukochana Mary*, gdy rozdzwonił się jej telefon. Po kilku interesujących ofertach z róż-

nych agencji public relations pojawiła się też ta, na którą w skrytości ducha cały czas czekała: od dawnej szefowej z Creative Talent Management.

Proponowano jej stanowisko wiceprezesa działu promocji mediów, co oznaczało awans, którego nie mogła się doczekać cztery lata wcześniej i którego pewnie by się nie doczekała, nawet gdyby nie zrezygnowała z pracy. Rozmawiając z dawną szefową, Julia czuła się tak, jakby to chłopak, który kiedyś ją rzucił, proponował zacząć wszystko od nowa. Jedną jej część miała ochotę zdecydowanie odciąć się od przeszłości, ale inna — ta, w której drzemały głęboko skrywana podatność na przekupstwo oraz pragnienie bezpieczeństwa finansowego i rozwoju zawodowego, a także chęć bycia lepszą od innych — nie bardzo chciała zrezygnować.

Julia zdążyła już jednak zauważyć, że praca z przebrzmiałymi sławami jest o wiele bardziej interesująca, stanowi większe wyzwanie i daje większą satysfakcję. Czuła nawet pewne pokrewieństwo z tymi odrzuconymi. Każde takie zadanie było niczym igrzyska paraolimpijskie w dziedzinie public relations. Poza tym nie potrafiła sobie wyobrazić Jonathana w korporacyjnym środowisku — w wielkim biurze pełnym asystentów, którzy wyśmiewając się z jego koralików, pożarliby go żywcem już w pierwszym tygodniu. A przede wszystkim takie ważne stanowisko łączy się zwykle ze stresem, sztywnym ubiorem, poważnymi zebraniem i chorą ambicją, co wysysałoby z niej duszę i pozbawiało ją tego, co było jej najbardziej potrzebne: czasu

i energii dla Petera i Leo. Dlatego odrzuciła tę niezwykle szczodłą ofertę CTM.

Uczyniła to jednak dopiero po wynegocjowaniu lepszych warunków z samym Howardem Pamem. Została dyrektorem biura w Nowym Jorku. Chociaż wynagrodzenie nie dorównywało płacy proponowanej przez CTM, to jednak udało jej się uzyskać kilka innych rzeczy, na których jej zależało: czterodniowy tydzień pracy dwa razy w miesiącu, by dwa piątki móc spędzać z Leo, podwyżkę i awans dla Jonathana oraz coś, czemu nie mogła się oprzeć, choć nalegała na to z poczuciem zażenowania — samochód z kierowcą (jak Patricia).

Podobnie jak Peter i jak ona sama radziła Mary, Julia miała zamiar nie tylko wykorzystać swoją szansę, ale też robić to, co robi, najlepiej jak potrafi. Pod koniec dnia, jadąc pociągiem do domu, postanowiła, że jej pierwsza decyzja na nowym stanowisku będzie miała na celu pokazanie, iż w krainie dawnych gwiazd obowiązuje nowy styl zarządzania i szczególna wrażliwość.

Zamierzała też zadzwonić do Container Store, by stworzyć magazyn materiałów biurowych z prawdziwego zdarzenia — z wbudowanymi półkami i szufladami — i dbać o stałe uzupełnianie zapasów artykułów papierniczych i pojemników do segregowania dokumentów.

Jack wyjechał przed Świętem Dziękczynienia, a wkrótce potem, na początku grudnia, Mary zadzwoniła do Julii z wiadomością, że również wy-

jeżdżą; Zainteresowanie jej osobą nie słabło i gdy trasa promocyjna Legendy dobiegła końca, Mary uznała, że dla dobra swojej kariery powinna przenieść się do Hollywood. Chciała też być bliżej Lindsay, która kończyła książkę i chciała zacząć pracę nad scenariuszem.

Mary nie miała zamiaru przenosić się z całym dobytkiem. Planowała zatrzymać się u Lindsay („Chociaż ten nieznośny Jack Raz Dwa mieszka w jej domku gościnnym”) do czasu, gdy coś sobie wynajmie, a w wolnych chwilach kursować między Hollywood a Manhattanem. Nie musiała dodawać, że jedną z przyczyn, dla których tak bardzo chciała „pomóc” Lindsay w pracy nad książką, była chęć wpływu na jej ostateczny kształt: miała nadzieję, że uda jej się wybielić wersje pewnych wydarzeń i nieco zmniejszyć siłę jadu.

— Ponieważ nie jedziesz ze mną — powiedziała Mary — zadzwoniłam do Po Prostu Nicka, czy nie zna tam jakiegoś kierowcy, który nie byłby kompletnym idiotą. Na myśl o tym, jak Mary z rozbawieniem i irytacją odrywała wizytówkę przyklepioną do ucha Myszki Mickey, i jak przejęty musiał być Nick, gdy odebrał telefon, Julia uśmiechnęła się.

— Niech zgadnę. Po Prostu Nick polecił Po Prostu Nicka.

Mary roześmiała się głębokim, pogodnym śmiechem, którego Julia wcześniej u niej nie słyszała.

— Nie wyobrażaj sobie za wiele, Einsteinie — westchnęła. — On ma syna, który mieszka w Newport Beach, i chce z nim spędzić zimą trochę czasu.

— Albo to wersja oficjalna — stwierdziła Julia.
— Albo to wersja oficjalna — powtórzyła Mary, znowu się śmiejąc. — Powiedział, że zabierze mnie do Disneylandu, żeby mi pokazać jeszcze więcej Ukrytych Myszek Mickey. Ja mu na to: „Słuchaj, Po Prostu Nick. Nie przesadzaj z Ukrytymi Myszkami Mickey”. Ale nie wiem, czy słyszał, bo od razu zaczął się pakować.

W chłodne zimowe dni między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem Julia jeździła do i z biura luksusową czarną limuzyną prowadzoną przez Radu i próbowała oswoić się z wszystkimi zmianami, które miały nastąpić w najbliższym czasie.

Peter wciąż był bez pracy, ale udało mu się znaleźć dorywcze zajęcie konsultanta. Miał zacząć w styczniu. Leo miał od początku roku chodzić do przedszkola nie trzy, ale cztery razy w tygodniu. Te zmiany odzwierciedlał nowy Harmonogram Rodzinny zrobiony przez Petera. Julia nawet nie mogła umówić się z Patricią na lunch, bo była zbyt zajęta spotkaniami z agentem filmowym Lindsay Green, który niedawno przyjechał do Nowego Jorku. Zmieniał się też Leo, którego miłość do pociągów przerodziła się w fascynację dinozaurami i superbohaterami, zmieniła się nawet jej matka, która pod wpływem sugestii Petera (na święto Chanuka podarował jej kupon) zapisała się na kurs gotowania. Julia miała wrażenie, że wszystko wokół niej przechodzi fazę przeobrażeń.

Którejś nocy, tiiż po tym, jak Julia została zmuszona do powrotu do pracy, Peter obiecał jej, że w końcu wszystko ułoży się po ich myśli. I chociaż wówczas takie zmiany nawet nie przyszłyby jej do głowy, to przecież gdy poszła do pracy, świat się nie zawalił. Oczywiście tęskniła za Leo, a on tęsknił za nią, i oczywiście Peter wciąż liczył na to, że któregoś dnia wróci do zawodu. Mimo wszystko przetrwali, a nawet rozkwitli. Nie wiedząc, co przyniesie następny miesiąc czy rok, Julia wróciła po świętach do biura z nowym zestawem zdjęć na biurko i do komputera, czując się tak, jakby wkraczała na teren dżungli i szła w nieznanie.

Wiedziała, że świat na zewnątrz to dżungla. Ale ta dżungla nie była jej już obca. Miała nadzieję, że odnajdzie w niej właściwą drogę.